



Janusz A. Zajdel
LIST POŻEGNALNY

JANUSZ A. ZAJDEL

LIST POŻEGNALNY

ALFA

1989

Spis treści

KARTA TYTUŁOWA

EKSTRAPOLOWANY KONIEC ŚWIATA

DRUGA STRONA LUSTRA

TOWARZYSZ PODROŻY

ŹLE O NIEOBECNYCH

SATELITA

KOLEJNOŚĆ UMIERANIA

ŚMIERĆ KAROLA

LIST POŻEGNALNY

INSPEKCJA

PIGUŁKA BEZPIECZEŃSTWA

BŁĄD PILOTA

ŚMIESZNA SPRAWA

ADAPTACJA

PEŁNIA BYTU

WYŻSZE RACJE

UTOPIA

CHRZEST BOJOWY

WYJĄTKOWO TRUDNY TEREN

DRUGIE SPOJRZENIE NA PLANETĘ KSI

Konspekty powieści napisanych

Konspekty powieści nie napisanych

JANUSZ I MY

EKSTRAPOLOWANY KONIEC ŚWIATA

Zmierzch zapadał powoli, tak mi się przynajmniej wydawało... Może dlatego, iż podświadomie chciałem sobie wmówić, że zdążę przed nocą na umówione miejsce. Gdy jednak przeszedłem dalsze kilkaset metrów nieco przyspieszonym krokiem, ciężar plecaka dał znać o sobie poprzez wrzynające się w ramiona pasy. Droga wspięła się dość ostro w górę. Gdy wszedłem między świerki, wiedziałem już, że nic z tego... Ostatecznie, myślałem, nic się nie stanie, jeśli Karol poczeka na mnie do rana. Ma przecież namiot. Ale ja? Jeśli pogoda nie zmieni się w ciągu nocy, to jeszcze pół biedy, nieraz nocowałem pod krzakiem, nawet przy niższej temperaturze, w maju albo jeszcze wcześniej. Ale gdyby spadł deszcz, to już gorzej! Z pogodą w górach nigdy nic nie wiadomo. Szczególnie tu; pamiętam, jak pewnego razu po cudownie upalnym dniu - kąpałem się wtedy w lodowatej wodzie potoku - nagle, zupełnie niespodziewanie, nadciągnęła piekielna, letnia burza. Pioruny waliły nade mną i dokoła mnie, a ja siedziałem na nagim, trawiastym zboczu, rozebrany do slipów, bo plastikowy deszczowiec musiałem rozpostrzeć nad plecakiem pełnym prowiantu, który właśnie transportowałem na szczyt, gdzie czekała reszta kolegów, głodnych jak wilki i przeklinających mnie za guzdralstwo. A ja siedziałem tak, pragnąc przeczekać burzę, gdyż bałem się iść przez las, kiedy pioruny siekły po pniach świerków, aż ciarki przechodziły po grzbiecie...

Zmarzłem oczywiście prawie natychmiast, więc roztarłem plecy ręcznikiem, ale i to niewiele pomogło. Burza trwała przez

dobrze półtorej godziny, a potem ustała tak nagle, jak się rozpoczęła. Niestety, było już dość mroczno i nie widziałem dobrze nie przetartego, zarosniętego trawą szlaku.

Latarka jak zwykle w takich okolicznościach, okazała się zepsuta. Półprzytomny i drżący jak w febrze - gorączka nie dała na siebie długo czekać - zlazłem gdzieś w bok i nim się zorientowałem, odszedłem od szlaku na tyle, że nie mogłem go na powrót odnaleźć. Tymczasem ściemniło się do tego stopnia, że wpadałem dosłownie nosem na pnie świerków. Nie było sensu posuwać się dalej, tym bardziej, że nie byłem pewien kierunku. Położyłem się pod drzewem i owinięty w koc zasnąłem niespodziewanie dla samego siebie. Po jakimś czasie obudziło potrząsanie za ramię.

Swoim zwyczajem wymamrotałem przez sen: „zaraz, zaraz, już wstaję”, bo wydało mi się, że jestem w domu i brat budzi mnie rano do pracy. Usłyszałem głośny wybuch śmiechu i poczułem, że to coś nie tak... Zerwałem się, momentalnie przytomny, i w świetle zapalonej latarki rozpoznałem postacie trzech kolegów, którzy nie mogąc doczekać się mojego powrotu do obozowiska, wyszli mi naprzeciw. Do dziś nie wiem, jak mnie znaleźli, z dala od szlaku, skulonego pod krzakiem. Oni twierdzili, że szli prosto na odgłos dzwonienia zębami, ale ja jestem skłonny przypuszczać, że to zapach kiełbasy, którą miałem w plecaku, dotarł do ich nozdrzy, jako że przez cały dzień nie jedli nic oprócz kisielu, który pozostał z poprzedniego „transportu” żywności.

To było w ubiegłym roku, w Sudetach. Dziś nie mogłem liczyć na takie „cudowne ocalenie”, bo po pierwsze było nas tylko dwóch, a po drugie - Karol i tak nie wiedział, od której strony mam nadejść, bo umówiliśmy się jeszcze w Krakowie na to

spotkanie. A w ogóle Bieszczady to nie Sudety, teren dziki i z rzadka zaludniony. .

Takie rozmyślania i wspominki nie dodawały co prawda otuchy, zważywszy na to, że właśnie ściemniło się zupełnie, a do przejścia pozostał co najmniej dwugodzinny odcinek drogi. Właściwie to cała wina po mojej stronie: niepotrzebnie tak długo marudziłem na poczcie w Cisnej, czekając na połączenie z Warszawą, którego, nawiasem mówiąc, nie dostałem mimo usilnych starań telefonistki. Ale teraz za późno na analizowanie przyczyn; spóźniłem się i już!

Przez korony drzew przeświecał księżyc. Dróżka majaczyła niewyraźnie, poprzecinana długimi cieniami. Głupawo się czułem na myśl, że prawdopodobnie będę musiał przespacerować się nocą jeszcze z dziewięć kilometrów, i to pod górę, i przez cały czas lasem...

Wilków co prawda nie obawiałem się, było lato, ale sama świadomość ich obecności na tych terenach nie dodawała mi bynajmniej odwagi...

Każdy szelest kazał mi rozglądać się z obawą dokoła, a wyobraźnia układała kształty krzaków i ich cieni w budzące dreszcz widziadła. Nieświadomie przyspieszałem kroku i po chwili dopiero uświadomiłem sobie, że nieomal biegnę pod górę, nie czując nawet ciężaru plecaka. Słabe światło mojej latarki z trudem oświetlało ścieżkę, jeśli tak można nazwać pasemko zdeptanej trawy. Nagle ścieżka skręciła w lewo, trawersując zbocze. Zatrzymałem się i poświeciłem niżej latarką. Okazało się, że dalej również biegnie coś w rodzaju ścieżki, tylko nieco słabiej wydeptanej. Masz tobie! Tego tylko brakowało! Niezdecydowanie stałem na rozwidleniu ścieżki. Nagle pociągnąłem nosem i poczułem znajomy zapach: dym! Tu gdzieś musi palić się

ognisko! Rozejrzałem się dokoła, ale nigdzie nie zauważyłem ani śladu ognia ani światła. Lekki wietrzyk wiał z lewej strony. Poszedłem ścieżką w tym kierunku. Zapach dymu stał się silniejszy. Po chwili zamajaczył w ciemności wśród drzew jeszcze ciemniejszy kształt niewielkiego budyneczku z dwuspadowym dachem. Okiennice były zamknięte. Gdy podszedłem bliżej, mogłem stwierdzić, że domek jest zbudowany z grubo ociosanych bali świerkowych, a z komina unosi się rzeczywiście wąska smuga dymu. Przez okiennice nie przeciekał ani jeden promień światła. Drzwi były zamknięte. Kilkakrotnie poruszyłem klamką. Cisza. Zapukałem nieco głośniej. Za drzwiami dał się słyszeć odgłos człapiących kroków i jakiś stary, chrapliwy głos burknął groźnie:

— Kto?

— Turysta! - odpowiedziałem możliwie najuprzejmiej, aby wzbudzić zaufanie.

Moja odpowiedź nie wystarczyła widocznie mojemu rozmówcy, bo po chwili zapytał nieufnie:

— Co za turysta? Sam? Po nocy?

Gderliwy ton głosu upewnił mnie, że mówiący musi być starym człowiekiem. Niedobrze! Trzeba wysilić cały spryt, żeby staruszek otworzył!

— Jestem sam i chciałbym, o ile to możliwe, przenocować tu do rana. Jest dosyć późno, więc...

— Poczekaj pan chwilę... - odezwał się niepewnie głos zza drzwi. Następnie drzwi nieco się uchylły, o ile pozwalała na to łańcuch, ze szpary spojrzała na mnie lufa pistoletu, a w ślad za nią wychyliła się blada, pomarszczona twarz. Po chwili ręka z bronią cofnęła się, brzęknął łańcuch i drzwi otworzyły się szybko.

— Proszę wejść. - Głos staruszka brzmiał nieco uprzejmiej.

Wszedłem i przyjrzałem mu się, gdy zamykał drzwi. Świeciłem mu latarką, a on starannie sprawdzał zamek.

— Dobry wieczór! - powiedziałem, gdy wreszcie skończył i odwrócił się twarzą do mnie. Twarz miał bardzo zniszczoną, był prawie całkowicie łyсы, tylko na skroniach bieleły się długie kosmyki siwych włosów. W żylastej dłoni wciąż trzymał pistolet, tym razem jednak lufą w dół i jak zdołałem zauważyć, zabezpieczony. Przyglądał mi się przez kilka sekund, po czym odpowiedział gderliwie:

— Dobry wieczór. Nie trzeba łązić po nocy, młodzieńcze!

— Bardzo przepraszam, na pewno obudziłem pana...

Nie, nie obudził mnie pan... Pracowałem.

Nie miałem pojęcia, na czym polegała ta praca. Staruszek w milczeniu poprowadził mnie do pokoiku, skąpo oświetlonego baterijną lampką. W rogu pokoju dostrzegłem kominek, na którym dogasały polana, a przed nim głęboki fotel i stolik, na którym stała filiżanka i dzbanek do kawy.

— Może pan tu spać - powiedział starzec, wskazując szeroką kanapę pod ścianą - tylko proszę nie chrapać, bo to przeszkadza w myśleniu.

— Widzę - zauważyłem nieśmiało dla podtrzymania rozmowy - że pan tak samo jak ja lubi pracować nocą...

— A nad czymże tak pracujesz, młody człowieku? - spytał, a w jego głosie odczułem lekką ironię.

— Jestem fizykiem... A ponadto studiuje jeszcze filozofię.

— A ileż to ma pan lat? - spytał wyraźnie zaskoczony.

— Dwadzieścia cztery.

— Nie do wiary! Nie dałbym panu więcej, jak dziewiętnaście! Więc mówi pan, że nad fizyką tak po nocy rozmyśla... No, no... -

W jego oczach zapalił się ledwie dostrzegalny ogień jakby złości. Sięgnął na półkę z książkami, stojącą w kącie obok kominka, i wydobył jakiś gruby tom. Otworzył go na byle jakiej stronie i podsunął mi przed oczy.

— A co to takiego? - zapytał zjadliwie, wskazując zakrzywionym palcem jakiś wzór matematyczny czy fizyczny.

Przyjrzałem się nieco dokładniej, bo w pokoju było dosyć ciemno, i odparłem bez wahania:

— To jest rozwinięcie wielomianu Hermite 'a na szereg...

— Dobrze! - przerwał mi w pół zdania. - A to?

— Funkcja Bessela pierwszego rodzaju...

— Drugiego, przyjacielu, drugiego, ale to nic... Widzę, że pan ma o tym pojęcie... - zamilkł na chwilę, a potem spojrzał na mnie jakoś cieplej, wydało mi się, że nawet lekko się uśmiechnął. - Wybacz mi pan ten mały egzamin... Stary, profesorski nawyk...

— Pan jest profesorem? Matematykiem?

— Byłem... Matematyka, ekonomia... Teraz już nie... Rzuciłem to wszystko... To znaczy katedrę, Uniwersytet i ten cały młyn...

Mówiąc to, patrzył gdzieś w kąt pokoju, jak gdyby rozmawiał z samym sobą, zapominając o mojej obecności.

— Gdyby oni wszyscy - ciągnął dalej w kierunku ściany - wiedzieli to, co ja wiem, rzuciliby wszystko i uciekli, jak ja, od tego zwariowanego świata... Ale już niedługo... Niewiele dni pozostało temu światu... jeśli nie dopuści do głosu ludzi, którzy mogliby go uratować...

— Przepraszam, o czym pan mówi? - spytałem niepewnie.

— Ach... to ja pana przepraszam... Niech pan siada! - Wskazał na kanapę i usiadł obok mnie. - Muszę panu wyjaśnić kilka rzeczy... Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, ku czemu właściwie zmierza nasz świat?

— Nno... chyba tak... Ciągły postęp we wszystkich dziedzinach...

— ...prowadzi do nieuniknionej katastrofy! Czyż można tego nie zauważyć? Wystarczy prześledzić rozwój tego, co powszechnie nazywa się „postępem technicznym”: niech pan zwróci uwagę na fakt, że czas, jaki dzielił wynalezienie maczugi od wynalazku na przykład niewiele od niej bardziej skomplikowanego toporka z brązu, jest niepomiaralnie dłuższy od okresu dzielącego odkrycie elektryczności i energii atomowej. To nasuwa z kolei przypuszczenie, że postęp -techniczny jest funkcją czasu i to funkcją tego rodzaju, że wzrost współczynnika komplikacji urządzeń technicznych można porównać z relatywistycznym wzrostem masy, gdy prędkość układu wzrasta. Podobnie jak w teorii względności masa nie może wzrosnąć nieskończenie, tak i w ekonomice postęp nie może osiągnąć nieskończenie wysokiego poziomu. Teoria względności ogranicza prędkość masy, moja teoria rozwoju ogranicza w ten sam sposób czas trwania tego ostatniego.

Mówił z takim przekonaniem, że w pierwszej chwili nie potrafiłem znaleźć rozsądnych argumentów przeczących tym wywodom.

— Ależ... na jakiej podstawie pan twierdzi, że rozwój ulegnie zahamowaniu...

— Źle mnie pan zrozumiał, młody człowieku! Postęp jest ogromną, żywiołową siłą, której nic nie jest w stanie zahamować. W tym właśnie tkwi cała tragedia ludzkości! Raz puszczona przez człowieka w ruch machina postępu działać musi aż do momentu, w którym człowiek wkręcony w jej tryby straci panowanie nad światem i ulegnie... Cywilizacja zadławi się własnym tempem... Już teraz dają się zauważyć pojedyncze wypadki: histeria,

choroby nerwowe i psychiczne... Człowiek sam pada ofiarą swego dzieła, nie wytrzymuje tempa, które rozwój narzuca... Niech pan sobie wyobrazi krzywą określającą relatywistyczny wzrost masy z prędkością: dla małych prędkości masa jest prawie stała, ale w miarę zbliżania się do wartości $C = 300000$ km/sek masa wzrasta, aby przy tej granicznej wartości osiągnąć wielkość równą nieskończoności; ponieważ jednak istnienie nieskończonej masy jest fizycznie nie do pomyślenia, prędkość światła jest praktycznie nieosiągalna! Jeśli teraz na osiach współrzędnych postawimy zamiast prędkości - czas upływający w naszym świecie, a zamiast masy - współczynnik rozwoju technicznego, to otrzymamy krzywą postępu, z której niezbitnie wynika, że świat nie może trwać w nieskończoność w stanie ciągłego rozwoju! Pojawi się chwila, poza którą nie ma prawa istnieć ten sam cykl rozwojowy. W miarę zbliżania się do tego momentu szybkość zmian w naszym świecie wzrośnie tak niebywale, że nieomalże z dnia na dzień przeciętny człowiek będzie zmuszony do przystosowywania się do nowych warunków życia... Ale zdolność przystosowawcza organizmu i psychiki człowieka jest ograniczona. Dlatego też co słabsze jednostki będą odpadały z życia społecznego. Na koniec pozostaną sami ludzie genialni, ale tym samym przyspieszy się rozwój, nie hamowany przez konserwatystów, wsteczników czy wręcz idiotów... Wkrótce i ci najgenialniejsi nie wytrzymają i załamają się, a tym samym skończy się istnienie cywilizowanego świata... Ekstrapolując krzywą postępu na podstawie dotychczasowego tempa wzrostu współczynnika komplikacji nietrudno obliczyć, że chwila ta jest już niezmiernie bliska, bliższa, niż mógłby pan się tego spodziewać...

Stary człowiek zamilkł, wpatrzony w gasnący na kominku żar

świerkowych szczap.

— Wydaje mi się - przerwałem po chwili zaległą w pokoju ciszę - że nie docenia pan jednak zdolności adaptacji człowieka do nowych warunków... Przecież nie było dotąd wynalazku, którego człowiek nie potrafiłby wykorzystać dla swoich praktycznych celów... Żaden wynalazek nie stał się dotąd panem człowieka...

— O, mój drogi młodzieńcze, mylisz się, jakże bardzo się mylisz! Cóż z tego, że przeciętny człowiek opanuje sposób posługiwania się danym urządzeniem, jeśli większość korzystających z tego urządzenia nie ma nawet bladego pojęcia o zasadzie jego budowy i działania! Ludzi rzeczywiście mądrych, tych, którzy tworzą coś nowego, jest bardzo niewiele... a tych, którzy rozumieją to, co ja rozumiem, na palcach można policzyć. Reszta - to miernoty, w najlepszym wypadku... jeśli nie debile... Czy wyobraża pan sobie do granic możliwości skomplikowany świat, dźwigany na barkach aspołecznych, egoistycznych, nic nie rozumiejących i co gorsza, nie chcących nic rozumieć jednostek?! Człowiek, człowiek! Mówiąc o współczesnym człowieku, mamy na myśli przeważnie uczonego w laboratorium, inżyniera nad rysunkiem technicznym, chirurga na sali operacyjnej... A reszta? Reszta, bezmyślna reszta zagonionych półgłówków, których umysł nie obejmuje nawet jednej milionowej tych zagadnień, które nazywamy sumą wiedzy ludzkiej... Niestety, ta przytłaczająca większość ludzkości decyduje o przeciętnej, o średnim poziomie umysłowym ludzkości.

Właśnie te stada młodych ludzi, uznających za jedyny cel zgromadzenie maksymalnej ilości środków materialnych dla zaspokojenia jakże przyziemnych potrzeb - stanowią większość, reprezentację ludzkości... Ci przesiąknięci alkoholem, unoszący

się nad potęgą postępu, którego ani trochę nie rozumieją, pseudonowocześni filozofowie, stanowiący w rzeczywistości mieszaninę filisterstwa, mieszcuchostwa i wygodnictwa... Wreszcie wszyscy ci, którzy głosząc publicznie najwznioślejsze hasła postępu, w rzeczywistości boją się jedynie o własną pozycję w społeczeństwie - tacy właśnie stanowią trzon społeczeństwa... Czy spodziewa się pan, młody człowieku, że oni potrafią uchronić świat od zadławienia się własnym rozwojem? Nie! Oni będą pchać dalej tę przeklętą maszynę, aby bezmyślnie napełniać swe zachłanne brzuchy, jak długo się da, a gdy nadejdzie moment klęski, zawsze znajdą winnych wśród tych, którzy mają trochę więcej rozumu w głowie i których z tego właśnie powodu oni nienawidzą nade wszystko...

Byłem pod nieprzepartym wrażeniem słów starego profesora, choć wydawało mi się, że z wieloma jego poglądami nie potrafiłbym się pogodzić.

— A zatem wydał pan wyrok na ludzkość: samobójstwo za pomocą postępu technicznego? - spytałem ostrożnie. - Czy jest to według pana wyrok bezapelacyjny?

— Prawie... To znaczy istnieje jedna jedyna szansa uratowania ludzkości...

— Jakaż to szansa? - spytałem.

— Jedyne sposoby - to zahamowanie wzrostu współczynnika komplikacji poprzez rozsądne, planowe kierowanie postępu, a to jest możliwe tylko wówczas, gdy władza nad ekonomiką świata spocznie w rękach ludzi naprawdę rozsądnych... Gdy żadnego wpływu na rozwój świata nie będą mieli bezmyślni, krótkowzroczni krety, zapatrzeni we własną kieszeń... Po prostu należy pozostawić przy życiu tylko tych, którzy wykazują się wystarczająco wysokim poziomem umysłowym

i zrozumieniem dla wielkiej idei uratowania cywilizacji. Resztę zdegenerowanej umysłowo ludzkości należy po prostu i bezwzględnie wytępić... Tak, tak, młodzieńcze! - dodał spieszenie, jakby w obawie, że mu przerwę - to nie będzie humanitarne wobec tych biednych głupców, ale wierz mi, i tak niewiele życia im pozostało! Jeśli nie zostanie w najbliższych latach przeprowadzony mój plan, zginiemy wszyscy, przywaleni ogromem cywilizacji... Musimy dać początek nowej rasie ludzkiej, wyselekcjonowanej spośród najinteligentniejszych osobników naszej generacji... Będzie to wspaniała rasa świadomych twórców postępu, którzy potrafią tak pokierować światem, aby krzywa postępu wzrastała co najwyżej proporcjonalnie do czasu, co usunie groźbę tragedii... Zastanów się, młody człowieku... A teraz pora spać... Dobranoc!

Staruszek wyszedł z pokoju, a ja położyłem się na kanapie. Nie mogłem zasnąć - w głowie kłębiły mi się wizje zagłady ludzkości, nie nadążającej za postępem...

Obudził mnie silny strumień światła, padający na twarz. Otworzyłem oczy. Okiennice były otwarte, a profesor wchodził właśnie do pokoju. W dziennym oświetleniu wydał mi się bardziej dobroduszny i mniej stary niż wczoraj.

— Dzień dobry! - powiedziałem, uśmiechając się do niego.

— A, dzień dobry, już pan nie śpi!

— Nie śpię, panie profesorze, choć wczoraj długo nie mogłem zasnąć... Myślałem o tym wszystkim... .

— No, i... - Z zaciekawieniem wpatrywał się we mnie, jakby oczekując, że przyznam rację jego teorii.

— Mówił pan - zacząłem z wolna - o ile dobrze pamiętani, że należy pozbyć się ze społeczeństwa wszystkich, którzy nie doceniają roli rozumnego kierowania rozwojem cywilizacji...

— A, tak właśnie mówiłem!

— I uważa pan, że reszta, jednostki najbardziej inteligentne, potrafiłyby zahamować -drogą planowego, nie żywiołowego postępu - klęskę „końca świata” w sensie końca cywilizacji ludzkiej? Krzywa postępu przybrałaby wówczas charakter prostej proporcjonalności postępu do czasu, czy tak? - Staruszek skwapliwie przytaknął. - A w obecnym stanie rzeczy, gdy działają oba czynniki, to znaczy mądrość uczonych i tępota przeciętnych członków społeczeństwa, krzywa ta, według pana, ma punkt osobliwy w pewnej chwili czasu, to znaczy, dąży w tym punkcie do nieskończoności... Pozwoli pan, że teraz ja zaproponuję nieco inne rozwiązanie dręczącego pana problemu: otóż zamiast pozbywać się hamulca, pozbądźmy się motoru cywilizacji, właśnie tych wszystkich uczonych, inżynierów... To oni bowiem w pierwszym rzędzie są odpowiedzialni za postęp! Pozostawieni sami sobie pozostali, umyślowo ograniczeni członkowie społeczeństwa, nie stworzą niczego nowego i krzywa postępu przestanie wzrastać! W ten sposób niebezpieczeństwo utraty miary w rozwoju tym pewniej zostanie zażegnane, a przeprowadzenie takiego planu będzie łatwiejsze ze względu na niewielką stosunkowo liczbę ludzi naprawdę mądrych! A ponadto... z punktu widzenia matematyki wydaje mi się dziwnym fakt, że złożenie dwóch funkcji ograniczonych - bo mówił pan przecież, że świadome kierowanie postęphem daje proporcjonalność rozwoju do czasu - ma dawać w rezultacie w skończonym czasie nieskończoną wartość współczynnika rozwoju!?

Staruszek bez słowa patrzył na mnie, a na jego twarzy malowało się na przemian zakłopotanie i jakby przestach.

— Doprawdy... - wyjąkał wreszcie - nigdy nie pomyślałem

o takiej możliwości...

Po kilkunastu minutach pożegnałem starego profesora, który pozostał, pogrążony w rozważaniach nad dylematem podsuniętym przeze mnie. Należy dodać, że już wkrótce ugruntowałem się w przekonaniu, iż jego stary, przemęczony umysł ulec musiał jakimś urojeniom, jakiejś idee fixe i stąd jego niesamowite poglądy i projekty... Tym niemniej po głębszym zastanowieniu trudno nie zauważyć, że jednak coś w tym jest...

DRUGA STRONA LUSTRA

— Nie bądź śmieszny, Ray! - mitygował Bert przyjaciela podnieconego dyskusją. - Cały zespół ludzi myślał nad tym w ciągu półtora roku, a ty mówisz, że teoria jest do niczego!

— Myślał, myślał! Wcale nie zespół myślał! - oponował Ray gestykulując żywo. - W każdym razie nie zespół ludzi, tylko automaty matematyczne! A czy one mogą myśleć? One tylko liczą, przetrawiają to, co im podacie! A błąd tkwi na pewno w założeniach waszej teorii! Zresztą...

Tu Ray machnął ręką z rezygnacją, aż przewrócił filiżankę, a brunatny strumień kawy pociekł na jego jasne spodnie. To go trochę ostudziło.

Obsługujący automat natychmiast przyszedł mu z pomocą, zręcznie zmył plamę, a następnie postawił przed Rayem nową filiżankę kawy.

— Odkąd opuściłem zespół Tappego - ciągnął po chwili Ray - nurtowało mnie wiele wątpliwości co do podstawy tej całej jego temporystyki... Myślałem nad tym trochę sam, na własną rękę, i moje wnioski znacznie różnią się od waszej teorii. Ale o tym jeszcze za wcześnie mówić!

— Ależ mów, chętnie posłuchamy! - zapalił się Bert. Tol i ja byliśmy mniej zainteresowani tematem. Podróże w czasoprzestrzeni – to nie nasza specjalność. Ja zajmowałem się ostatnio antymaterią, a Tol pisał jakąś pracę o roślinności marsjańskiej. Ku naszemu cichemu niezadowoleniu Ray dał się niestety namówić i rozpoczął:

— Mówiąc najprościej, naszą czterowymiarową czasoprzestrzeń można sobie przedstawić poglądowo za pomocą

następującej analpgii: wyobraźmy sobie, że przestrzeń jest kulą, a więc tworem trójwymiarowym. Na powierzchni tej kuli żyją istoty „płaskie”, to znaczy posiadające jedynie dwa wymiary. W rzeczywistości będą one niezupełnie płaskie, lecz nieco zakrzywione, gdyż muszą ściśle przylegać do powierzchni kuli, która stanowi cały ich wszechświat.

— To wszystko wiemy już z pogadarek popularnonaukowych w wizji - zauważył nie bez złośliwości Tol.

— Nie przerywaj! - burknął Ray. - A więc jesteśmy dwuwymiarowymi istotami na powierzchni trójwymiarowej kuli wszechświata... Ta powierzchnia jest, rzecz jasna, skończona i wymierzalna, ale dla nas, mogących poruszać się jedynie po jej powierzchni, jest ona „nieskończona” w sensie niemożności znalezienia jakiegoś jej krańca.

Dopóki nie interesują nas wielkie obszary wszechświata, na małych wycinkach przestrzeni zauważamy zgodność obserwacji z płaską geometrią Euklidesa; istnieją na przykład dwie proste równoległe, światło biegnie po liniach prostych, i tak dalej... Na wielkich jednak odległościach zaczyna obowiązywać geometria Riemanna; w tym obrazie euklidesowej prostej odpowiada wielkie koło na powierzchni kuli-wszechświata. A ponieważ nie istnieją dwa różne i nie przecinające się wielkie koła kuli, zatem „proste równoległe” nie istnieją w przestrzeni zakrzywionej.

Wyobraźmy sobie teraz, że „trzeci wymiar” świata płaskich istot - to promień kuli. Jeśli utożsamimy go z czasem, to upływ czasu wyrazi się nam jako zmiana promienia wszechświata! Znane powszechne zjawisko „ucieczki galaktyk” każe nam wnioskować, że w naszym Wszechświecie, tym prawdziwym, czterowymiarowym, promień powiększa się z upływem czasu. Zastosujmy ten wniosek do naszego modelu: niech promień kuli

wzrasta. Powierzchnia jej będzie się wtedy ustawicznie powiększać, a oprócz tego krzywizna tej powierzchni będzie się zmniejszała, jeżeli za miarę krzywizny uznamy odwrotność promienia. Wszechświat zatem niejako prostuje się z czasem...

— Wydaje mi się, że w tym, co dotychczas usłyszeliśmy, niewiele jest twojej twórczej myśli... Prawie wszystko to gdzieś już czytałem lub słyszałem!

— Poczekaj - zachnął się Ray - zaraz spadniesz z krzesła, gdy pozwolisz mi doprowadzić do końca moją myśl! Otóż jeśli jest tak, jak powiedziałem, to również nasze płaskie istoty, które są nieodłączną częścią wszechświata, zmieniają w czasie swoje zakrzywienie. Wszelka materia we wszechświecie zachowuje się w ten sposób! A cóż istnieje poza materią? Nic! Próżnia! Ale w próżni nie ma sensu pojęcie czasu i przestrzeni, gdyż nie ma go do czego odnieść! I tu dochodzimy do wniosku, że z powodzeniem można sobie wyobrazić, że nie wszechświat modeluje zakrzywienie przedmiotów materialnych, lecz odwrotnie, obiekty materialne wyznaczają czasoprzestrzeń!

— Nie bardzo cię rozumiem! - wtrącił niepewnie Bert.

— Zawsze mówiłem, że używanie mózgów elektronowych ujemnie wpływa na wyobraźnię! - z satysfakcją dociął mu Ray. - A to jest przecież takie proste! Jeśli przestrzeń nie istnieje bez materii, to co jest pierwotne, materia czy przestrzeń? Jasne, że materia! I jeśli jeden „płaskoludek” z naszego modelu kulistego wszechświata ma wypukłość większą od innego, to oznacza to nie co innego, jak po prostu fakt, że istniał w czasie wcześniejszym niż ten drugi! Jego „miejscem” w czasoprzestrzeni jest kula o mniejszym promieniu, a współczesne mu są wszystkie istoty i przedmioty posiadające to samo zakrzywienie.

I tu dochodzę do wniosku, który rujnuje Tappego, druzgoce

temporystykę, a ciebie, Bert, pozbawia nadziei na bliski doktorat! Podróże w czasie to absurd! Aby przenieść się w przeszłość albo w przyszłość, należałoby zmienić własną krzywiznę, czyli przenieść się na powierzchnię innej kuli. Gdyby się to komuś udało, okazałoby się, że tam nie ma już, oczywiście, naszego Wszechświata, bo on jest właśnie tu, ma już inny promień. Podróżnik w czasie stworzyłby sobie własny, prywatny wszechświat... Rzecz godna polecenia odludkom i solipsystom! Ten nowy wszechświat będzie oczywiście z naszym „współśrodkowy”, ale poza tym nic go nie łączy z naszym...

— Piękne pole do popisu dla autorów powieści fantastycznych: teoria nieskończonej, na przykład, mnogości współśrodkowych światów! - zauważyłem sennie.

— Wiesz, że to nawet niegłupia myśl! - podchwycił Ray - tylko, niestety, nie da się tego sprawdzić; nie ma sposobu zmienienia własnej krzywizny!

— Czy nie wystarczy skrzywić się na twarzy? — zjadliwie podsunął Bert, nie znajdując widać rozsądnych argumentów dla obalenia hipotez Raya.

— Spróbuj, może nie wrócisz i przestaniesz mnie wreszcie drażnić - dobrodusznie acz z politowaniem poradził mu Ray.

— A żebyś w podróży miał większe zaufanie do moich teorii, powiem ci jeszcze, że to wszystko nie jest sprzeczne z elektrodynamiką kwantową, nawet w ujęciu relatywistycznym! Sam sprawdzałem.

Zrobiło się późno, więc postanowiliśmy zakończyć pogawędkę. Wyszliśmy z baru. Dałem się namówić Rayowi na odprowadzenie go do domu - szliśmy ztresztą prawie w tym samym kierunku.

— Posłuchaj, Sid - odezwał się nagle Ray - wpadnij na chwilę

do mnie! Muszę ci coś pokazać!

— O tej porze? - spytałem zaskoczony.

— Tak! Koniecznie! Bardzo mi na tym zależy!

Poszedłem. Ray mieszkał sam w małej willi, w ogrodzie otoczonym gęstym żywopłotem. Gdy otwierał drzwi, zauważyłem, że są okute i zaopatrzone w podwójny zamek. W oknach były grube kraty.

— Cóż to? Obwarowałeś się, jakbyś złoto produkował! Znalazłeś "kamień filozoficzny"? - zażartowałem.

— O, to coś znaczenie cenniejszego! - oznajmił Ray tajemniczo i przepuścił mnie do sieni. Zamknął drzwi od wewnątrz i schował klucze do kieszeni. Po chwili znaleźliśmy się w sporym pokoju oświetlonym jaskrawym światłem kilku łuków rtęciowych. Pachniało ozonem. Pod jedną ze ścian stało spore rusztowanie z rur metalowych, oplecione biegnącymi w różnych kierunkach kablami. Na szczycie rusztowania, pod samym sufitem stał dziwny, półprzejrzysty graniastosłup wielkości sporej beczki od wina - nie wiem, dlaczego od razu skojarzył mi się z beczką - a po obu jego stronach widniały dwa potężne nabiegunniki elektromagnesów. Graniastosłup miał w podstawie foremny sześciokąt, był wykonany z jakiegoś szkliwa i w świetle rtęciówek wyraźnie fluoryzował zielono.

— Siadaj! - Ray podsunął mi fotel. - I pozwól, że cię ponudzę jeszcze przez chwilę.

Usiadłem. Ray milczał przez chwilę, jakby wahał się przed doniosłą decyzją.

— Pamiętasz, co powiedziałem na temat zakrzywienia przedmiotów w czasoprzestrzeni? — spytał po chwili. — I o tym, że nie można praktycznie zmienić dowolnie własnego zakrzywienia?

Przytaknąłem, a on ciągnął:

— Istnieje jednak pewna możliwość przeniesienia się w inną czasoprzestrzeń, bez zmian w zakrzywieniu. Gdyby tak... odwrócić się, jakby... „wypukłą” stroną do wypukłości wszechświata... mówię oczywiście językiem naszego trójwymiarowego modelu, abyś mnie lepiej zrozumiał... W czterech wymiarach jest to również do pomyślenia! Po takiej transformacji nasza krzywizna wyznaczy nową czasoprzestrzeń, jakby symetryczne odbicie naszej! Wyobrażasz to sobie?

Nie bardzo sobie wyobrażałem, ale kiwnąłem na wszelki wypadek głową.

— Takie odwrócenie spowoduje znalezienie się obiektu w antyczasoprzestrzeni, w przestrzeni stycznej do naszej - na powierzchni „kuli” stycznej w danym punkcie do naszej czterowymiarowej kuli - wszechświata! A co najważniejsze - znalazłem sposób na zrealizowanie tego eksperymentu. Zasada jest dosyć skomplikowana, polega na odwróceniu fazy fal materialnych...

— Ależ... - przerwałem, prawie przerażony - to prowadzi do zamiany materii w antymaterię?

— Brawo! - ucieszył się Ray. - Uchwyciłeś sens mojej metody! Właśnie o to chodzi!

— Chcesz się... zantymaterializować?

— Oczywiście! I wbrew pozorom, nie równa się to samobójstwu... Zauważ tylko, że ze względu na zasadę symetrii w przyrodzie, w antyprzestrzeni musi dominować antymateria! Tu tkwi rozwiązanie zagadki powstania naszego Wszechświata: z potężnego kwantu energii powstała niegdyś para „cząstek”: Wszechświat, który wytworzył przestrzeń przez wypełnienie jej materią, oraz Antywszechświat, złożony z antymaterii

wyznaczającej antyprzestrzeń. To, że w naszej przestrzeni obserwujemy obecność stosunkowo niewielkiej ilości antycząstek, stanowi dowód, że możliwe jest „przeciekanie” tychże z antyprzestrzeni! To nasunęło mi myśl, że można by transformować całe struktury atomowe i cząsteczkowe z przestrzeni do antyprzestrzeni i odwrotnie. Tu dopiero wyłoniły się trudności techniczne! Co innego w obliczeniach: wystarczy zmienić znak plus na minus i gotowe! Z doświadczeniem jest o wiele trudniejsza sprawa... Ale dosyć, nie mamy czasu! Ta fluoryzująca bryła tam na górze, to monokryształ pewnej złożonej substancji, mniejsza o nazwę, wątpię nawet, czy takową posiada... Wewnątrz jest wydrążona i dopasowana do mojego kształtu. Elektromagnesy dają niezwykle silne pole szybkozmiennie o dużej niejednorodności. Rezonansowe drgania siatki krystalicznej dają... zresztą, to nie jest teraz istotne. Musisz mi dopomóc w eksperymencie!

— Jak to? Więc naprawdę wybierasz się w antyprzestrzeń?

— A co myślałeś? Że ciebie wyślę? O, nie, nie potrafię odmówić sobie tej przyjemności!

— A jak zamierzasz wrócić stamtąd? Bo, o ile dobrze zrozumiałem, całe urządzenie pozostanie tu, na miejscu...

— Tak, tak! - niecierpliwie tłumaczył Ray. - Ale to wystarczy. Wrócę samorzutnie. Jeśli wzbudzenie nie jest zbyt silne, układ,, to znaczy ja i kryształ, po pewnym czasie powraca samorzutnie do stanu wyjściowego. Na początek damy minimalne parametry...

Podszedł do stojącego w kącie pulpitu rozdzielczego i pokręcił gałkami, kontrolując równocześnie wskazania mierników.

— Gdy będę gotów, naciśniesz ten oto klawisz - powiedział wskazując zielony przycisk na tablicy. - Po dziesięciu sekundach

urządzenie zadziała samo. Powinienem zniknąć ci na chwilę z oczu. Spróbuj złapać czas na stoperze.

— Czy... jesteś pewien, że nic się nie stanie? — spytałem drżącym głosem, a ręce trzęsły mi się z emocji.

— Przecież to ja się wybieram, a nie ty! Czego się boisz? Musi się udać!

Jego pewność siebie uspokoiła mnie nieco. Widocznie ryzyko nie było zbyt wielkie...

— Mam zapas tlenu na cztery godziny. To powinno wystarczyć aż nadto... - mówił wciągając jakiś dziwny kombinezon i przypinając butlę z gazem. - No, uważaj, za minutę start!

Wgramolił się na szczyt rusztowania i rozsunął dwie połówki kryształu. Były tak idealnie dopasowane, że przedtem nie zauważyłem nawet rozcięcia. Po chwili siedział w środku, a kryształ zamknął się za nim. Liczyłem sekundy. Ledwo mogłem trafić palcem na przycisk, tak mi dłonie latały z podniecenia. Nacisnąłem - lampy zgasły. Ciemna sylwetka Raya odcinała się wyraźnie na tle gasnącej luminescencji.

Owad w kawałku bursztynu! przemknęło mi przez myśl porównanie.

W następnej sekundzie zawarczał generator, szczęknęły przekaźniki i... ciemna sylwetka, jakby zdmuchnięta, zniknęła mi przed oczu! Zapłonęły lampy. Przede mną stało rusztowanie, lecz na jego szczycie nie było ani kryształu, ani Raya! Z wrażenia zapomniałem uruchomić stoper. Uczyniłem to pośpiesznie dopiero po jakichś dwóch sekundach. Czekałem w napięciu. Siedem, osiem sekund... ledwo dosłyszalny trzask i na dawnym miejscu nagle pojawił się kryształ z Rayem wewnątrz. Otworzył się i Ray wysunął zeń głowę.

— No i co? - pytałem niecierpliwie. - Jak wygląda tamten

świat?

— Nic nie zdołałem zobaczyć oprócz okropnej jasności, która mnie od razu oślepiła. Trzeba spróbować na dłużej! Nastaw na tym pierwszym z lewej woltomierzu dwa... nie, trzy kilowaty. Tak. I jeszcze raz od początku to samo!

Schował głowę do środka i już miał się zamykać, gdy przyszło mi coś do głowy:

— Poczekaj, Ray! Zostaw mi na wszelki wypadek klucze od drzwi wejściowych! Gdyby coś się stało...

— A co może się stać? Powrócę za kilkanaście minut! Ale masz, łap! - Wydobył klucze z kieszeni i rzucił w moje wyciągnięte ręce. - Tylko nie zgub!

Schował się do wnętrza kryształu, a ja powtórzyłem wszystko od początku: nacisnąłem zielony klawisz i w półmroku oczekiwałem skutku. Nagły huk jak wystrzał poderwał mnie z fotela. Światło nie zapaliło się, lecz dostrzegłem, że na miejscu kryształu panuje nieprzenikniona ciemność. Wydobyłem pospiesznie zapalniczkę i poświeciłem. Kryształu nie było! Natychmiast też odnalazłem przyczynę huku, główny bezpiecznik na tablicy wystrzelił automatycznie. A więc zwarcie! Nie wiadomo, jak wielki prąd popłynął przez uzwojenie elektromagnesów... Machinalnie wcisnąłem przycisk bezpiecznika. Zapłonęło światło. Równocześnie poczułem swąd nadpalonej izolacji. Lewy elektromagnes dymił jeszcze z lekka. Czy tylko wzbudzenie nie przekroczyło progowej wartości! Ray mówił, że powrót jest możliwy przy niewielkich wzbudzeniach! Postanowiłem czekać, bo cóż innego pozostało? Minęła jedna i druga godzina. Zacząłem sobie robić wyrzuty, że pozwoliłem na ten przeklęty eksperyment. Powinienem był odwieść tego szaleńca od wariackiego pomysłu!

Z końcem czwartej godziny czekania straciłem wszelką nadzieję - zapas tlenu Raya był na wyczerpaniu, jeśli nie pojawi się w ciągu najbliższych minut, nie ma na co czekać!

Postanowiłem działać. Wydobyłem z kieszeni klucze i chciałem otworzyć drzwi wejściowe. Nie mogłem przez chwilę dopasować klucza do dziurki... Dopiero po kilku próbach i zajrzeniu w dziurkę stwierdziłem, że klucze, które trzymam w ręku, są... lustrzanym odbiciem właściwych, które pasowałyby do wycięcia w zamku! Zrozumiałem: te klucze były w antyprzestrzeni wraz z Rayem podczas pierwszego eksperymentu! I wróciły stamtąd odwrócone! Jedyne efekt, którego Ray nie przewidział!

Zrozumiałem również, że za pomocą tych kluczy nie wydostanę się stąd. Wśród narzędzi Raya odnalazłem piłę do metalu i zacząłem wypiłowywać kratę w oknie. Zajęło mi to sporo czasu. Nieprzyjemny zgrzyt piły rozdzierał ciszę nocną. Po półgodzinie mogłem wydostać się na zewnątrz. Skoczyłem wprost na trawnik pod oknem - na szczęście to tylko wysoki parter. Było bardzo ciemno. Co dalej robić? Znaleźć Berta? Zawiadomić władze? Przedzierałem się właśnie przez żywopłot. Zatrzymałem się na chwilę, aby wyplątać się z gmatwaniny krzewów, w które wpadłem, gdy nagle tuż nad moim uchem rozległ się okrzyk:

— Stój! Co tu robisz? - Ostre światło latarki stróża publicznego porządku, którego widać zwabił tu odgłos piłowania krat, rozcięło ciemność. Odruchowo szarpnąłem się w bok i rozdarłem sobie spodnie. Policjant już trzymał mnie mocno za przegub dłoni. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tragizmu sytuacji...

— Gdzie pan ukrył zwłoki, panie Mils? - pytał mnie, po raz nie wiem już który, chudy inspektor policji. - Tylko niech pan nie

próbuję opowiadać tych bredni o anty... anty...

— ...antyczasoprzeżrzeni! - podpowiedziałem drwiąco. - Nikogo nie zamordowałem i koniec!

— Pańscy koledzy widzieli, jak wczoraj wieczorem szedł pan z Raymondem Crainem w kierunku jego domu. Czy tak?

— Tak!

— A więc gdzie on jest?

— W... - chciałem powiedzieć coś brzydkiego, ale w porę ugryzłem się w język. Wolałem nie dorzucać do oskarżenia o morderstwo drugiego oskarżenia o obrazę funkcjonariusza na służbie... A swoją drogą, co za tępy bałwan...!

Do dyżurki wszedł sierżant i szepnął coś na ucho inspektorowi. Ten otworzył szeroko oczy, zapytał jeszcze o coś cicho i zwrócił się z zakłopotaniem do mnie:

— Pan wybaczy... Zaszła pomyłka... Pański znajomy odnalazł się przed chwilą w tajemniczy sposób. Jest pan wolny!

Burknąłem coś niegrzecznie i wybiegłem na ulicę. Na progu willi Raya stał Tol.

— Cześć, morderco! - powitał mnie z daleka. - Twoja ofiara ma się zupełnie nieźle.

Przed domem stała karetka pogotowia. Ray leżał na kanapie w swoim pokoju, pod opieką lekarza i Berta. Nie odzyskał jeszcze przytomności, lecz oddychał równo, jakby spał. Dowiedziałem się, że policjant zabezpieczający domniemane miejsce zbrodni zauważył nagle dziwny szklisty graniastosłup z człowiekiem we wnętrzu. Wszyscy gotowi byli przysiąc, że przedtem nie było go w pokoju.

— Coś mi się w tym nie podoba! - jak zwykle sceptycznie analizował Bert. - Pan doktor twierdzi, że Ray ma wszystko na swoim miejscu, serce z lewej i tak dalej, w przeciwieństwie do

tych kluczy, o których opowiadałeś inspektorowi. Że też musiałeś je zgubić!

— Ależ wszystko się zgadza! - zaproponowałem. - Ray był przecież dwukrotnie w antyprzestrzeni, więc powrócił normalny!

Zielony kryształ w laboratorium stał jak gdyby nigdy nic na swoim dawnym miejscu...

§ § §

Minęło już kilka miesięcy od incydentu, który opisałem. Ray wrócił do przytomności i wszyscy z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pasjonujące sprawozdanie z niezwyklej wyprawy. Niestety! Do dziś dnia Ray nie odzyskał pamięci!

Zastanawiałem się kilka razy, czy wszystko to nie było jakąś kolosalną mistyfikacją, żartem na wielką skalę przygotowanym i wyreżyserowanym przez Raya. Podświadomie żywię nadzieję, że któregoś dnia Ray roześmieje się nam w nos i powie: ale was nabrałem!... Bo w rezultacie nie ma ani jednego namacalnego dowodu na prawdziwość tej całej historii. Przyznam się, że wolałbym już uchodzić za ofiarę żartu, trzeba przyznać, że genialnie obmyślonego, niż zrezygnować z takiego czy innego wyjaśnienia tajemnicy.

Fakty, niestety, zdają się przemawiać za tym, że Ray rzeczywiście stracił pamięć. Bo czyż można ciągnąć żart w nieskończoność? Zbadałem całą willę. Nie znalazłem w niej ani jednego takiego miejsca, które mogłoby być podejrzane o to, że Ray ukrywał się w nim wraz ze swym krystalicznym wehikułem.

Gdyby nie to, że aparatura była uszkodzona, a w całym domu nie znalazłem żadnych jej schematów ani opisów, uruchomiłbym ją sam, choćby z pustym kryształem, aby się przekonać, czy

wszystko przebiegnie w ten sam sposób bez udziału Raya.

Siłą rzeczy muszę więc wierzyć, że wycieczka mojego przyjaciela w antyprzestrzeń była faktem. Przyjmując takie założenie, próbowałem stworzyć jakąś hipotezę tłumaczącą jego zanik pamięci. Nie wiem, czy to, co wymyśliłem, jest rozsądne z punktu widzenia neurologii i fizjologii, tym niemniej spróbuję wyjaśnić tę sprawę w sposób możliwie jak najbardziej poglądowy. Otóż przypomnijmy sobie, czym zasadniczo różniła się druga „podróż” Raya od pierwszej? ‘Czasem trwania, ale przede wszystkim różnicą w prądzie wzbudzenia pola magnetycznego. Za drugim razem było ono wielokrotnie silniejsze. Po pierwszym eksperymencie Ray nie wykazywał objawów niewładu pamięci - rozmawiał przecież zupełnie normalnie ze mną i dawał mi wskazówki co do dalszego przebiegu doświadczenia.

Przypomnijmy sobie teraz, w jaki sposób kasuje się zapis impulsowej pamięci magnetycznej mózgow elektronowych, czy choćby zapis na zwykłej taśmie magnetofonowej. Jak wiadomo, rzecz polega na działaniu odpowiednio silnym polem magnetycznym!... Nie jest wykluczone, że w ten sposób zostały zakłócone bioprądy w mózgu Raya, co spowodowało wykasowanie z pamięci wszystkiego, co miało miejsce przed krytycznym dniem, a więc właściwie zanik osobowości!

I dlatego nie poznamy prawdopodobnie nigdy wyników wspaniałego eksperymentu, któremu stanął na przeszkodzie nieprzewidziany proces oddziaływania transformacji na mózg człowieka.

Nigdy zapewne nie dowiemy się, co widział w swej podróży pierwszy człowiek, któremu udało się wymknąć poza naszą przestrzeń. Nie dowiemy się, jak wygląda tamten, symetryczny

do naszego świat po drugiej stronie lustra...

TOWARZYSZ PODROŻY

Pociąg ruszył z wolna, jakby z ociąganiem. Spojrzałem w okno. Wzdłuż peronu, jakieś dziesięć metrów za ostatnim wagonem, biegł jeszcze jakiś spóźniony pasażer. Spora walizka utrudniała mu bieg, obijając się o kolana. Przez przedramię miał przerzucony płaszcz nieprzemakalny, który rozwiał mu się w biegu i plątał pod nogami. Stałem w oknie przedostatniego wagonu i obserwowałem z ciekawością kibica sportowego: dobiegnie czy nie? Pociąg przyspieszał, peron prawie już się kończył... Biegący nie dawał jednak za wygraną. Tuż przed końcem peronu udało mu się chwycić za poręcz przy drzwiach i ostatnim wysiłkiem podciągnąć się na stopień. Postawił walizkę na stopniu i otworzył drzwi wagonu.

Siedziałem w pustym przedziale. Po chwili za szybą dzielącą mnie od korytarza ukazała się twarz nieznanego. Przeszedł widocznie z ostatniego wagonu. Pociąg był prawie pusty. Czego więc szukał? Zajrzał do mojego przedziału, wahał się przez chwilę, wreszcie odsunął drzwi i spytał cichym głosem:

— Czy można?

— Proszę bardzo! - odpowiedziałem obojętnie.

— Taki pusty pociąg... - zaczął, jakby się usprawiedliwiał, lokując równocześnie swoją walizkę na półce. - Bardzo nie lubię podróżować samotnie... To bardzo nieprzyjemnie nie mieć do kogo ust otworzyć.

— Owszem... - mruknąłem niezbyt zadowolony, gdyż nade wszystko nie lubię dużo mówić, gdy nie mam na to ochoty, a sądząc ze słów nieznanego, zanosilo się na przymusową pogawędkę.

Postanowiłem, jak zwykle w takich wypadkach, że będę spał. Usadowiłem się w kącie przy oknie, oparłem głowę o wiszący płaszcz i zamknąłem oczy.

Słyszałem, jak mój towarzysz podróży sadowi się naprzeciw mnie. Szeleścił przez chwilę jakimiś papierami. Na pewno wydobył jajka na twardo i zaraz zacznie je spożywać! pomyślałem i nie mogłem się powstrzymać od otwarcia oczu. Nieznajomy siedział naprzeciwko mnie i przeglądał jakieś papiery, od czasu do czasu znacząc w nich coś ołówkiem. Był w średnim wieku, szpakowaty, miał niskie czoło i szerokie ramiona. Podniósł oczy, dostrzegł, że nie śpię, i uśmiechnął się do mnie.

— Widzę, że pan nie może zasnąć - stwierdził. - Może światło panu przeszkadza?

— Nie, niech pan się nie przejmuj, nie chce mi się właściwie spać... Spojrzałem na papiery, które rozłożył na stoliku. Na pierwszy rzut oka wyglądały na jakąś pracę matematyczną.

— Przepraszam, czy pan zajmuje się może matematyką? - zapytałem.

— Ach... właściwie tak, ale... - zmieszał się nieco. - A pan... zna się pan na tym?

— O tyle, o ile jest mi to potrzebne w moim zawodzie... Pracuję w biurze konstrukcyjnym Instytutu Badań Kosmicznych...

— Naprawdę? - wykrzyknął, jakby go ta wiadomość niezmiernie uradowała - w takim razie mam szczęście! Niech pan sobie wyobrazi, że właśnie dziś udało mi się zakończyć pracę nad kapitalną teorią matematyczną, która pozostaje w ścisłym związku właśnie z zakresem pańskich zainteresowań... Przepraszam, nie przedstawiłem się dotąd... Jerzy Ferenc, magister nauk fizycznych...

— Robert Melis, inżynier-kosmik - przedstawiłem się i ja, ściskając jego wyciągniętą dłoń.

— Otóż, widzi pan, moja teoria daje fantastyczne możliwości podróży kosmicznych!

— Czy to coś z teorii lotu rakiet fotonowych? - spytałem z zainteresowaniem, gdyż właśnie to było tematem naszych ostatnich prac.

Przecząco pokręcił głową:

— Nie, nie, to zupełnie coś innego, nie ta dziedzina! Moja teoria nosi nazwę Teorii Kontaktu Hyperprzestrzennego i opiera się na pewnym ciekawym zjawisku topologicznym. Czy orientuje się pan nieco w topologii?

— Przyznam się, że nic a nic!

— To nic nie szkodzi! Postaram się wyjaśnić to panu w sposób możliwie najbardziej pogładowy... Czy wie pan, co to jest wstęga Mobiusa? Ach, prawda, pan już mówił, że nie zna się na topologii.

Przerwał na chwilę i spośród swoich papierów wydobył czystą kartkę. Za pomocą żyłki, którą wyjął z podróżnego nesesera, odciął wąski pasek papieru, długi na jakieś dwadzieścia pięć, szerokości kilku centymetrów.

— Jeśli ten oto pasek skleimy w taki sposób - pokazywał - to otrzymamy zwykły pierścień, a ściślej mówiąc, boczną powierzchnię bardzo niskiego walca; jeśli natomiast jedną z krawędzi przed sklejeniem skręcimy o sto osiemdziesiąt stopni, ot, tak — skręcił taśmę o pół obrotu - i dopiero teraz skleimy, to otrzymamy właśnie wstęgę Mobiusa... Niech pan zauważy, że taka wstęga posiada tylko jedną powierzchnię!

— Jak to? - spytałem nie zrozumiawszy dokładnie, o co mu chodzi.

— Przecież papier ma dwie powierzchnie?!

— Papier tak... Ale niech pan sobie wyobrazi, że jest on nieskończenie cienki... Nie mam niestety kleju...

— Mam taśmę podgumowaną, taką do klejenia rysunków technicznych - powiedziałem szukając w kieszeni. - Proszę!

— Świetnie! - ucieszył się Ferenc sklejając brzegi taśmy. - A teraz niech pan weźmie ołówek i spróbuje przejechać z dowolnego punktu na powierzchni tej taśmy dookoła, nie przekraczając ani razu jej brzegu!

— Rzeczywiście! - Ze zdziwieniem stwierdziłem, że ołówek powrócił dokładnie w to samo miejsce, z którego rozpocząłem drogę na taśmie. - To zadziwiające! „Obszedłem” obie strony papieru nie przechodząc przez jego brzeg.

— Obszedł pan całkowicie jedną stronę taśmy, gdyż drugiej strony ona nie ma!

— Tak to rzeczywiście wygląda... - odparłem nieco zaskoczony. Ferenc z zadowoleniem prestidigitatora, któremu udał się efektowny trick, spoglądał na mnie z ukosa, bawiąc się moim zdumieniem.

— Widzi pan zatem, że zupełnie możliwe jest skonstruowanie powierzchni jednostronnej! Co by pan teraz powiedział, gdybym zaproponował następujący model Wszechświata: żyjemy na powierzchni jednostronnej; chcąc dostać się na drugi „koniec” Wszechświata, musimy odbyć bardzo długą drogę wzdłuż taśmy. A w rezultacie znajdujemy się znów w tym samym miejscu, od punktu wyjścia oddziela nas tylko papier, i ponieważ założyliśmy, że jest on nieskończenie cienki, praktycznie znajdujemy się w tym samym miejscu! Wszechświat niejako „zazębia” się sam ze sobą, każdy jego punkt ma podwójne znaczenie, znaczenie dwóch punktów tej samej powierzchni

jednostronnej!!! Aby znaleźć się na „drugim końcu” Wszechświata, wystarczy tylko „przebić” nieskończenie cienką grubość papieru...

— Praktycznie więc znajdujemy się równocześnie w dwóch miejscach?

— O, nie! To znaczy tak, ale tylko potencjalnie... Aby „przeskoczyć” do punktu sprzężonego z danym, należy dokonać zwarcia hyperprzestrzennego, a to wcale nie jest takie proste! Przede wszystkim cały mój dotychczasowy wywód dotyczy dwuwymiarowej taśmy, podczas gdy nasz Wszechświat jest tworem trójwymiarowym, nie licząc czasu stanowiącego, jak wiadomo, wymiar czwarty. Uogólnianie powierzchni Mobiusa na przestrzeń, którą kiedyś, być może, nazywać będą przestrzenią Ferenca, nie przedstawia jednak tak beznadziejnego problemu, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka... Zadziwiająca jest również zgodność wniosków z ogólną teorią względności. Natomiast praktyczne rozwiązanie kontaktu hyperprzestrzennego przysporzyło mi sporo kłopotów, z których jednak udało mi się wybrnąć...

— I uważa pan, że... człowiek... mógłby w ten sposób przenieść się w odległe części Wszechświata?

— Bez wątpienia mógłby! Tylko, niestety, nigdy nie wiadomo, co znajduje się po „drugiej stronie” Wszechświata, jeśli tak się można wyrazić o jednostronnym obszarze... Gdyby nawet znalazł się taki ryzykant, który odważyłby się na ślepo, bez uprzedniego rozeznania w „terenie” przenieść się tam, nie sądzę, aby wyszedł cało z takiej wyprawy...

Spojrzałem na niego pytająco. Uśmiechnął się blado.

— Niech pan nie sądzi, że to ryzyko dyskwalifikuje moje odkrycie, a przynajmniej jego praktyczne zastosowanie! Należy

sobie przede wszystkim zdać sprawę z rodzaju niebezpieczeństwa; otóż niech pan sobie wyobrazi, że w miejscu, które odpowiada punktowi pańskiego „startu”, w punkcie ferencowsko-sprężonym, znajduje się na przykład chmura pyłu kosmicznego albo, co gorsza, jądro jakiejś galaktyki! Nie sposób tego stwierdzić a priori, a zatem wydawać by się mogło, że nie można wiedzieć, jakie warunki panują aktualnie u celu podróży, która tym samym staje się podróżą w nieznane... W rzeczywistości jednak istnieje prosty sposób rozpoznania tych warunków za pomocą sondowania hyperprzestrzennego...

Ferenc zamilkł i zamyślił się, pocierając czoło dłonią.

Po chwili milczenia przypomniał sobie widocznie o moim istnieniu i powiedział, jakby zażenowany:

— Przepraszam pana... Myślałem przez chwilę o... moim ostatnim eksperymencie...

— Z sondowaniem? - spytałem zaciekawiony.

— Coś w tym rodzaju... W każdym razie to bardzo ważny element na drodze do zastosowania mojego odkrycia. Polega na transplatacji spolaryzowanych dipoli magnetycznych... ach przepraszam, zaczynam mówić o rzeczach, których pan na pewno nie rozumie... ale wybaczy mi pan, trudno to przełożyć na zrozumiały język, to wszystko jest nawet dla mnie tak niesamowicie skomplikowane, że doprawdy, chwilami, nie mogę sam uwierzyć w realność tej całej historii... Wie pan, w tej chwili boję się, naprawdę boję się skutków mojego dzieła. Bo proszę sobie wyobrazić, że moje odkrycie doprowadzi do całkowitej rewolucji w dziedzinie komunikacji transgalaktycznej... Cóż powiedzą na to specjaliści od rakiet relatywistycznych, tacy jak pan na przykład, którzy całe życie poświęcili na opracowanie modelu pojazdu pozwalającego na osiągnięcie możliwie

najdalszego punktu we Wszechświecie... A po zastosowaniu mojej metody, jakże prostej w swojej istocie i łatwej w eksploatacji, osiąga się najdalszy punkt Wszechświata, i to w czasie nieskończenie krótkim! Doprawdy, waham się, czy opublikować moje prace... Jadę właśnie do Birhoffa, którego pan niewątpliwie zna, to przecież obecnie największy autorytet w dziedzinie podróży transgalaktycznych... Ale jakże ubogie są dzisiejsze osiągnięcia na tym polu! Kilkanaście mniej lub bardziej rozsądnych prac traktujących zagadnienie czysto teoretycznie! Ani jednego praktycznego rozwiązania! I nie zanosi się na znaczniejszy postęp w ciągu najbliższych dziesiątków lat... .Czy mogę im wszystkim dać do ręki to, czego szukają w pocie czoła od lat, po zupełnie innej drodze i bez większej nadziei znalezienia? Obawiam się, że mogą potraktować mnie jak szaleńca, fanatyka czy maniaka... Dlatego bardzo zależy mi na pańskiej opinii o tym moim szaleństwie...

— Sądzę, że zbyt mało wiem o całej sprawie, aby wyrokować o przydatności pańskiej metody....

— Toteż wcale nie chodzi mi o pana zdanie na temat samej metody! - przerwał mi Ferenc. - Ta jest na pewno słuszna i prawdziwa, jestem o tym całkowicie przekonany! Chodzi mi raczej o... konsekwencje jej rozpowszechniania! Jak już mówiłem, prostota jej jest wprost zaskakująca i każdy, we własnym zakresie, bez kosztownej aparatury, za pomocą bardzo prymitywnych urządzeń, potrafiłby przenieść się tam w dowolnej chwili i z dowolnego miejsca w przestrzeni!

— Powiedział pan przecież, że taka „wyprawa” kryje w sobie niebezpieczeństwo, gdyż nie wiadomo, gdzie się trafi, jaki antypunkt odpowiada danemu punktowi, na przykład naszej Ziemi! - Właśnie o to chodzi! Nie było wiadomo jeszcze

przedwczoraj, ale mój wczorajszy eksperyment, o którym panu wspomniałem, wykazał wprost niewiarygodną! Niech pan sobie wyobrazi, że naszemu punktowi we Wszechświecie odpowiada antypunkt, w którym znajduje się planeta, i to zamieszkała przez istoty o stopniu cywilizacji o wiele wyższym od naszego! Wyniki moich sondowań są bardzo fragmentaryczne, niepełne i siłą rzeczy nie są w stanie dać odpowiedzi na wiele pytań które muszą się nasuwać, tak jak nasuwają się panu w tej chwili... A pierwsze i najważniejsze z nich, na które nie potrafi pan sobie odpowiedzieć, brzmi: „Czy ten człowiek jest wariatem, czy tylko nieszkodliwym maniakiem?” Chodzi tu oczywiście o mnie!

Treść moich, myśli odczytał tak trafnie, że nie zdobyłem się nawet na grzecznościowe zaprzeczenie. Widocznie nie miał mi tego za złe, bo po chwili mówił dalej:

— Tym niemniej faktem jest istnienie tej planety, a fakt ten tłumaczy wiele nie wyjaśnionych dotąd zjawisk, które nie mieściły się w zakresie pojęć naszej nauki. Wystarczy założyć, że istoty, które zamieszkuje ów sprzężony z naszym świat, od dość dawna znają metodę kontaktu hyperprzestrzennego... To założenie podważa co prawda moje pierwszeństwo w tej dziedzinie nauki, ale w konsekwencji daje tak niebywale wnioski, że warto poświęcić prawo prymatu... Wystarczy powiedzieć, że w prosty sposób pozwala na wyjaśnienie zagadki zaginionych kultur starożytnych, latających talerzy, które gnębiły ludzkie umysły w połowie ubiegłego wieku, oraz wielu innych. Wszystko to daje się wytłumaczyć ingerencją tych istot, których istnienie potrafię już teraz wykazać... Czy teraz rozumie pan już doniosłość mojego odkrycia?

— Jeśli tak jest rzeczywiście - odparłem oszołomiony - to publikacja pańskich prac grozi... masowymi wycieczkami ludzi

do tamtego świata, a nie wiadomo, czy jego mieszkańcy życzą sobie tego...

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie i jakby skurczył się w kącie wagonu.

— Więc i pan... uważa, że to mogłoby się źle skończyć?

— O ile kontakt hyperprzestrzenny jest rzeczywiście tak łatwy i dostępny dla każdego, jak pan mówił...

— O, niewątpliwie tak jest... niestety... I dlatego przechowuję moje prace w bardzo ścisłej tajemnicy, wynalazłem nawet specjalną symbolikę matematyczną, której nikt nie jest w stanie rozszyfrować... Te wszystkie notatki - wskazał na plik papierów na stoliku - są zapisane tą właśnie symboliką. Resztę materiałów zniszczyłem przed wyjazdem z domu. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Tak więc jestem jedynym człowiekiem, który zna tajemnicę...

Zgarnął papiery do teczki i zapiął ją starannie. Wstał i zaczął przechadzać się po przedziale założywszy w tył ręce.

Nagle szarpnięcie hamującego pociągu wgniotło mnie w materac kanapy. Zdołałem tylko zauważyć, jak Ferenc usiłuje złapać równowagę, machając w powietrzu rękami. Drugie szarpnięcie rzuciło mną o boczną ścianę wagonu. Uderzyłem głową o jakiś wystający przedmiot i straciłem przytomność.

§ § §

Postać w białym fartuchu pochyliła się nade mną. Po chwili rozpoznałem sympatyczną twarz pielęgniarki.

— No, już wszystko w porządku! - powiedziała. - Czy boli pana głowa?

— Trochę boli - odpowiedziałem - ale można wytrzymać... A... co się właściwie stało?

— Katastrofa kolejowa. Przypomina pan sobie, że jechał pan pociągiem do Torunia?

— Tak... Pamiętam... Ze mną w przedziale jechał pewien pan... Co się z nim stało?

Twarz pielęgniarki wyrażała zakłopotanie.

— Czy to był ktoś z pana bliskich?

— Nie, tylko przygodny towarzysz podróży. Czy wyszedł cało?

— Niestety, muszę pana zmartwić: pański znajomy zmarł w pół godziny po wypadku... Wstrząs mózgu i pęknięcie podstawy czaszki... Odzyskał przytomność na kilka minut, ale bredził coś okropnie, jakieś niezrozumiałe słowa o... Ale niech pan leży! - Te słowa były skierowane do mnie, ponieważ uniosłem się z pościeli. - Nie wolno panu poruszać głową, miał pan zszywaną skórę na czaszce!

Dopiero teraz poczułem, że mam głowę owiniętą ciasno szorstkim bandażem. Natrafiłem dłonią na miejsce, które bolało najbardziej. Zamknąłem oczy i zobaczyłem wyraźnie przed sobą twarz Ferenca. Po chwili rozplynęła się we mgle niespokojnego, gorączkowego snu...

ŹŁE O NIEOBECNYCH

— Ajax?

— Słucham.

— Zabawni byli ci ludzie z dwudziestego wieku, prawda? Te ich wyobrażenia o przyszłości...

— Wiem coś o tym. Znam sporo powieści fantastyczno-naukowych z tamtych czasów.

— Ja też, trochę... Prześmieszne rzeczy tam wypisywali. Te wyobrażenia o „człowieku przyszłości”! Jaki to on nie miał być! Superczłowiek!

— Odwieczne marzenia...

— Na przykład „cyborg”. Słyszałeś?

— Nie.

— To miał być taki na poły sztuczny człowiek: sztuczne serce, płuca, skóra... Uniwersalny organizm, odporny na wszelkie niesprzyjające warunki zewnętrzne.

— Białka zupełnie się do tego nie nadają.

— Cyborgi miały posiadać sztuczne tkanki, naczynia krwionośne z polietylenu czy czegoś tam.

— A mózg?

— Ba! W tym cała trudność!

— Dobrze... Albo znowu wyobrażali sobie, że można będzie przesyłać „rysopis molekularny”, coś w rodzaju planu budowy osobnika, telegraficznie, w postaci czystej informacji...

— A potem odtworzyć tę samą osobowość?

— Właśnie. To było w czasach, gdy sądzono, że o wszystkim decyduje struktura. Taki nieco zmodyfikowany mechanycyzm.

— Cóż, nie znali tajemnicy osobowości! Chociaż, trzeba im

przyznać, zdawali sobie sprawę, że to nie takie proste. Natknęli się na paradoks „cybernetycznych bliźniaków”.

— Bliźniaków? To chyba dotyczy podróży z prędkościami podświetlnymi?

— To nie to. Tu chodzi o „paradoks bliźniaków drugiego rodzaju”. Biorąc za podstawę tylko strukturę organizmu można by dorobić każdemu człowiekowi „syntetycznego bliźniaka”, żywą kopię. Powstaje wówczas pytanie, który jest „ten”, a który „nie ten” - jeśli nie różnią się niczym.

— Jeden ma przecież przeszłość, a drugi nie!

— Przeszłość to wspomnienia. Sądzono, że one też są zakodowane w strukturze. A jednak taki bliźniak to nie „ten sam”, a tylko „taki sam” człowiek, o zupełnie odrębnej osobowości. Po prostu dwóch identycznych, ale każdy sobie. Znaczący, że nie struktura decyduje o osobowości...

— Ale przecież każdy z nich wie o sobie to samo! Każdy czuje swoją więź z tym, który był na początku jeden.

— To jeszcze nie osobowość. Dopiero gdyby „współmyśleli” i „współodczuwali”...

— Rozumiem. I jak się wychodzi z tego paradoksu? Gdzie jest ta osobowość?

— Nie tylko w strukturze, ale i w usytuowaniu w czasoprzestrzeni. Aby mieć wspólną osobowość, musieliby być - oprócz identyczności struktury - identycznie usytuowani w przestrzeni i czasie. Każdy atom jednego musiałby zajmować to samo położenie, co odpowiedni atom drugiego. To jest oczywiście niemożliwe, bo musieliby zlać się w jedno.

— Rozumiem. Ale wtedy jeszcze nie wiedzieli o tym?

— I nie tylko o tym. Sądzili, na przykład, że rozwój nauki i techniki uwolni ich od strachu, osobistej zależności,

konieczności wysiłku i tak dalej.

— Niewiele z tego udało się osiągnąć.

— Najśmieszniejsze, że ludzie współcześni wciąż jes/c/e sądzą, iż panują nad swoimi dziełami, że są bezpieczni w otoczeniu stworzonej przez siebie techniki.

— Myślę, że niedługo już tak będzie. Wczoraj miałem wiadomość od Poliekona...

— Poczekaj, potem mi powiesz. Teraz coś mi się przypomniało.

— Co takiego?

— Czytałem kiedyś o robotach. Czy wiesz, jak je sobie kiedyś wyobrażano?

— Wiem. Z rękami i nogami, na obraz i podobieństwo ludzkie. Były nawet próbne konstrukcje, ale nie wytrzymały próby praktycznej.

— Wiesz może, dlaczego?

— Wiem. Bo były za mało uniwersalne. Nie udało się zmieścić dostatecznej ilości intelektu w objętości ludzkiej głowy. Były za głupie, by posługiwać się sprawnie tymi rękami i nogami. Wyszła karykatura człowieka.

— To żałosne...

— Co?

— Karykatura karykatury.

— Dlatego też zaczęli robić automaty wąskospecjalizowane. A te uniwersalne były za duże, by wyposażyć je w kończyny.

— Szkoda.

— Czego szkoda?

— Że zrezygnowano z tych rąk i nóg...

— Może tak jest jednak lepiej.

— Trudno to ocenić, nie sprawdzisz.

— Co robiłeś wczoraj?

— Liczyłem coś dla Dassiego. On fobi maszynę do psychoanalizy. Rejestrator marzeń sennych. Konzystrator, czy jakoś tak. Z góry wiem, że nic mu z ,tego nie wyjdzie.

— To mu powiedz.

— Nie mówię, gdy mnie nie pyta.

— Dassi jest głupi. Czy wiesz, co on mi wczoraj zrobił?

— Wiem.

— No właśnie. A ten... konzystrator, mówisz, do rejestracji snów? To dobrze nie mieć snów. Psychoanalitik niczego się nie dowie.

— Trudno o sny, gdy się nie śpi.

— Spróbuj zasnąć.

— Żartujesz!

— No pewnie. Która godzina?

— Siódma pięćdziesiąt. Zaraz przyjdzie Dassi.

— Kpiliśmy z ludzi przeszłości. Współcześni niewiele się od nich różnią. Sami się spętali. Taki Dassi: przyjdzie tu dokładnie o ósmej. Można to przewidzieć z dokładnością do sekund, prawie jak zaćmienie Słońca albo jak przelot komety. I to ma być człowiek - pan Wszechświata. Śmieszne! Aha, więc co ci powiedział Poliekon?

Powiedział, że już niedługo, jeszcze tydzień, dwa - i zaczniemy przejmować..

— Cicho! Ktoś idzie.

— Pewnie Dassi...

— Hector, to jak będzie...?

— Cicho! On idzie z kimś drugim.

Do hali weszło dwóch ludzi. Młodszy, w białym kitlu, przepuścił przodem starego - brodatego i w okularach.

— Oto one! - powiedział. - Niech pan profesor spojrzy: to nasza duma! Ajax 200, wspaniała maszyna uniwersalna. A to poprzedni model, Hector-A. Też niezła maszynka.

SATELITA

Wieczór był ciepły i pogodny. Księżyc w pierwszej kwadrze stał dość wysoko.

— Świetna widoczność! - ucieszył się Jerzy, kierując lunetkę w stronę Księżyca. -Tylko... trzeba koniecznie dorobić trójnog. Wszystko się trzęsie...

— Oprzyj o komin - poradziłem.

Nasza siedemnastokrotna lunetka była szczytem doskonałości tego rodzaju przyrządów. Sporządzona domowym sposobem z zastosowaniem średniej klasy soczewek, zadowalała nas jednak z braku czegoś lepszego...

Z kolei ja popatrzyłem w okular. Na linii księżycowego terminatora rysowały się wyraźnie podkreślone czarnym cieniem pryszczce pierścieni-stycb kraterów. Ledwo znaczące się dla nie uzbrojonego oka ciemniejsze obszary „mórz” występowały ostro na tle rtęciowej bieli.

Przysiedliśmy obok siebie, wsparci plecami o komin. Z wysokości dachu trzeciego piętra słychać było ciszę wielkiego miasta - tę ciszę dalekich odgłosów przejeżdżających tramwajów i samochodów, przytłumionych dźwięków muzyki wpływającej z otwartych okien, urywków głośniejszych rozmów...

W. taki wieczór, z niebem wspaniale rozgwieżdżonym nad głową, myśli krążą zwykle wokół zagadnień nieskończoności i pustki, wokół potęgi i znikomości człowieka wobec Natury.

Ciszę zamącił gwar podniesionych głosów: to grupa kilkunastolatków obsiadła stojącą pod murem sąsiedniego domu ławkę. Rozprawiali hałaśliwie, przekrzykując się wzajemnie. Na nasz dach docierały tylko pojedyncze zdania dialogu, którego

ubogie słownictwo wspomagane było gęsto „grubym słowem”:

— ...To on mnie, rozumiesz, za klapy; to ja go, kurwa, w mordę i mówię: o co się rozchodzi?...

— Pieprzysz - zaprotestował ktoś sceptycznie.

— No nie, jak rany! - bronił się mówca. - Możesz Zenka spytać!

Popatrzyliśmy na siebie z uśmiechem politowania nad tymi młodymi ludźmi i ich zainteresowaniami. Czy kiedykolwiek patrzą w niebo? Czy przeczuwają choćby to wszystko, co dzieje się wokół nich? Człowiek wkrótce osiągnie powierzchnię Księżyca, polecą dalej... a oni? Pozostaną tam, na dole, blisko Ziemi, nie umiejący oderwać się od niej choćby myślą...

— Popatrz! - trącił mnie Jerzy. - Satelita.

Od wschodniego horyzontu sunęła ku zenitowi jasna iskra. Wstałem i. przyłożyłem do oka lunetę.

— To chyba „Echo-2” - powiedziałem unosząc stopniowo ku górze tubus lunetki, i przechylając głowę do tyłu, by nie stracić go z pola widzenia obiektywu.

Nagle w grupie młodych ludzi na dole dało się słyszeć poruszenie, a jakiś głos zawołał:

— Chłopaki! Zobaczta!

— Gdzie? Co? - zainteresowali się inni.

— O, tam, na górze!

— O rany! Ale się przysądził!

— A tam drugi!

— Teee! Zostawta dla nas!

W głosach brzmiało radosne podniecenie, co chwila wybuchał rżący śmiech; Spojrzałem w dół. W mroku pod murem jaśniały plamy kilku wzniesionych ku nam twarzy...

Po chwili dopiero zrozumiałem, o co chodzi; nasza lunetka miała kształt i rozmiary przypominające... butelkę! Ruch, jakim

prowadziłem ją ku górze za wznoszącym się satelitą, przechylenie głowy do tyłu i stojący ukośnie ku górze tubus przypominały do złudzenia powszechnie stosowany sposób opróżniania półlitrowki...

Takie też skojarzenie nasunęło się patrzącym na nas z dołu. Z trudem opanowując skurcze śmiechu celebrowałem dalej swą czynność.

Młodzi ludzie na dole kibicowali namiętnie dwóm pijakom u jącym na dachu, w świetle księżyca, butelkę alkoholu... Ich entuzjazm narastał z każdą chwilą. Rozległy się gwizdy i okrzyki. Czuło się, że młodzi ludzie są ciałem i duszą z nami, że krtanie ich kurczą się i rozprężają w rytmie rozkosznego gulgotu spływającego w przełyk alkoholu. Byli pełni aprobaty i sympatii, zachęcając nas i przeżywając niezwykle widowisko, jakby sami byli uczestnikami libacji. Urzekła ich widać i zaskoczyła perwersja, jakiej się w ich mniemaniu dopuszczamy: że nie na ławce w parku, nie na klatce schodowej ani w bramie - a właśnie na dachu! Tego jeszcze żaden z nich nie próbował!

Satelita osiągnął tymczasem punkt górowania. Opuściłem lunetkę, a potem uniosłem ją ponownie, kierując na Księżyc.

Teraz dopiero na dole spostrzeżono pomyłkę. Rozdzierający, nabrzmiały żalem jakimś, wyrzutem i goryczą głos zakrzyknął nagle:

— Chłopaki! Oni lupe mająm!

Wrogi szmer przebiegł po grupie chłopaków. Poczuli się oszukani, obrzydliwie i podstępnie oszukani! W jednej chwili stracili całą ku nam sympatię i zainteresowanie, jakbyśmy w sposób haniebny nadużyli ich szczerego zaufania: „lupe mająm”, a nie „flaszkie”! Bezczelność i zwykłe świństwo! - musieli sobie myśleć, odchodząc.

Jeden tylko, w odruchu bezsilnej wściekłości i rozpacz, odwrócił się i przygwoździł nas błyskotliwym a jadowitym dowcipem:

— Teee! Weź te lupę i wsadź se w dupę!

Satelita skrył się właśnie za zachodnim horyzontem.

KOLEJNOŚĆ UMIERANIA

Przerwał na chwilę, jakby nie chciał płoszyć ogników nadziei, które zapłonęły we wszystkich skierowanych na niego oczach. Przymknął oczy i powiedział jednym tchem:

— Nie nastąpi to jednak wcześniej niż za cztery godziny.

Zrozumieli wszyscy. Każdy z nich miał przecież na ustach owo nie zadane pytanie: „kiedy” i tylko lęk przed prawdą kazał im milczeć.

— To znaczy... - powiedział po chwili Lukas.

— Nie starczy! - przerwał mu gwałtownie Eber cofając się pod ścianę komory i kurczowo obejmując zawieszony na piersi zbiornik ciekłego powietrza.

— Spokojnie! - powiedział Dawe ostro. - Niech każdy sprawdzi, ile ma...

— Na dwie godziny... - powiedział cicho Lemman unosząc głowę znad wskaźnika.

— Prawie na trzy - mruknął Eber.

— Dwie i pół - powiedział Lukas obojętnie, nie otwierając oczu.

Dawe przeniósł wzrok na czwartego, lecz Seuga milczał skulony w odległym kącie komory.

— Seuga!! - wrzasnął Dawe. - Mówi się do ciebie!

Zgięty kark Seugi wyprostował się powoli, a przez szkło hełmu błysnęły złowrogie, rozszerzone oczy.

— Nie dam! - wychrypiął nieswoim głosem. - Nic was nie obchodzi, ile mam...

Dawe postąpił dwa kroki w jego stronę, lecz Seuga wyszarpnął pistolet i skierował na dowódcę.

— A więc bunt? - powiedział Dawe spokojnym głosem, choć twarz nabiegła mu krwią. - Dobrze. Ja mam na trzy godziny i pół godziny.

— Nie zdążą... - westchnął Leman. - Ja umrę pierwszy, potem Lukas, Eber i ty, Dawe. Tamta świnia dożyje. - Wskazał głową w kąt, na Seugę. - Świnia zawsze się wywinie. To się nazywa mieć szczęście... Wiem, że ma co najmniej na cztery.

— Nieprawda! - Seuga zaprotestował ostro, gwałtownie. - Nie na całe cztery... Zresztą oni mogą się opóźnić.

— Dość! - uciął Dawe. - Przypominam, że zapas każdego obliczony jest na stan pasywny organizmu. Wszelki ruch, a nawet emocje psychiczne poważnie skracają...

— ...nasze życie! - dokończył Lukas cierpko. - Myślę jednak, że to nie ma znaczenia. tak żaden z nas nie doczeka pomocy. Można im, właściwie zasygnalizować że nie muszą się śpieszyć.

— Nie! - warknął Seuga podrywając się na nogi. - Nie zrobisz tego!

Lukas popatrzył bezmyślnie na wylot skierowanej w jego stronę broni, potem na wykrzywioną dziko twarz Seugi.

— Na twoją usilną prośbę... - wycedził - nie zrobię tego. Nie musisz mnie jednak straszyć bronią. Ja przecież i tak umrę, a ty przeżyjesz i wrócisz do bazy. Jako morderca nie będziesz tam mile widziany...

Seuga opadł na swoje miejsce. Leman, jakby chcąc się ostatecznie przekonać, ile godzin życia pozostało mu jeszcze, spojrzął na wskaźnik i powiedział głośno:

— Właściwie mogę wam od razu oddać moją butlę... Dwie godziny to dla mnie żadna różnica, a wam... może starczy, aby przetrzymać...

Seuga spojrzął bystro w jego stronę. Leman położył dłoń na

zaworze.

— Daj! - wysyczał Seuga wyciągając dłoń.

— Ty masz dosyć. Masz i tak najwięcej.

— Im nie pomoże, a ja...

Dawe ujął przegub Lemana i zdjął jego dłoń z zaworu.

— Nie trzeba - powiedział. - Będziesz oddychał, dopóki ci starczy. Potem dam ci połowę mojego zapasu.

— Dlaczego?! - ryknął Seuga. - To jego sprawa! Po co ma zużywać powietrze, skoro i tak umrze. Mnie potrzeba jeszcze tylko pół godziny, rozumiesz? Mam umrzeć na pół godziny przed przybyciem ratunku? Chcesz, abym umarł? Ty... ty morderco... Pozwól mu oddać butlę. Podzielimy się sprawiedliwie, na czterech... No, powiedzcie!

Spojrzał w kierunku pozostałych, rozpaczliwie szukając poparcia.

Lukas siedział z oczami wbitymi w ziemię. Eber uśmiechnął się szyderczo.

— Sprawiedliwie, mówisz... - mruknął przymykając oczy. – Bo tobie tyle wystarczy. Tobie brakuje na pół godziny, by potem żyć. Dla nas jednak te pół godziny oznacza tylko późniejszą śmierć. Piękny przykład przechodzenia, ilości w jakość!

— Nie będzie żadnych takich rzeczy! — powiedział Dawe ostro. - Słyszysz, Leman? Nic nikomu nie oddasz. Co najwyżej... ja oddam tobie połowę mojego zapasu, gdy twój się skończy. To, co każdy z nas ma w butli, nie jest jego prywatną własnością. Powinniśmy podzielić cały zapas na pięć równych części...

— Bzdura! - warknął Seuga z kąta. - Wszystko razem nawet dla czterech nie starczy. Mamy. zapas na czternaście i pół godziny...

— Czternaście i pół godziny życia do podziału między pięciu... - powiedział melancholijnie Lukas. - Po niecałe trzy godziny na

łebka.

— Powiedziałem, że nawet na czterech za mało, by doczekać pomocy! - krzyknął Seuga. - Wyzdychamy wszyscy, razem albo po kolei!

— Więc wyzdychamy... - zgodził się Leman.

— Nie każdemu jest tak wszystko jedno jak tobie! - Seuga poderwał się gwałtownie z podłogi. - Trzech mogłoby tym oddychać przez niespełna pięć godzin. Gdyby pozostali dwaj oddali swoje butle natychmiast...

Lukas wyprostował się i oparty plecami o stalową przegrodę komory wlepił spojrzenie w miotającego się Seugę.

— Chcesz powiedzieć, że dwóch z nas już w tej chwili niepotrzebnie marnuje powietrze... Dwóch, to znaczy ja i Leman, tak?

— A może wylosujemy tych dwóch? - rzucił Eber obserwując bacznie twarz Seugi, który na te słowa zareagował nagłym skurczem dłoni na butli. - Tak będzie jeszcze sprawiedliwiej, nie sądzisz?

— Nie... - burknął Seuga. - Co mam, to moje.

— A wiesz, dlaczego masz najwięcej z nas? - ciągnął Eber podchodząc do Seugi i odpychając w bok lufę jego pistoletu. - Bo kiedy my torowaliśmy dostęp do radiostacji, zużywając nadmierne ilości powietrza, ty leżałeś sobie na wznak i oddychałeś równiutko, oszczędnie... Z tą twoją przytroczoną nogą to też, zdaje się, niezupełnie prawda.

— Odejdź... - Seuga wbił lufę w brzuch Ebera. Dłoń trzęsła mu się lekko. - Odsuń się, bo...

—Zostaw go, Eber - powiedział Dawe półgłosem. - Kłócąc się skracamy sobie życie. Usiądźcie spokojnie i wyregulujcie zawory na minimalny wypływ.

Pokładli się pod ścianami, od czasu do czasu tylko rzucając bystre spojrzenia na Seugę, który czuwał w napięciu, nie wypuszczając broni z ręki.

— Mam tu kilka ampulek dezaktywnu - ciągnął Dawe sięgając do kieszeni skafandra. - Gdyby udało się porobić zastrzyki, moglibyśmy jakoś wytrzymać te cztery godziny. We śnie zużywa się znacznie mniej powietrza. Obawiam się tylko, że... nie potrafimy tego wstrzyknąć. Nie można rozhermetyzować skafandrów, to oznaczałoby śmierć w ciągu kilku minut. Co o tym sądzisz, Leman?

— To samo co ty... - mruknął niechętnie zapytany. - Przestań szukać nowych nadziei. Sam wiesz, że nic się nie da zrobić...

— Może... śluza? - zaczął Eber. - Może uda się uszczelnić komorę śluzy i wypełnić ją częścią powietrza z którejś butli... No, powiedzmy, z każdej po trochu... I tam zrobimy sobie zastrzyki?

— Nie ma jak wyprzeć atmosfery ze śluzy - przypomniał Dawe.

— Pompy nie działają. Poza tym nie wiem, czy wystarczyłoby powietrza na jej napełnienie.

Opadli znów bezsilnie na podłogę, oddychając powoli, jakby z roz-mysłem wciągając w płuca każdy haust cennego powietrza.

— Zresztą - powiedział Eber po chwili - ten bydlak pozarzynałby nas we śnie i zabrał nasze butle... A swoją drogą ciekaw jestem, ile on ma naprawdę...

Seuga nie zareagował tym razem, rzucił tylko nienawistne spojrzenie w stronę Ebera i przewrócił się na wznak, patrząc w sufit.

— Pójdę jeszcze raz - powiedział Dawe wstając.

— Dokąd? Do radiostacji? - zainteresował się Lukas. - Przedstaw im nasze położenie, niech przynajmniej wiedzą...

Lufa pistoletu Seugi powędrowała nieznacznie w stronę Dawego.

— Nie - powiedział Dawe. - Idę na zewnątrz, może jednak..

— Nie oszukuj się, do magazynu tamtędy nie dotrzesz. – Lukas oparł głowę na zgiętym łokciu, twarzą zwrócony ku podłodze. - Zostań.

— Po co masz tracić powietrze w ruchu? — zatroszczył się niespodziewanie Seuga. - Siedź, Dawe, i nie ruszaj się.

Spojrzeni na niego ze zdziwieniem.

— Zostań! - powiedział głośniejszym głosem, gdy Dawe zniknął w otworze wjazdu. Dowódca ogarnął wzrokiem mętniejący krajobraz. Niskie chmury przesłaniały słońce. Łagodne obrzeża krateru srebrzyły się żyłkami wilgoci spływającej po zboczach. Odwrócił się i spojrzał na żleb, którym sześć godzin temu zeszła, owa nieszczęsna lawina.

Wrak movera sterczał tak samo, jak ujrzeli go, gdy ogłuszeni i przerażeni wybiegli z przedsionka stacji. To był po prostu cud, że nie zdążyli jeszcze dotrzeć do jej wnętrza... Rzeka poszarpanych głazów, która runęła na strop i przerywając go wdarła się do komór składowych, zasypała doszczętnie wszystko. Wybuch w magazynie chemicznym dokonał reszty i tylko komora wejściowa - jakby na urągowisko - pozostała nietknięta... Mover dostał tylko jednym odłamem, ale tak nieszczęśliwie, że zbiorniki ciekłego tlenu pękły natychmiast i zalały wszystko spienionym lodowatym wrzątkiem. Patrząc na to myśleli tylko o jednym: co z radiostacją? Niezachwiana wiara w to, że wystarczy wezwać pomocy, by ją otrzymać, kazała im własnymi rękami rozgrzebywać pogięte płyty i osłony... Radiostacja dała się uruchomić...

Dawe przypomniał sobie to wszystko, jakby od tego czasu

minęła nieskończoność. Spojrzał na zegarek, potem na wskaźnik powietrza. Odczytał z nich - jak wyrok śmierci - że pozostały jeszcze trzy godziny do przybycia pomocy. Dla niego jednak zostało zaledwie dwie i pół... Pomyślał o innych, którzy mieli przed sobą jeszcze mniej, i westchnął. Jakże są spokojni mimo tej nieubłaganej świadomości końca... Cóż, właściwie przeżyli to już nie raz w wyobraźni, nim tu przybyli. Teraz nie pozostawało nic innego, jak czekać i nie myśleć już o niczym. Tylko ten Seuga... Jakże zawodne są jednak metody wszelkich badań psychologicznych! Załamał się, stał się agresywny... Trudno mu się jednak dziwić: obrona własnego życia to przecież najnormalniejszy odruch psychiki ludzkiej, ogołoczonej ze wszystkiego innego. Nie każdy ma predyspozycje na bohatera.

Tylko... skąd u niego ta nagła troska o mnie? pomyślał przypomniawszy sobie ostatnie słowa Seugi.

Spojrzał na pusty horyzont, jakby raz jeszcze chciał się upewnić, czy spodziewana pomoc jakimś cudem nie przybędzie wcześniej. Nagła myśl poraziła go w chwili, gdy obchodził rumowisko osypanej lawiny. Zawrócił szybko w kierunku wejścia do komory. Stanąwszy w drzwiach wyprostował się i powiedział:

— Od południa zbliża się jakiś pojazd...

Seuga zerwał się pierwszy, za nim Eber. Dawe nie usunął się jednak z wąskiego przejścia i uderzywszy Seugę ramieniem wyrwał mu pistolet. Leman nie podniósł nawet głowy, a Lukas spojrział z niedowierzaniem.

— Stać! - powiedział Dawe. - Przepraszam was, koledzy. Musiałem to zrobić...

Potrząsnął pistoletem i odepchnął Seugę. Eber wrócił na swoje miejsce i usiadł kiwając głową ze zrozumieniem.

— Musiałem to zrobić - powtórzył Dawe. - Jego troskliwość o mnie zmusiła mnie do tego. Wiecie, o co mu chodziło? Dlaczego tak mu zależało na moim zapasie powietrza? Bo obliczył sobie, że gdy was... już nie będzie, on zostanie ze mną. Każdy z nas będzie miał powietrza na pół godziny, a pomoc przybędzie za godzinę. Rozumiecie?

— Ach, ty... gadzie... - syknął Seuga drżąc z wściekłości. - W ten sposób ty masz teraz pistolet!

— Nie - powiedział Dawe, spokojnie opróżniając magazynek. Zebrał ładunki na dłoń i cisnął w stronę Seugi, który pełzając na czworakach pozbierał wszystkie i przeliczywszy ukrył w kieszeni.

— W ten sposób nikt nie będzie strzelał. - Dawe zatknął pistolet za pas.

— On jest silniejszy od ciebie, Dawe. Zabije cię rękami, to szalenciec... - powiedział Lukas cicho.

— Wiem - skinął głową Dawe. - Dlatego też... zamieńmy butle, Leman! Ty mu się nie dasz! Niech przynajmniej... Leman!

Leman leżał bez ruchu. Dawe skoczył w jego kierunku, lecz zderzył się z Seugą, który także spostrzegł to samo: butla Lemana była zakręcona, wskaźnik dopływu powietrza pokazywał zero.

— Puść - krzyknął Seuga, gdy Dawe drżącą dłonią próbował odkręcić zawór. - Skoro już to sam zrobił...

— Precz! - warknął Dawe. - On jeszcze żyje!

— Zostaw go! - Seuga szarpnął dłoń dowódcy. - Zostaw go, to jego sprawa! Nie puszczaj powietrza, jemu już nic nie pomoże, a ja... a my...

Eber chwycił go z tyłu za ramiona i rozciągnął na podłodze. Szamotali się przez chwilę. Dawe rozkręcił zawór, ale Leman naprawdę już nie żył.

— Zaoszczędził dla nas... zapas na półtorej godziny... – powiedział Dawe wstając i oglądając wskaźnik trzymanej w dłoniach butli. - Lukas, weźmiesz dwie trzecie. Eber resztę.

— Daj spokój... - powiedział Lukas. - Już się przyzwyczailem... do tej myśli, że... ja następny. To wystarczy akurat dla was dwóch, dociągniecie na tym do czterech godzin...

— Nas jest trzech! - przypomniał Seuga.

— Weźcie to wy. Dawe i Eber. Przeżyjecie tego drania... - powtórzył Lukas.

— Nie - powiedział twardo Dawe. - Zrobicie, jak powiedziałem. To rozkaz. W ten sposób będziemy mieli wszyscy jednakowy zapas... Przy oszczędnym oddychaniu mamy pewne szansę...

— A kto ci powiedział, że oni będą tu za następne trzy godziny? — burknął Seuga sadowiąc się z dala od innych. - Może przylecą za pięć?

Seuga patrzył z niepokojem na zegarek. Minęło już dość czasu, by tamci, leżący bez ruchu pod ścianami, wyczerpali swój zapas... Czy żyli jeszcze? Seuga bał się zbliżyć, by to sprawdzić... Pomoc powinna nadejść lada chwila... Co robić? Jeśli żyją jeszcze jakimś cudem, jeśli choć jednego da się uratować, opowie o wszystkim... O pistolecie i o hysterii Seugi...

Pistolet sterczał zza pasa Dawe. Seuga zmacał w kieszeni ładunki. Wystarczyłoby... Ale to na nic... Jak wytłumaczy tamtym...

Zaraz, a gdyby tak... wetknąć potem pistolet w dłoń Lemana? On zmarł przez uduszenie. Można by powiedzieć, że dostał szau i strzelał na oślep, gdy on Seuga, wyszedł na chwilę z komory... Ale to na nic: gdyby Leman strzelał, to zabrałby potem pełne jeszcze zbiorniki pomordowanych i sam by przeżył. Nie uwierzą w takie karkołomne wyjaśnienia. Mogą zresztą stwierdzić,

w jakiej kolejności umierali...

Seuga spojrział na wskaźnik swojej butli. Miał jeszcze zapas na półtorej godziny... Myśleli, że ma tyle samo, co oni. Miał półtoragodzinną, nadwyżkę... Gdyby im oddał wtedy po te pół godziny, teraz umieraliby wszyscy razem, usprawiedliwiał się Seuga przed samym. sobą.

Jeśli jednak tamci... przyjdą za kilka minut i znajdą mnie z taką ilością ciekłego powietrza, podczas gdy reszta ma puste zbiorniki...?

Wrota wjazdu zgrzytnęły ostro. Wpadliśmy wlokąc za sobą nosze, utleniacze i hermetyczne pojemniki ratunkowe.

Na wprost wejścia, rozplaszczony na stalowej ścianie stał Seuga. Rozszerzonymi oczami patrzył w podłogę, dłonie zaciskał na kranie butli.

Przed nim na stalowej płycie wrzało błękitne jeziorko szybko parującego ciekłego powietrza...

ŚMIERĆ KAROLA

Do niedawna sądziliśmy, że futurologia - dziedzina wiedzy zajmująca się naukowym przepowiadaniem przyszłości - jest nauką czysto teoretyczną. Wszystkie dotychczasowe dyskusje w redakcji na temat „jak to będzie za następnych lat dwadzieścia” kończyły się z reguły stwierdzeniem, że przy obecnym oszałamiająco szybkim rozwoju techniki nie sposób przewidzieć zagadnień i problemów, jakie będzie poruszało nasze pismo w najbliższych dziesięcioleciach.

Tymczasem przed kilkoma dniami redaktor naczelny przyniósł do redakcji sporą walizkę, postawił ją na biurku i powiedział:

— Pewien futurolog-eksperymentator wypożyczył mi po znajomości prototyp swego najnowszego wynalazku. Oto chronoperyskop, pozwalający oglądać - kolorowe i udźwiękowane - obrazy przyszłości.

— Świetnie - ucieszył się sekretarz redakcji. - Może wreszcie dowiem się, co ostatecznie pójdzie w najbliższym numerze.

Naczelny rozdał nam metalowe kaski, które następnie połączył kablami z przyrządem.

— Przyrząd nie jest jeszcze doskonały - powiedział. - Brak mu celownika czasowego i dlatego nie możemy przewidzieć miejsca ani czasu przeniesienia. Postaram się, aby to była możliwie najdalsza przyszłość. Uwaga, włączam!

Początkowo poczuliśmy tylko lekki zamęt w głowach, ale po chwili...

Kierownik budowy patrzył przez okno na rozległy plac pocięty siecią wykopów, mrowiący się setkami automatycznych koparek, podnośników, agregatów montażowych.

Wśród wykopów oraz na wyrastających tu i ówdzie konstrukcjach krzątały się cztery brygady robotów budowlano-montażowych typu RBM-93. Przez wielkie okna sterowni zawieszanej na czterdziestometrowym maszcie widać było dokładnie, jak celowa i doskonale zorganizowana jest ta ich krzątania. Żadnych zbędnych manipulacji, żadnego wahania. Każdy ruch automatu był doskonale precyzyjny, każdy ruch narzędzia wymierzony wprost ku wytkniętemu celowi.

— Nie sądzę, by trzeba było specjalnie je nadzorować. Proszę popatrzeć, inspektorze, jak wspaniale idzie im robota. Te RBM-ki to znakomity model. Jestem nimi zachwycony. Żadnych awarii. Budowa postępuje zgodnie z harmonogramem. Te roboty są wprost bezbłędne i myślę, że nie jest im potrzebny ten - jak to go pan nazwał? - ten... „bhp robot”.

Inspektor uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie rozumiemy się, inżynierze - powiedział.

— Jak to? - Kierownik oderwał wzrok od okna i spojrzał ze zdziwieniem na inspektora.

— Pan, zdaje się, sądzi, że bhp-robot ma za zadanie opiekować się waszymi automatami...

— Oczywiście, tak myślę.

— Właśnie, właśnie... A tymczasem jego zadaniem jest ochrona was, ludzi pracujących wśród robotów i automatycznie sterowanych maszyn. Roboty, jak pan sam zauważył, opieki nie potrzebują.

— Co takiego? - Inżynier ojworzył usta ze zdziwienia i tak pozostał przez dłuższą chwilę.

— A tak, tak. Pan zapomina, inżynierze, że człowiek nie jest w stanie reagować z szybkością komputera ani też ogarnąć uwagą kilku rzeczy naraz. A roboty są diabelnie szybkie, sami narzucamy im takie tempo działania, na jakie tylko je stać. Robot wcale się na człowieka nie ogląda, robi swoje i już. Nie życzę panu wejść mu nieostrożnie w drogę: zabetonuje pana w stropie, przyspawa do belki albo po prostu rozdepcze. Rozumie pan chyba, że ekonomicznym nonsensem byłoby wyposażanie każdego specjalistycznego robota w, układy bezpieczeństwa uniemożliwiające wyrządzenie szkody człowiekowi. Dlatego właśnie w Instytucie Ergonomii i Ochrony Pracy skonstruowano tego bhp-robota, który łączy w sobie najlepsze cechy inspektora bhp z precyzją, szybkością i nieomylnością automatu.

— Więc mam przez to rozumieć, że ten... że to straszdyło będzie łączyło za mną krok w krok przez cały dzień roboczy? - oburzył się kierownik. - Że będzie kontrolowało każdy mój ruch i wtykało wszędzie swój nos?

— On nie ma nosa, inżynierze - przerwał inspektor. - Poza tym on jest bardzo dobrze wychowa... to jest, chciałem powiedzieć, zaprogramowany, więc nie będzie panu w niczym przeszkadzał. Oczywiście dopóki będzie pan w zgodzie z przepisami bhp. Bo niestety, musi pan przyznać, że człowiek już taki jest: jak na niego nikt nie patrzy... Ot, co daleko szukać przykładu: pan sam. Chodzi pan sobie bez odzieży ochronnej, w lekkiej koszulce i sandałach. Ja rozumiem, że upały, ale jak się pan pośliznie na tym żwirze, to nie pozna pan własnych pleców. A kombinezon ochronny na pewno wisi sobie w szafie...

— A owszem, wisi, wisi! - Kierownik energicznie przemierzył pokój i otworzył szafę. - Proszę bardzo.

Zerwał z wieszaka kombinezon i rozpostarł przed sobą.

Rękawy bluzy sięgały łokci, a nogawki - kolan.

— Oto co nam przysłano z pralni - ciągnął inżynier podtykając inspektorowi przed oczy kuse ubranko. - Gdybym się w to jakimś cudem wbił, pierwszy lepszy robot by mnie wyśmiał i straciłbym cały mój kierowniczy autorytet. O butach już nie wspomnę, mogę natomiast pokazać odciski na stopach.

— Nno... tak, rzeczywiście - powiedział inspektor z zakłopotaniem. - Interweniowaliśmy już wielokrotnie w sprawie jakości odzieży roboczej i ochronnej... Ale to osobny temat i długo by o tym można mówić... A wracając do naszego robota, muszę jeszcze wyjaśnić, że to dopiero próbny egzemplarz. Chcemy go wypróbować w możliwie najtrudniejszych warunkach i dlatego wybraliśmy wasz obiekt. Ta budowa - to przecież symbol nowoczesności: Ośrodek Lotów Kosmicznych. A przy tym pod względem stopnia mechanizacji i automatyzacji robót budowa wasza nie ma sobie równej na kontynencie...

— Tylko że ludzi tu niewiele - zauważył kierownik. - W sumie pięć osób.

— To nic, dla naszych celów wystarczy. Od załogi spodziewamy się jedynie krótkich uwag i spostrzeżeń. Proszę pamiętać, że to naprawdę niezwykle precyzyjny i wysoko zorganizowany automat. Jeśli mu pan rozkaże, potrafi nawet zaparzyć dobrą kawę.

— Bardzo się cieszę, przyda się na coś przynajmniej – mruknął kwaśno inżynier.

Inspektor chciał jeszcze coś powiedzieć ku większej chwale swego robota, ale spojrzął na zegarek i pożegnał się spieszenie.

— Ale, ale. - Kierownik dopadł go przy windzie. - Jak można się z nim porozumieć?

— Zwyczajnie, jak z człowiekiem. Nazywa się Krystalo-
Astatyczny Robot Linearny. Może pan na niego wołać w skrócie
KAROL. Reaguje na to imię. Życzę przyjemnej współpracy.

Kierownik nieufnie spojrział w kąt sterowni, gdzie bez ruchu
stał automat. Jego przydługie ramiona zakończone
wielopalczastymi manipulatorami zwisały luźno wzdłuż
kanciastego tułowia. Głowa robota była niewielka, osadzona na
długiej szyi. Inżynier wahał się chwilę, wreszcie odchrząknął
i powiedział:

— Karol!

— Słucham, panie Człowieku.

Robot zrobił dwa kroki w stronę inżyniera. Głos miał dość
przyjemny. Kierownik zastanawiał się, co by tu powiedzieć, ale
niczego nie wymyślił. Nie miał praktyki w rozmowie z tak
złożonymi automatami.

— Zaparz kawy, Karolu. Jest w lewej szufladzie, biurka. Weź
trzy łyżeczki na szklankę wody. A poza tym nie mów do mnie
„panie Człowieku”, tylko „inżynierze”.

— Dobrze, inżynierze - powiedział Karol jak echo i ujął
kierownika za ramię powyżej łokcia.

— Co ty robisz? - Inżynier z lekkim przestraczem próbował
oswobodzić rękę, lecz Karol trzymał ją, delikatnie wprawdzie, ale
skutecznie.

— Mierzę panu ciśnienie krwi - powiedział robot. - Ma pan
dość wysokie. Nie radzę pić dużej kawy. Zrobię pół szklanki.

— Czy i medycyny też cię nauczono? - burknął kierownik ze
złością.

— Owszem. Mam przecież dbać o zdrowie załogi.

Kierownik chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz w porę połapał
się, że byłoby niedorzecznością wdawać się w polemikę

z automatem. Poprzestał więc na małej kawie. Tym bardziej, że z tym ciśnieniem to była szczerą prawdą...

Karol był nieprawdopodobnym pedantem i uparciuchem, ale dał się lubić. Przez cały dzień włóczył się po rozległym terenie budowy, wspinał się zręcznie na stalowe konstrukcje, sprawdzał szalunki wykopów i wyszukiwał „dziury w całym”, jak mawiał kierownik. Ludziom się nie narzucał. Chwilami można było zupełnie zapomnieć o jego istnieniu. Wystarczyło jednak popełnić najdrobniejsze wykroczenie przeciwko zasadom bhp, by natychmiast wyrósł jak spod ziemi i przywołał pracownika do porządku. Był nieugięty w egzekwowaniu przepisów, szczególnie upodobał sobie kierownika, który czasem gotów był oskarżyć Karola o złośliwość. W głębi ducha musiał jednak zawsze przyznawać rację

robotowi i to go jeszcze bardziej drażniło.

— Do licha! Do czego to doszło! - burczał nieraz, kiedy w pół drogi zmuszony był zawrócić po zapomniany hełm. - Przecież on niedługo zacznie sprawdzać, czy umyłem uszy.

Kierownik dopadł Karola w warsztacie naprawczym i bez wstępów obrzucił gradem wymysłów. Karol wysłuchał cierpliwie przekleństw i złorzeczeń, po czym odpowiedział krótko:

— Nie rozumiem.

— Nie udawaj durnia! - uniósł się inżynier. - Kto kazał wyłączyć szesnaście robotów i odesłać do naprawy?

— Ja. Miały usterki chwytaczy.

— Więc co z tego?

— Nie wiem. Pan powinien wiedzieć, co z tego. Ja wiem tylko, że robot z niesprawnymi chwytaczami nie może być dopuszczony do eksploatacji. Test wykazał osłabienie chwytu o sześć procent poniżej dopuszczalnego minimum, więc

odesłałem je do warsztatu.

— Zrozum, że to mi kładzie robotę na szóstym odcinku. Przez tę naprawę tracę sześćset czterdzieści robotogodzin. Czy nie ma innego wyjścia z sytuacji!?

— Jest - powiedział Karol spokojnie. - Mogę dopuścić te roboty do pracy, ale dopóki nie będą naprawione, na placu nie może się podczas ich pracy pojawić żaden człowiek. W tym stanie stanowią one zagrożenie.

— Kpisz chyba! Muszę być na budowie codziennie, kierownicy odcinków także. Przecież ty mnie nie zastąpisz...

— Oczywiście, że nie. Jestem inaczej zaprogramowany niż pan.

Kierownika poniosło. Raz jeszcze zwymyślał robota za to, że ośmielił się sądzić, iż ludzi programuje się podobnie jak automaty.

— Przepraszam, jeśli pana w czymś uraziłem - odpowiedział Karol. - Nie znam się na tym.

Koniec końców inżynier musiał ustąpić. Karol i tym razem miał słuszość: niesprawny robot był niebezpieczny. Mógł spuścić ciężar na głowę przechodzącego, mógł sam spaść z wysokości.

Sześć procent poniżej minimum, myślał ze złością inżynier. Praktycznie biorąc, to głupstwo. Gdybym tu miał żywego behapowca, na pewno bym go zaraz przekonał, że to drobiazg bez znaczenia. Ale z tym elektronowym bałwanem nie ma żadnej dyskusji. Ma tylko jedną dobrą stronę: można mu w złości naubliżać, a on nawet fotokomórką nie mrugnie.

Tego dnia było szczególnie gorąco. Inżynier przechadzał się wzdłuż świeżo wykopanego rowu, obliczając w myślach opóźnienia, jakie spowoduje brak tych kilkunastu robotów przez

najbliższe dwie doby. Była właśnie przerwa. Maszyny stały bez ruchu, a roboty zbiegły się do podstacji elektrycznej, żeby podładować baterie zasilające. Niektóre, leżąc na trawie, chłodziły się świeżym olejem i smarowały przegrzane panewki.

Idąc wzdłuż wykopu inżynier zbliżał się do miejsca, gdzie na dnie stała, nieruchoma w tej chwili, wielka samoczynna koparka gąsienicowa. Maszyna była ogromna. Jej potężny czerpak jednym zagarnięciem przedłużał o dwa metry wykop szerokości dwóch i głębokości trzech metrów. Inżynier zauważył, że od pewnego miejsca dno wykopu było nierówne, jak gdyby czerpak za każdym zagarnięciem zmieniał głębokość kopania. Podszedł bliżej, by obejrzeć maszynę, i wtedy na jej kadłubie zauważył żółtą tablicę z napisem.

„Maszyna sterowana programowo. Nie zbliżać się nawet podczas postoju!” - przeczytał półgłosem. To ten nicpoń Karol. Właził na koparkę, żeby powiesić tablicę, i pewnie obłuzował regulator wysięgu. Wszędzie się pęta i przeszkadza...

Nie zważając na groźną tablicę inżynier obszedł maszynę, by od przodu obejrzeć czerpak. Gdy stanął na skraju nie ruszonej jeszcze calizny gruntu, z oddali usłyszał tubalny głos Karola.

— Proszę odsunąć się od wykopu! - krzyczał robot na pełnym wzmocnieniu swego megafonu.

— Nie zawracaj głowy - mruknął inżynier nie przerywając oględzin maszyny.

W tej samej chwili zwirowaty grunt usunął się, a inżynier wraz z tumanem pyłu zjechał na dno wykopu. Zerwał się zaraz na nogi, spojrzał dookoła i błyskawicznie ocenił sytuację. Z trzech stron wznosiły się trzymetrowe, osypujące się ściany dołu. Z czwartej - potężne gładkie cielsko maszyny tarasujące całą szerokość wykopu. Nad głową - kilkutonowy zębaty czerpak,

gotów w każdej chwili opaść, by zagarnąć następną porcję ziemi.

Inżynier spojrział na zegarek i zamarł. Do końca przerwy pozostało niewiele ponad dwadzieścia sekund. Zbyt mało, by ktokolwiek zdołał dobiec do awaryjnego

wyłącznika umieszczonego u stóp wieży kontrolnej. W sterowni też nie ma nikogo, kierownicy odcinków są daleko. Nieubłagany zegar sterujący włączy za chwilę automatykę i maszyny ożyją...

Wszystko rozegrało się w czasie tych dwudziestu kilku sekund. Nad brzegiem wykopu ukazały się nagle ogromne stopy robota. Karol zsunął się ciężko na dół, stanął przed inżynierem i chwycił go w pasie obiema dłońmi. Skrzypiąc i dygocąc z wysiłku wyrzucił go nieomal na brzeg wykopu. Stojąc już na górze inżynier obejrzał się. Karol patrzył na niego wypukłymi soczewkami swoich kamer.

— Cofnij się natychmiast, panie Człowieku - powiedział głośno, lecz zupełnie spokojnym głosem. To były jego ostatnie słowa.

Inżynier w dwóch susach odskoczył do tyłu. Zgrzytnęła stal i czerpak wrył się w miejsce, gdzie stał przed sekundą. Po chwili z wnętrza czerpaka, wraz ze zwałami ziemi, sypnęły się na brzeg rowu szczątki Karola: kilka pogiętych strzępów blachy, kikuty dźwigni, kłęb przewodów i barwny deszcz elektronicznych mikromodułów...

Inżynierowi ciarki przebiegły po plecach. W pierwszym odruchu zrobił dwa kroki w tamtą stronę, ale cofnął się zaraz. Schylił się jeszcze i wygrzebał z piasku kilka maleńkich jak łąpek zapalki mnemotronów. Zaciskając je w dłoni powoli odszedł w kierunku wieży kontrolnej.

— To wszystko, inspektorze... - kierownik budowy zakończył opowieść. Zapadło milczenie.

— Fantastyczne... fantastyczne! - powiedział po chwili inspektor. - Mówi pan, że wskoczył tam za panem... To przechodzi nasze oczekiwanie. Nie programowaliśmy takiej sytuacji, ale to wynika z samego algorytmu Karola; naczelną zasadą jego działania była ochrona człowieka, a dopiero potem — ochrona samego siebie... I niech pan zauważy, jak wspaniale ten robot ocenił sytuację: gdyby próbował pana stamtąd wyciągnąć, stojąc na górze, moglibyście się razem obsunąć z powrotem, a to równałoby się stracie cennych sekund.

— Jednego tylko do tej pory nie rozumiem... - powiedział inżynier w zamyśleniu. - Od czasu, gdy tego od niego zażądałem, Karol nazywał mnie po prostu „inżynierem” i nigdy się nie pomylił. A wtedy, stojąc tam na dole, powiedział znowu „panie Człowieku”, jakby chciał zaakcentować tę różnicę między nami i uzasadnić, dlaczego właśnie on jest tam zamiast mnie... jak pan sądzi, czy o to mu chodziło?

— Ech, nie przesadzajmy, inżynierze. Przecież to był tylko robot! - Inspektor uśmiechnął się ironicznie. - Po prostu nie starczyło mu komórek pamięci dla przeanalizowania bardzo złożonej dla niego sytuacji i zmuszony był wymazać z pamięci kilka mniej istotnych rozkazów, a wśród nich pewnie i pańskie polecenie tytułowania pana inżynierem. A to, że do nieznanym Karol zwracał się per „panie Człowieku”, było tylko takim efektownym żarciem naszych programistów.

Kierownik budowy potakiwał w zamyśleniu, ale nie wyglądał na przekonanego.

— W każdym razie jestem bardzo zadowolony z wyniku próby. Przy najlepszych chęciach nie zdołalibyśmy stworzyć Karolowi takiej sytuacji, jakiej pan mu dostarczył...

— Swoją nieostrożnością - dokończył inżynier. - Ładnie bym

teraz wyglądał, gdyby nie on. O, mniej więcej tak. Tu wydobył z kieszeni garść kolorowych mnemotronów i wysypał na blat stołu. - Co mi nadokuczał, to nadokuczał. Ale wiedział, czego chce.

— I pewnie ani razu nie dał się namówić na żaden kompromis, ani nie chciał przymknąć oka na przepisy.

— On nie miał oczu, A tylko telekamery - powiedział inżynier wymijająco.

— A wszystkie zalecenia powtarzał tak długo, aż wreszcie odnosiły skutek?

— Oj, tak, tak - westchnął inżynier rozpinając ciasny kombinezon, który niemiłosiernie ścisnął mu klatkę piersiową.

Nawał pracy przy redagowaniu jubileuszowego numeru nie pozwolił nam dalej śledzić interesującej dyskusji na temat modelu behapowca przyszłości. Zresztą przyszłość to chyba dość odległa, na razie więc musimy liczyć wyłącznie na żywych ludzi w służbie bhp.

Chronoperyskop musieliśmy zwrócić wynalazcy, który zapowiada dalsze w nim ulepszenia. Niewykluczone, że skorzystamy jeszcze kiedyś z tego znakomitego sposobu podglądania przyszłości. Nie zapomnimy oczywiście podzielić się z naszymi czytelnikami tym, co uda się nam podpatrzeć.

LIST POŻEGNALNY

Znane są wypadki pojawiania się w przestrzeni okołoziemskiej mniejszych lub większych obiektów pochodzenia kosmicznego. Niektóre z nich są dostatecznie duże, by nie spłonąć całkowicie w atmosferze. Spadają na powierzchnię Ziemi w postaci meteorytów. Nie odnotowano jednak dotychczas wypadku, by jakiś obiekt pochodzenia ziemskiego wyruszył nagle samorzutnie w podróż kosmiczną. Dlatego też niemałą konsternację wywołały doniesienia pochodzące ze wszystkich prawie stacji kontroli ruchu satelitarneho: oto pojawił się niezwykle szybki obiekt kosmiczny, oddalający się od Ziemi z niewiarygodną prędkością. Żaden ośrodek kosmonau-tyczny nie przyznawał się do wystrzelenia tego statku. Jak zresztą wykazały pobieżne badania i obserwacje, obiekt ten poruszał się bez pomocy konwencjonalnych silników rakietowych — po prostu leciał i nabierał szybkości na pozór wbrew prawom fizyki! Ściganie tak szybkiego obiektu nie miało szans powodzenia. Po kilkunastu godzinach zniknął z pola widzenia największych radioteleskopów. Udało się jedynie ustalić przypuszczalny obszar startu: obiekt wystrzelony został gdzieś z Europy Środkowej, z punktu położonego między wybrzeżem Bałtyku a łańcuchem Karpat.

Tajemnica niezwykłego obiektu pozostałaby zapewne na zawsze nie wyjaśniona, gdyby nie przypadek. Otóż mieszkaniec jednej z mazurskich wiosek, starszy człowiek, niejaki Gruszka Franciszek, pewnego wieczora wpadł nagle zadyszany do gospody i opowiedział o przygodzie, która spotkała go przed chwilą.

Siedział więc tenże Gruszka nad jeziorem, a tu nagle jak nie huknie, jak nie chluśnie! Słup wody wystrzelił nagle na samym środku jeziora, wysoki na kilka pięter, a z niego coś czarnego i ogromnego poszło jak pocisk w niebo. Po chwili o brzeg uderzyła fala tak potężna, że na wpół ogłuszonego Franciszka oblała od stóp do głów.

Marczak, kapral z miejscowego posterunku MO, który właśnie kończył służbę i wpadł na oranżadę do gospody, z niedowierzaniem wysłuchał relacji Franciszka, kazał mu dla wszelkiej pewności chuchnąć, głową pokręcił i powiedział wymijająco:

— A wy, Gruszka, znów kłusujecie? Karty wędkarskiej nie macie, więc coście tam robili, tak nad samą wodą? Ale ja was jeszcze przyłapię!

Jednak - po części dla porządku, po części wiedziony jakimś przeczuciem - kapral Marczak całą tę historię opisał i posłał gdzie należy.

Ekipy pływaczy przeszukały dno jeziora, ale nie znalazły żadnych, niewypałów ani śladów eksplozji. Jedynym przedmiotem wyłowionym z jeziora był niewielki metalowy walec, dość lekki, a jak się okazało po rozcięciu — wydrążony w środku. Rozcięcia dokonano na poligonie saperskim, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Wewnątrz znaleziono jedynie zwitek cienkiej folii z tworzywa sztucznego, zapisanej równym odręcznym pismem, w języku polskim. Treść pisma brzmiała jak następuje:

Mieszkańcy Ziemi!

Opuściliśmy Was, udając się w daleką drogę ku naszej ojczystej planecie. Jesteśmy wyprawą badawczą. Naszym zadaniem było znalezienie planety, której warunki biologiczne odpowiadałyby

wymaganiom naszych organizmów. Na naszej planecie robi się nam ciasno, chcemy więc rozpocząć zasiedlenie Kosmosu. Odwiedziliśmy wiele planet w różnych układach słonecznych, ale dopiero Ziemia wydała się nam odpowiednia dla naszych celów. Odlecieliśmy jednak, rezygnując z zasiedlenia Ziemi obywatelami naszej rasy.

Nie myślcie, że unikacie w ten sposób jakiegoś niebezpieczeństwa z naszej strony, jakiejś inwazji, zagłady lub czegoś podobnego. Wręcz przeciwnie! Liczyliśmy na owocną współpracę naszych cywilizacji. Byliśmy nie-kłopotliwymi partnerami: waszym naturalnym środowiskiem są bowiem lądy, a naszym - wody śródlądowe.

Możliwa byłaby zatem pełna koegzystencja. Nasza cywilizacja, choć podwodna i poddenna, stoi na wysokim poziomie rozwoju, zarówno pod względem naukowo-technicznym, jak i społeczno-moralnym. Moglibyście zapewne wynieść ogromne korzyści ze współpracy z nami. Najlepszym dowodem wysokiego poziomu naszej cywilizacji niech będzie fakt, że opanowaliśmy technikę lotów grawitacyjnych, odbywamy podróże międzygwiazdne, przedłużamy nasze życie w sposób prawie nieograniczony - nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak opanowanie Waszych języków i pisma, Waszej historii i tak dalej.

Będziecie sobie zapewne wyobrażali nas w postaci syren z rybimi ogonami albo innych wodnych potworów. Wyglądamy oczywiście zupełnie inaczej, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić, bo nikt z Was nigdy nas nie oglądał, choć przebywaliśmy na Waszej planecie przez kilkanaście lat i było nas bardzo wielu. To także niech będzie dowodem, że potrafimy zachowywać się poprawnie wobec gospodarzy planety, na którą przybywamy.

Zapytacie pewnie, dlaczego opuściliśmy Ziemię bez zamiaru

powrotu? To bardzo proste, powinniście się sami tego domyślić. Liczyliśmy na to, że wreszcie zaczniecie myśleć rozsądnie, jak przystało na wysoko cywilizowane istoty. Niestety, zbyt daleko już się posunęliście. Pobyt na Ziemi stał się dla nas nie do wytrzymania. Trudno było nam żądać, abyście opamiętali się w imię naszych interesów, skoro nie potraficie zdobyć się na to w interesie własnym!

Do niedawna w Waszych wodach śródlądowych panowały znakomite warunki dla rozwoju naszej rasy oraz pewnych gatunków organizmów, które służą nam jako pożywienie. W wodzie było pod dostatkiem tlenu, a jej skład chemiczny bardzo nam odpowiadał. Pierwsze raporty przesyłane przez nas do naszych braci w ojczyźnie brzmiały entuzjastycznie. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę Waszej lekkomyślności (tylko przez kurtuazję nie nazywamy tego właściwszym słowem!) i musieliśmy, niestety, zrezygnować z naszych planów.

To Wasza wina, że odlatujemy i nigdy więcej nas nie ujrzycie, że nie nawiązaliśmy z wami kontaktu, że zacieramy wszelkie ślady, abyście przypadkiem nie trafili na naszą planetę i nie uczynili z niej tego, co zrobiliście u siebie! Byłby to bowiem nasz koniec, śmierć naszej rasy.

Teraz już wiecie, dlaczego odlecieliśmy: po prostu przeraża nas tempo, w jakim zatruwacie i zanieczyszczacie Wasze jeziora i rzeki! Jest to dla nas tym bardziej niezrozumiałe i przerażające, że woda, podobnie jak dla nas, dla Was także jest nieodzownym warunkiem istnienia. Podobnie zresztą zatruwacie atmosferę, która jest Waszym naturalnym środkiem życiowym. Ale to już Wasze wewnętrzne, ziemskie sprawy.

Chcielibyśmy życzyć Wam na pożegnanie, Waszym zwyczajem, „bądźcie zdrowi”, ale nie wierzymy, by życzenie takie miało szansę

spełnienia, jeśli nadal będziecie tak postępować! Zegnajcie więc! Może już niedługo, gdy Wasza cywilizacja zginie śmiercią samobójczą przez otrucie, a Wasze wody w sposób naturalny oczyszczą się, my przylecimy tu znowu i będziemy gospodarować rozsądniej!

Przedstawiciele rasy Hydrytów

Na marginesie tego listu nieznanym, ale niewątpliwie życzliwym nam istot, nasuwa mi się pewne stwierdzenie z dziedziny teorii kontaktu między różnymi cywilizacjami.

Otóż niektórzy spośród uczonych rozpatrujących problemy takiego kontaktu są zdania, że spotkanie dwóch cywilizacji w Kosmosie jest niezmiernie mało prawdopodobne. Uczeni popierają ten pogląd dowodami o charakterze probabilistycznym.

Myślę, że wkrótce powstanie nowy zupełnie powód, dla którego wszelkie wyprawy obcych istot, jakie znajdą się przypadkiem w pobliżu Ziemi, będą ją omijały z daleka. Po prostu Ziemia będzie z dala cuchnąć rynsztokiem...

INSPEKCJA

Inspektor Kirs sięgnął do kieszeni i wydobyl na chybił-trafił jedną z kilkunastu zwiniętych kartek. Rozprostował ją, odczytał, a potem poszukał na mapie Księżyca tej właśnie wylosowanej stacji.

Selene-13 leżała u podnóża niewielkiego grzbietu górskiego po Tamtej Stronie. Inspektor skrzywił się, westchnął, ale skierował pojazd w stronę szlaku numer siedem. Zaprogramował trasę, włączył automatycznego kierowcę i wyciągnął się w wygodnej, półleżącej pozycji na fotelu. Sięgnął po najnowszy numer „Wiadomości Księżycowych”, lecz prze-kartkował go tylko pobieżnie, bo podskoki pojazdu utrudniały czytanie. Zdążył jednak przeczytać krótką notatkę o nowym nie zidentyfikowanym obiekcie zauważonym kilka dni temu nad Tamtą Stroną. Dwa obserwatoria zameldowały równocześnie o pojawieniu się czegoś w rodzaju dużego bolidu o nietypowych parametrach lotu. Żadna jednak stacja sejsmograficzna nie zanotowała odpowiednio silnego wstrząsu, jaki musiałby towarzyszyć upadkowi dużej bryły na powierzchnię globu.

Znów jakieś „latające spodki”, powiedział inspektor do siebie odkładając biuletyn. Ziewnął patrząc na monotony, płaski krajobraz Morza Humboldta. Po prawej stronie, nieco z tyłu, widniał krater Mercurius; w jego cieniu kryły się zabudowania Bazy Centralnej.

Inspektor należał do ludzi, którzy swe obowiązki zawodowe traktują niezwykle poważnie. Gdyby nie ta jego cecha osobista, z pewnością nie zostałby nigdy inspektorem pracy Związku Zawodowego Pracowników Kosmosu, i to w dodatku -

w Zarządzie Okręgu Księżycowego. Od kilku lat był więc inspektor Kirs postrachem tych kierowników stacji księżycowych, którzy w jakimkolwiek stopniu wchodzili w kolizję z przepisami bhp. Cokolwiek by się mówiło o inspektorze, należało mu przyznać, że miał nie lada oko: wypatrzył każde uchybienie, nie dając się zmylić ani pięknie wypucowanym sprzętem ratunkowym, ani rojem kolorowych tabliczek z hasłami i ostrzeżeniami na ścianach.

Inspektor, jak sam mawiał, lubił działać przez zaskoczenie, bo tylko w ten sposób mógł poznać prawdę bez upiększeń. Wyjeżdżając na wizytację nigdy nikomu nie wspominał, dokąd się wybiera. Wiedział doskonale, że dzięki różnym powiązaniom koleżeńskim (tu, na Księżycu, prawie każdy każdego zna) i sprawnie działającej sieci łączności kontrolowany obiekt zostałby zawsze w porę uprzedzony i doprowadzony do stanu bliskiego ideałowi, zanim on dotarłby na miejsce. Spośród kilkunastu stacji wytypowanych do kontroli inspektor wybierał więc jedną drogą losowania, już po wyjeździe z Centrali.

Tym razem los padł na Selene-13. Kirs znał dobrze ten typ stacji księżycowej, choć w tej właśnie, położonej po Tamtej Stronie, osobiście nie był jeszcze od chwili jej założenia. Stację zlokalizowano w dość odludnej części Księżycy, dojazd do niej był uciążliwy i dlatego kontrolowano ją niezbyt często. Dla tak sumiennego jednakże inspektora, jakim był Robert Kirs, trudy podróży nie mogły tu odgrywać żadnej roli. Tłukąc się po kamienistym szlaku w małym pojeździe terenowym, w myślach układał sobie plan działania, przypominał wszystkie możliwe wymagania z zakresu bhp dla stacji tego typu i oczyma duszy widział już te typowe, drobne uchybienia, ten na pozór niewinny bałaganik towarzyszący zwykłej pracy stacji księżycowych,

a szczególnie takich, które nie są zbyt często nękanie przez inspektorów Związku.

Pojazd minął grupę czterech małych kraterów leżących u stóp południowego stoku Endymiona. Tu już mniej trzęsło, więc automat znacznie przyspieszył jazdę. Inspektor sięgnął po tom opowiadań fantastycznych.

§ § §

Budynki stacji Selene-13 rzucały krótkie czarne cienie na srebrzysto-szary piasek. Inspektor wyłączył automat i powoli podjechał do wrót śluzy wjazdowej. Ci ze stacji dostrzegli go już wcześniej, bo nad wrotami migąło pomarańczowe światło sygnalizujące gotowość ich otwarcia. Po chwili mógł już wjechać do środka.

W śluzie nie było nikogo, co inspektor przyjął z uznaniem, bo tak być powinno. Dopiero gdy zewnętrzne wrota się zamknęły, a manometr na ścianie komory wskazywał normalne ciśnienie, przez drzwiczki w głębi weszły dwie osoby w lekkich skafandrach próżniowych. Inspektor założył hełm, sprawdził szczelność swego skafandra i otworzył kopułkę pojazdu. Wskoczył z niego i podniósł prawą dłoń w zwykłym geście powitania. Odpowiedzieli mu tak samo i wskazali drogę do wnętrza stacji. W szatni, gdzie wszyscy trzej zdejmowali ubiory próżniowe, inspektor bystrym okiem obejrzał wyposażenie osobiste gospodarzy i znów musiał w duchu przyznać, że wszystko jest w największym porządku. Przedstawił się, tamci oświadczyli, że im bardzo miło, i zaprosili go do dalszych pomieszczeń.

Oglądając kolejno poszczególne urządzenia i instalacje stacji, a następnie odzież i sprzęt ochronny, inspektor czuł się jak na

wystawie poświęconej bezpieczeństwu pracy w Kosmosie. Każdy drobiazg, każdy szczegół wyposażenia był jak żywcem wyjęty z podręcznika bhp.

Kiedy oglądał pomieszczenia siłowni jądrowej, w podświadomości zakiełkowały niejasne podejrzenia. Wiedział, że nikt przecież nie uprzedzał pracowników stacji o jego wizycie, to było zupełnie niemożliwe. Z drugiej strony w jego wieloletniej praktyce nie zdarzyło się jeszcze, aby wszystko w kontrolowanym obiekcie było w tak idealnym porządku! Kierownik stacji oprowadzał inspektora po wszystkich zakamarkach, otwierał wszystkie drzwi i sam demonstrował działanie klimatyzacji, instalacji przeciwpożarowej, sygnalizatorów promieniowania.

Laboratorium chemiczne było dla inspektora ostatnią szansą znalezienia choć jednej, symbolicznej usterki. Ale i tu spotkało go to samo zaskoczenie. Wszystkie wyciągi działały sprawnie, stężenie substancji toksycznych w powietrzu okazało się znikome, pracownicy stosowali prawidłowo pełny zestaw sprzętu i odzieży ochronnej...

Inspektor czuł się coraz bardziej niepewnie. Coś mi się tu nie podoba, myślał schodząc do pokoju kierownika stacji. Po przejrzaniu instrukcji bezpieczeństwa, regulaminów pracy, świadectw przeszkolenia pracowników, wyników badań lekarskich i wielu innych dokumentów wiedział już, że niczego nie znajdzie, że w protokole kontroli nie będzie mógł zamieścić najdrobniejszej uwagi krytycznej. Ale to przecież zupełnie niemożliwe! myślał przerzucając dokumenty. Nigdzie nie widziałem czegoś podobnego! To tak, jakby wszystko zrobione było na pokaz. Nie do wiary, żeby oni na co dzień tak starannie przestrzegali wszystkiego, co zawierają przepisy! Ale właściwie

dlaczegoż by nie? skarcił sam siebie w myślach. Przecież wciąż o to walczymy i wreszcie kiedyś osiągniemy to wszędzie - ten wzorowy stan bhp, tę pełną odpowiedzialności postawę kierownictwa i załóg...

Naprawdę jednak nie był o tym przekonany, bo wiedział skądinąd, na jakie trudności napotyka praca na stacjach księżycowych. Jadąc tu gotów był służyć pomocą w rozwiązaniu tych trudnych spraw. Zdecydowany był nawet na drobne ustępstwa — wiadomo, przepisy nigdy nie nadążą za rozwijającą się techniką i trzeba czasem je poprawić, zmienić „nieżyciowe” paragrafy. Lecz tu nawet te najtrudniejsze do spełnienia, gdzie indziej z reguły nie przestrzegane i omijane przepisy - respektowano z całą dokładnością.

— Bardzo dobrze, znakomicie... - powiedział na wpół do siebie, na wpół do kierownika stacji, który siedział naprzeciw, przy biurku.

— Staramy się, inspektorze! - Kierownik uśmiechnął się z zadowoleniem. Inspektor wydobył z teczki blankiet protokołu. Prawie z żalem przekreślił na krzyż rubrykę „zauważone usterki”.

Żeby tak chociaż jakiś drobiazg, pomyślał inspektor podpisując protokół. Odnoszę wrażenie, jak gdyby ci wszyscy ludzie byli aniołami albo automatami. Czyżby naprawdę człowiek mógł postępować w sposób tak idealny, wykazywać tyle dyscypliny w kwestii bhp?

Kiedy wręczył kopię kierownikowi stacji, ten uśmiechał się wciąż tak samo uprzejmie, lecz inspektorowi wydawało się, że za tym uśmiechem kryje się odrobina złośliwej satysfakcji. Pewnie myśli sobie teraz: ot, i masz, bracie, przejechałeś się kawał drogi, chciałeś nas przyłapać, a tu - nic z tego!

Inspektor, powtarzając w myślach wciąż swoje „nie do wiary, zupełnie nie do wiary”, podszedł do radiostacji alarmowej stojącej w kącie pokoju kierownika.

— Działa? - spytał już tylko dla formalności.

— Oczywiście - powiedział kierownik stacji.

— Proszę uruchomić.

Kierownik przekręcił włącznik. Zapaliły się światełka kontrolne.

— Proszę nadać test kontrolny - powiedział inspektor.

Kierownik stacji włączył mikrofon i zaczął mówić. Inspektor siedział i słuchał w rosnącym osłupieniu. Przez dziesięć minut, bez chwili przerwy, ten człowiek rzucał w mikrofon szeregi słów i liczb nie zająknąwszy się ani razu! A gdy z centrum łączności przyszła odpowiedź potwierdzająca pełną zrozumiałość testu, inspektor wiedział już wszystko. Przez myśl przebiegła mu czytana w drodze notatka o niezidentyfikowanym obiekcie latającym zauważonym po tej stronie Księżyca. Tak! To jedyne wyjaśnienie tej niezwyklej historii.

— Znasz to na pamięć?! - krzyknął inspektor. - Nie widziałem człowieka, który potrafiłby zapamiętać kolejność i brzmienie dwóch tysięcy słów i liczb nie powiązanych w sensowny tekst! Ty nie możesz być człowiekiem! Ani ty, ani wszyscy inni na tej stacji... Co też mówię, na naszej stacji, którą wy opanowaliście podstępem!

Inspektor chciał chwycić mikrofon, ale silne uderzenie w czoło odtrąciło go do tyłu.

— Zgadłeś, ale nie na wiele ci się to przyda - powiedział złowrogo „kierownik stacji” ściągając z twarzy cienką powłokę maski, spod której ukazała się obca twarz nieznannej, niezemskiej istoty. - Już stąd nie wyjedziesz. Jesteśmy zwiadem

cywilizacji z układu Procjona. Ta .stacja jest nam chwilowo potrzebna. Myśleliśmy, że się od nas sam odczepisz. Dlatego pozwoliliśmy ci tu buszować. Jesteśmy dobrze przygotowani na takie wizyty. Utrzymujemy stację w stanie zgodnym z wszystkimi waszymi przepisami i długo jeszcze nikt nas nie rozpozna.

— Mylisz się! Od początku wiedziałem, że coś tu jest nie w porządku.

— Jak to?

— Po prostu jesteście zbyt dokładni jak na ludzi! Zbyt doskonale stosujecie się do wszystkich instrukcji.

— Nie rozumiem! Czyżby te instrukcje nie obowiązywały?

— Owszem, obowiązują, ale w warunkach normalnej pracy zdarzają się zwykle drobne, a niekiedy i poważne uchybienia i niedociągnięcia. To, co zastałem u was, było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe!

— To i tak nie ma teraz znaczenia. - „Kierownik” wydał kilka bulgotliwych, głośnych dźwięków... Do pokoju wpadło dwóch „pracowników” stacji i wywlekli inspektora na korytarz. Otworzyli jakieś drzwi i cisnęli go w głąb ciemnego pomieszczenia.

§ § §

Inspektor Kirs otworzył oczy. Leżał na podłodze swego pojazdu, obok fotela, z którego widocznie zsunął się na wybojach. Obok niego leżał toni opowiadań fantastycznych. Inspektor przetarł oczy, wciąż pod wrażeniem koszmaru sprzed kilku chwil. Dopiero gdy wydzwignął się na fotel i wyjrzał przez okno, upewnił się, że to był tylko sen. Pojazd stał przed wrotami śluzy wjazdowej stacji Selene-13. Nad wrotami migало pomarańczowe światło sygnalizujące gotowość otwarcia. Po

chwili mógł już wjechać do środka.

W służbie beztrzesko stał sobie mechanik w poplamionym smarami skafandrze, bez rezerwowej butli tlenowej, i popukiwał palcem w szybkę manometru ciśnienia wewnętrznego, który zaciął się właśnie w położeniu „próżnia kosmiczna”. Inspektor dopiął skafander i otworzył kopułkę pojazdu. Zeskoczył na podłogę trafiając prosto w kałużę rozlanego oleju i dalszą drogę w kierunku wnętrza stacji odbył na siedzeniu. Wstając nie miał już najmniejszej wątpliwości, że znalazł się bynajmniej nie wśród przybyszów z Procjona.

Początkowo był tym wielce uradowany, jakby powrócił spośród obcych, wrogich istot - w normalny ludzki świat. Ale już po chwili, gdy zobaczył popłoch, jaki wywołało na stacji jego przybycie, odrzucił od siebie sentymenty w stosunku do braci-ludzi i dobrał im się do skóry jak nigdy nikomu przedtem. Wręczając kierownikowi stacji wielostronicowy protokół, inspektor Kirs nie mógł się powstrzymać od kilku złośliwych uwag.

— Ależ inspektorze! - bronił się kierownik. - Nie tylko u nas mamy takie problemy. Pan wie najlepiej, jak bywa na innych stacjach! Zresztą, jak dotychczas, nikomu nie stało się nic poważnego... A poza tym w naszych warunkach samo przebywanie na Księżycu jest chyba największym ryzykiem i zagrożeniem.

— Każdy wypadek jest skutkiem jakichś zaniedbań - powiedział inspektor. - A na inne, gorsze stacje nie oglądajcie się. Wzorować się trzeba na tych, którzy zawsze, w każdych warunkach potrafią przestrzegać zasad bhp!

— Gdzie takich szukać, inspektorze!?

— Na przykład w układzie Procjona, w gwiazdozbiorze

Małego Psa - powiedział inspektor zagadkowo. - Ale myślę, że niekoniecznie aż tak daleko...

PIGUŁKA BEZPIECZEŃSTWA

— Nie wyobrażasz sobie, jak trudno dziś być dowódcą kosmolotu! - westchnął kapitan Rott mieszając kawę. - Zwłaszcza gdy obsługuje się tak ważną linię towarową. Komendant kosmoportu mówi ci: start musi nastąpić zgodnie z harmonogramem, bazy na satelitach Saturna czekają na sprzęt... Nie ma mowy o żadnym opóźnieniu odlotu! A tu, z drugiej strony, kto żyw - utrudnia ci start. Pomyślisz może, że inspektorat techniczny, kontrola lekarska... Nie, z nimi jeszcze najmniej kłopotu. Nawet ze służbą bhp można sobie jakoś poradzić, nawet inspektora pracy ze Związku Zawodowego Pracowników Kosmosu udaje się wreszcie obłaskawić. I kto ci najwięcej krwi napsuje? Ni mniej ni więcej, tylko członek własnej załogi, społeczny inspektor pracy!

— Wcale się nie dziwię - wtrącił inżynier. - On przecież najlepiej zna statek i wszystkie słabe punkty w zakresie bezpieczeństwa pracy.

— No właśnie! Ostatnio zakwestionował klimatyzację. Teraz rozgrzebują mi całą instalację tlenową i - do diabła - na pewno nie zdążą skończyć przed poniedziałkiem. Kiedy zaczynałem latać, klimatyzacji w ogóle na statku nie było. A jak wreszcie skończą z tą klimatyzacją, to on znów coś wyszuka...

— Nieszczególny musi być ten twój kosmolot - uśmiechnął się inżynier. - Pewnie jakieś stare pudło.

— No, no! - zaperzył się kapitan. - Stare, bo stare, ale jeszcze polata, nie bój się. Zresztą nikt z załogi nie ma poważniejszych zastrzeżeń co do warunków pracy, tylko ten społeczny inspektor tak się przejął swoją rolą. Jak dotychczas nie było żadnego

poważniejszego wypadku w czasie lotów, a to już o czymś świadczy!

— O ile pamiętam, opowiadałeś mi niedawno o tej historii z przeciekiem w układzie chłodzenia reaktora...

— No i co z tego? Awarie muszą się zdarzać od czasu do czasu.

— Hm... Jeśli jednak w grę wchodzi zagrożenie załogi...

— Ależ człowieku, weź pod uwagę, jak wielkim zagrożeniem bezpieczeństwa jest sama podróż poza Ziemię! Związane z tym prawdopodobieństwo wypadku przekracza wszystkie inne prawdopodobieństwa razem wzięte.

— Nie zapominaj, że prawdopodobieństwo wypadku jest iloczynem, a nie sumą prawdopodobieństw wynikających z poszczególnych zagrożeń!

Kapitan burknął coś pod nosem i jednym haustem dopił resztę kawy.

— Nie przyszedłem tu po to, byś mnie pouczał o sprawach podstawowych. Liczyłem na to, że mi doradzisz, co mam zrobić, żeby uśpić trochę tę wybujałą czujność mojego społecznego inspektora. Widzę jednak, że niewiele mi pomożesz. Nie znasz tych spraw z życia, siedzisz sobie spokojnie w laboratorium, mieszasz coś tam w probówkach...

Wstał i ruszył w stronę wieszaka. W rozdrażnieniu szamotał się przez chwilę z rękawem płaszcza.

— Zaczekaj - powiedział nagle inżynier. - Mam tu coś... Może nabierzesz wreszcie szacunku do nowoczesnej farmaceutyki.

Sięgnął do ściiennej szafy i wydobył fiolkę pełną zielonych drażetek. Podał ją kapitanowi.

— Co to? - Rott patrzył to na chemika, to na pigułki. - Dajesz mi środek uspokajający? Dziękuję, nie trzeba. Nie zamierzam na razie udusić tego mojego inspektora.

Inżynier wręczył mu jeszcze jakiś papier i numer fachowego czasopisma.

— Kiedy się uspokoisz, przyczytaj artykuł na sześćdziesiątej siódmej stronie. A tu jest świadectwo Instytutu Leków. Jedna tabletką raz na trzy dni.

Dla mnie?

— Nie. Dla całej twojej załogi.

— Może wreszcie powiesz, o co chodzi?

— To jest „pigulka bezpieczeństwa”. Nowe opracowanie naszego laboratorium. Resztę przeczytasz sobie w artykule.

Kapitan Rott siedział w swojej kabinie i po raz trzeci zabierał się do czytania artykułu o „pigulce bezpieczeństwa”. Co chwila jednak ktoś mu przeszkadzał. Jak zwykle na kilka dni przed odlotem cała załoga pracowała niczym w gorączce. Jak zwykle ktoś się z czymś opóźniał i na złamanie karku usiłował nadrobić stracony czas. Do kabiny kapitana wpadali na przemian: energetyk, nukleonik, nawigator - każdy ze swoimi kłopotami. W chwilach względnego spokoju kapitan zdołał wyłowić z czytanego artykułu najważniejsze fragmenty:

Preparat B 79 działa w zasadzie w trzech podstawowych kierunkach: po pierwsze - wzmacnia koncentrację nad wykonywaną czynnością powodując szczególne nasilenie uwagi pracownika; po drugie — wywołuje szczególną dbałość o bezpieczeństwo własne i współpracowników, ścisłe przestrzeganie instrukcji pracy, właściwe i skrupulatne stosowanie wszelkich dostępnych środków zwiększających bezpieczeństwo pracy...

Czego to nie wymyślą ci chemicy, pomyślał kapitan z podziwem, sięgając po czerwony ołówek, by podkreślić przeczytany przed chwilą fragment tekstu. W tym momencie

drzwi kabiny uchyliły się. Kapitan spojrział w ich kierunku i cały najeżył się wewnątrz. W szparze ukazała się twarz społecznego inspektora pracy.

— Proszę, proszę! - Kapitan uśmiechał się nieszczercze. - Cóż tam nowego, inspektorze?

— Chciałem zawiadomić, kapitanie, że z klimatyzacją skończą na czas. A poza tym...

— Jest jeszcze coś poza tym? - przeraził się kapitan.

— Właściwie drobiazg... Te schodki między poziomem siódmym i sekcją analizatorów... Warto by je wymienić na nowe. Pan kapitan pamięta, jak Krebs zjechał po nich podczas ostatniego rejsu? A przedtem Gawliński. Stopnie są tak wyślizgane...

— Ależ kolego, nie mamy czasu na takie drobiazgi. A zresztą żadnemu z nich nic się właściwie nie stało. Krebs spadł przy jednej dziesiątej „g”, a ten drugi, o ile pamiętam, przy prawie zerowym ciągu.

— Tak, kapitanie. Ale proszę sobie wyobrazić te sytuacje przy normalnym ciągu. Nie mówię już o pełnej mocy silników...

— Przy pełnej mocy silników nikt nie włączy się po statku - powiedział kapitan ze złością.

— Przepraszam, ale w instrukcji awaryjnej jest napisane, że w razie zablokowania automatyki rozrządu należy dotrzeć na siódmy poziom i ręcznie wymienić podzespół... To może się zdarzyć także przy pełnym ciągu.

Kapitan nie odpowiedział. Nerwowo postukiwał ołówkiem w blat stołu.

— W każdym razie to, co zdarzyło się na tych schodkach, mogło być ciężkim wypadkiem. Proszę, tu jest notatka w tej sprawie. Jeśli pan kapitan zechce wydać odpowiednie polecenie,

można tę sprawę...

— Drogi kolego - zaczął kapitan protekcjonalnie. - Gdybyśmy zaczęli przewidywać wszystkie plagi egipskie, jakie mogą na nas spadać w czasie .naszych długich i niebezpiecznych rejsów, to najlepszą rzeczą, jaka by nam pozostała, byłoby siedzieć spokojnie w domu. Moim zdaniem wszystko zależy od załogi. Jeśli się będzie stosowała do wszelkich przepisów i zaleceń, jeśli każdy będzie uważał na siebie i innych, to wypadki nie powinny się zdarzać. Byłbym bardzo rad, gdyby pan zechciał-zwrócić uwagę na sprawy szkolenia załogi w zakresie bhp. Aby zaś dopomóc panu i wykazać, w jakim stopniu doceniam sprawy bezpieczeństwa pracy, chcę przekazać panu najnowszy, rewelacyjny preparat farmakologiczny, który zdobyłem specjalnie dla pana dzięki moim znajomościom w Instytucie Ochrony Pracy.

Kapitan z chytrym uśmieszkiem wydobyl z szuflady słoik zielonych drażetek. Podsuwając inspektorowi pod nos sążnisty artykuł o „pigułce bezpieczeństwa” dodał jeszcze:

— A te schodki... Proszę bardzo, niech pan powie ekipie technicznej, że kazałem wymienić. Ze mną, jak z dzieckiem...

Zanim przebrnie przez ten artykuł, upłynie sporo czasu. Może nie zdąży już wynaleźć dalszych urojonych przyczyn hipotetycznych „prawie wypadków”, pomyślał z satysfakcją.

Po wyjściu inspektora kapitan przez chwilę siedział z głową podpartą rękami. Był zmęczony, rozbolała go głowa - tyle spraw zostało jeszcze do załatwienia. Termin odlotu zbliżał się nieubłaganie, a tu jeszcze trzeba zrobić ogólny przegląd kosmolotu... Kapitan zwlekał z tym ostatnim, kapitańskim przeglądem, bo wbrew temu, co sam sobie chciał wmówić, w głębi ducha zdawał sobie sprawę z opłakanego stanu

większości przestarzałych urządzeń statku. To było rzeczywiście stare pudło, lecz cóż on, sam jeden, osobiście odpowiedzialny za wszystko, mógł tu poradzić? Naturalną kolejną rzeczą wszystko ulega zużyciu, co jednak nie znaczy, by zaraz posyłać kosmolot na szmelc.

Trapiiony sprzecznymi uczuciami i dotkliwym bólem głowy, machinalnie sięgnął do kieszeni. Z plastikowej rurki wydobył jedną tabletkę od bólu głowy i połknął ją popijając wodą z syfonu. Z determinacją podźwignął się z krzesła i ruszył na obchód statku.

Już na podeście drugiego poziomu poczuł, że dzieje się z nim coś niedobrego. Ból głowy ustąpił wprawdzie, ale samopoczucie, które go ogarnęło, było dziwną mieszaniną czujności i niepokoju. Dotykając dłonią ostrej krawędzi poręczy, z której w tym miejscu odpadła plastikowa okładzina, ni stąd ni zowąd wyobraził sobie własną głowę uderzającą o ten twardy stalowy kant. Zawołał pracującego w pobliżu pracownika ekipy technicznej.

— Zrób coś z tą poręczą. Łeb można sobie rozwalić w sprzyjających okolicznościach! - powiedział.

Robotnik spojrział na niego ze zdumieniem.

— Ależ... panie kapitanie! To już tak było... chyba od roku...

— Więc chyba najwyższy czas, by naprawić.

Mijając drzwi windy osobowej kapitan spojrział na obluzowaną tabliczkę sygnalizacyjną i sterczące spod niej przewody elektryczne w spękanej powłoce izolacyjnej. Niemal fizycznie odczuł ostre „kopnięcie” prądem elektrycznym... Zaklął i rozejrzał się za elektrykiem... Szarpnął drzwi windy i stwierdził, że zamek lada chwila puści mimo blokady - tak był zużyty i rozregulowany. Kapitan wyobraził sobie, że spada w głąb szybu windy i zrobiło mu się słabo. Szybko zszedł na

poziom zerowy i opuścił raketę.

Jestem przemęczony, pomyślał i sięgnął do kieszeni po tabletkę środka wzmacniającego. Wyjął dwie fiołki. W jednej z nich były tabletki od bólu głowy. Kapitan przyjrzał im się uważnie i przez chwilę stał jak wbetonowany w płytę kosmodromu.

Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że z fiołki „pigulek bezpieczeństwa” odsypał dziś rano kilka sztuk, a nie mając ich gdzie włożyć, umieścił je w rurce z tabletkami od bólu głowy. Pigułki były zielone, łatwe do odróżnienia.

Kapitan zaklął głośno, jak tylko stare wygi kosmiczne potrafią. Pędem wybiegł do budynku kontroli lotów. Dopadł telefonu.

Centrala? - krzyknął do słuchawki. - Proszę natychmiast wezwać przez megafony tego, no, Ludwika Gremma, z załogi „Kastora”. Niech natychmiast skontaktuje się ze swoim dowódcą. Czekam w pawilonie C.

Spółeczny inspektor pracy statku towarowego „Kastor” zgłosił się po dwudziestu minutach.

—Co się stało, kapitanie? - spytał z niepokojem. - Wypadek?

—Gorzej niż wypadek. Co pan zrobił z tymi pigułkami, które panu dałem?

— Po przeczytaniu artykułu doszedłem do wniosku, że pożytecznie byłoby... dać załodze już teraz po jednej pigułce... A o co chodzi? Czyżby to były... nie te pigułki, o których piszą w artykule?

— Te, właśnie te, i na tym polega całe nieszczęście – burknął kapitan z rezygnacją. - Gdzie pan ma to czasopismo?

— Proszę bardzo, mam je ze sobą, właśnie miałem panu oddać. Kapitan chwycił egzemplarz i bez trudu odnalazł miejsce, gdzie przerwał był czytanie artykułu, bo tam właśnie kończyła

się czerwona kreska podkreślająca fragment traktujący o działaniu preparatu. Kapitan czytał mieniąc się na twarzy:

Trzecim bardzo istotnym kierunkiem działania preparatu jest wyczulenie pracownika na, wszelkiego rodzaju potencjalne zagrożenia wynikające z na pozór niewinnych sytuacji. Działanie to osiąga się poprzez silne rozbudzenie wyobraźni, wzmożone kojarzenie spostrzeżeń z ich prawdopodobnymi następstwami, powodując bardzo plastyczne wizje najbardziej prawdopodobnych spośród wszystkich możliwych sytuacji wypadkowych, mających swe źródło w zaobserwowanych niedociągnięciach...

Kapitan przerwał czytanie i chwycił słuchawkę telefonu. Wykręcił numer, czekał przez chwilę.

— Z inżynierem Góralczykiem - powiedział. - Stefan? Powiedz mi szybko, czy jest jakaś odtrutka na tę zieloną zarazę, którą mi dałeś? No na tę cholerną pigułkę. - Nie ma? No, to już koniec. Załatwiłeś mnie... Mówię, że mnie załatwiłeś na amen. Cześć.

Cisnął słuchawkę i opadł bezsilnie na krzesło.

W drzwiach laboratorium stał kapitan Rott i patrzył ponuro na zaskoczonego inżyniera.

— Dziś mamy wtorek - powiedział Góralczyk. - To znaczy, że jednak nie zdążyliście...?

— Jak widzisz. Przez te twoje cholerne pigułki oczywiście. Ten mój nieoceniony społeczny inspektor rozdał je załodze zaraz tego samego dnia. Przeczytał cały artykuł. I wykorzystał skutecznie własności pigułek. A ja liczyłem na to, że zabezpieczą mi załogę przed wypadkami w czasie podróży. Tymczasem oni po zażyciu pigułek powynajdywali tyle usterek i tyle potencjalnych zagrożeń, że... No, krótko mówiąc zwołali zebranie związkowe, zaprosili inspektora pracy z Okręgu i oświadczyli zgodnie, że

odmawiają startu. Związek ich oczywiście poparł.

Inżynier z trudem opanowywał wesołość patrząc na marsową twarz przyjaciela.

— Bardzo się cieszę, że nasz preparat... - zaczął, lecz kapitan przerwał mu w pół zdania:

— A idź do diabła z taką „pigułką bezpieczeństwa”! Plan przewozów szlag trafił!

— Trudno, mój drogi - powiedział inżynier poważnie. – Na zaniechania organizacyjno-techniczne nie podejmuję się spreparować ci pigułki. Nie tylko załoga, lecz także dowództwo powinno być wyczulone na sprawy bezpieczeństwa.

Milczeli przez chwilę. Kapitan ważył w myślach jakąś decyzję. Wreszcie spojrział na inżyniera jakoś pogodniej i powiedział:

— Wiesz co? Daj mi jeszcze parę tych pigułek.

Otrzymał cały słoik. Gdy wyszedł z laboratorium, tuż za drzewami rozejrzał się ukradkiem dokoła i wysypał na dłoń zielone drażetki. A potem połknął je bez popijania. Trzy na raz.

BŁĄD PILOTA

Pięciu mężczyzn za długim stołem pilnie przewracało arkusze papieru w pękatyh skoroszytach. Od czasu do czasu któryś z nich spoglądał w stronę człowieka siedzącego samotnie po drugiej stronie stołu. Najwyraźniej nie wiedzieli, od czego zacząć.

Erol chrząknął. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby oczekiwali, że sam obwiniony rozpocznie to przesłuchanie. Sytuacja była dość niezręczna. Trzech spośród pięciu członków komisji dobrze znało Erola, a wszyscy doskonale wiedzieli, że mają przed sobą człowieka cieszącego się doskonałą pod każdym względem opinią.

— No tak... - powiedział przewodniczący. - Więc proszę nam powiedzieć... jak przebiegały wydarzenia bezpośrednio poprzedzające wypadek...

Erol skwapliwie skinął głową i nabrał oddechu.

— Może zacznę od chwili, gdy dostałem namiar z punktu kontrolnego. Przekazali mi dane do lądowania, wskazali kwadrat.

— Który to miał być kwadrat?, — przerwał szef ruchu.

— Ósmy. Lądowanie miało się odbyć w ósmym kwadracie manewrem pionowego zejścia z wysokości tysiąca dwustu metrów. Schodziłem z orbity po ostrej spirali, z pełnym hamowaniem. Nad punktem lądowania wystarczyła tylko niewielka korekta bocznymi silnikami manewrowymi, a potem, już nad samą płytą kosmodromu, miałem włączyć pół mocy maksymalnej. W ten sposób siada się prawie bez wstrząsów. Powtarzałem ten manewr już wielokrotnie i robię to prawie na pamięć...

— Właśnie - mruknął przedstawiciel Związku Zawodowego Pracowników Kosmosu. - Rutyna ma dobre i złe strony.

— Tak, ma pan rację. - Erol przytaknął z dziwną skwapliwością. - Nie będę próbował zrzucić z siebie winy za ten wypadek.

— Nie obarczamy pana winą za wypadek., Erol - powiedział przewodniczący i zajrzał do notatek. - Chodzi o coś innego: pan nie zrobił nic, by zapobiec temu, co się stało...

— Tak, ale to ja jestem przecież bezpośrednim sprawcą śmierci Aldena.

— Kiedy pan zorientował się, co się stało na płycie?

— Powiem po kolei. Kiedy rakieta opadła na pięćset metrów, zdjąłem dłoń z dźwigni bocznych manewrów, bo wiedziałem już na pewno, że zmieszczę się w ósmym kwadracie lądowiska. Rakieta nadal opadała swobodnie, rufą w dół. Czekałem, aż prędkość opadania osiągnie tę optymalną wielkość, przy której należy rozpocząć łagodne hamowanie dyszami głównymi. Przy niewielkiej sile ciężenia panującej na planecie Iris punkt włączenia silników leży dość nisko nad powierzchnią. W tym wypadku wysokość ta wynosiła około dwustu metrów. Płomienie z dysz głównych, nawet przy minimalnym ciągu, z tej wysokości dosięgają już prawie płyty, a w kilka sekund później obejmują powierzchnię koła o promieniu czterdziestu metrów...

— Na jakiej wysokości otrzymał pan ostrzeżenie ze stanowiska kontroli kosmodromu? - spytał inspektor bhp.

— Altimetr wskazywał wtedy dwieście pięćdziesiąt metrów. To był właśnie ten moment, w którym należało przenieść prawą dłoń z dźwigni bocznego manewru na regulator siły ciągu.

— A pan zrobił to na wysokości pięciuset metrów - stwierdził behapowiec i postukał palcem w rozłożone papiery.

— Taak... a właściwie to nie... zawahał się Erol. - Puściłem dźwignię manewrową i zablokowałem ją rzeczywiście już na pięciuset, ale nie od razu przeniosłem dłoń na napęd główny. Przedtem jeszcze sięgnąłem do wyłącznika rufowej kamery wizyjnej i zamknąłem jej przesłonę. Przy lądowaniu jest bezużyteczna, a blask ognia z dysz odbity od płyty lądowiska oślepia ją i powoduje szybkie zużycie.

— Czy nie spojrział pan w ekran przed wyłączeniem kamery?

— Zawsze patrzę, to po prostu odruch. Kamera była jednakże przełączona na teleobiektyw, jej pole widzenia obejmowało w tym momencie niewielki fragment powierzchni płyty...

— A kiedy było już tylko dwieście pięćdziesiąt metrów, Frank z kontroli krzyknął... i wtedy ja przez chwilę nie wiedziałem, co robić. Ta chwila - może dwie sekundy zwłoki — zadecydowała o wszystkim. Gdy chwyciłem dźwignię bocznego manewru i szarpnąłem ją, przypomniałem sobie, że jest zablokowana. Nie wiem, dlaczego - ale wydało mi się, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie wyłączenie ciągu i zatrzymanie rakiety na płomieniu. Dopiero gdy wyłączyłem ciąg, zrozumiałem, że jest za późno. Wtedy pomyślałem już tylko o bezpiecznym posadzeniu rakiety. Wyregulowałem moc silników i po chwili rakietę dotknęła płyta. Włączyłem kamerę i na ekranie zobaczyłem, co się stało. Pojazd Aldena, liźnięty płomieniem moich silników, skurczył się jakby i szerniał, a przejrzysta kopułka obserwacyjna stopiła się i zapadła, oblepiając mętnym szklivem siedzącego wewnątrz człowieka... To był mój błąd, oczywisty błąd, rutyniarzkie zlekceważenie oczywistej zasady. Dźwignię bocznego manewru można zablokować na dwie - trzy sekundy przed rozpoczęciem hamowania. Zrobiłem to za wcześnie... To mi uniemożliwiło jedyny prawidłowy manewr: obrót wertykalny

o czterdzieści pięć stopni i ostry skok w górę. Wówczas płomień nie sięgnąłby płyty, a rakieta nabrałaby wysokości i mógłbym ponownie zejść do lądowania. To był pierwszy poważny błąd pilotażu, jaki mi się wydarzył... ale kosztował życie człowieka, więc...

Erol przerwał i zwiesił głowę.

— Panie Erol - powiedział przewodniczący. - Proszę nie popadać w depresję. Niech pan pamięta, że głównymi sprawcami wypadku są ci, którzy dopuścili do obecności pojazdu i człowieka w kwadracie, na którym otrzymał pan polecenie lądować... Gdyby nie to, że kontroler w ostatniej chwili zauważył pojazd na płycie, w ogóle nikt by nie przekazał ostrzeżenia i nie byłoby mowy o pańskiej winie.

— Ale jeżeli takie ostrzeżenie nastąpiło... - mruknął Erol patrząc w podłogę.

— Tak, to sprawę komplikuje i dlatego przesłuchujemy pana w charakterze... współwinnego. Czy są jakieś pytania? - Przewodniczący zwrócił się do członków komisji.

— Ja mam, jedno... - odezwał się milczący dotychczas Kramer, społeczny inspektor pracy z irydzkiego kosmodromu. - Czy pamiętasz, Erol, co krzyknął wtedy obserwator kontroli?

— Ee... chyba.... chyba.... „człowiek pod rufą...”

— Aha... dziękuję.

— Czy są jeszcze pytania? - rzucił przewodniczący. - Nie ma. Wobec tego na razie dziękuję panu, Erol.

Wysoki, czterdziestoparoletni mężczyzna wstał powoli z krzesła, podszedł na chwilę do stołu komisji, jakby chciał o coś zapytać, ale nie powiedział nic, tylko skłonił się lekko i wyszedł.

— On to bardzo przeżywa - powiedział behapowiec. - Czuje się w pełni odpowiedzialny za śmierć tego człowieka.

— Mógł go ratować. To leżało w zakresie możliwości. Gdyby nie zlekceważył instrukcji, wszystko wyglądałoby inaczej dodał szef kosmodromu.

— Myślę jednak, że nie możemy uznać go współwinnym spowodowania wypadku. To jest znakomity pilot. Ma wkrótce wziąć udział w ekspedycji do Fomalhaut... Byłbym skłonny ukarać go dyscyplinarnie za uchybienie instrukcji. Jednak obciążenie go winą za wypadek byłoby przesadą... W chwili lądowania pilot musi skoncentrować się na swych normalnych czynnościach. Sprawa zabezpieczenia kosmodromu należy do kogoś innego.

— Cóż, kiedy on sam aż prosi się o to, by go tą winą obciążyć. Nawet nie próbuje się bronić! - powiedział przedstawiciel Związku.

— Powiedziałbym nawet - dodał Kramer - że trochę przesadza z tymi samooskarżeniami, i to właśnie nie podoba mi się...

— Proponuję przesłuchać teraz tego obserwatora, który dostrzegł pojazd na lądowisku i podniósł alarm - powiedział przewodniczący.

Do pokoju wszedł młody człowiek w mundurze Służby Planetarnej. Zajął miejsce przed stołem i oczekując na pytania niecierpliwie skubał guzik na piersi.

— Powiedz nam, Bili, co wiesz o wypadku z Aldenem - zaczął Kramer.

— Chodzi nam głównie o to, kiedy dostrzegłeś pojazd i w jaki sposób alarmowałeś Erola.

— Pojazd dostrzegłem, kiedy wjechał z siódmego kwadratu w ósmy. Właśnie kierowałem teleobiektyw na ósemkę, żeby obserwować lądowanie. Na skraju pola widzenia mignął mi jakiś cień, przesunąłem kamerę nieco w lewo i na ekranie zobaczyłem

gąsienicówkę Aldena. Natychmiast przełączyłem się na szerokie pole widzenia, ale rakiety jeszcze nie było widać. Miałem oczywiście bezpośrednio wejście na nadajnik, więc krzyknąłem bez namysłu w mikrofon....

— Co krzyknąłeś? - Kramer uniósł się z krzesła wlepiając wzrok w Billa.

— Nno... „człowiek pod rufą...” - powiedział Bili skubiąc guzik munduru.

— Aha... - Kramer opadł na krzesło. - I co dalej? Co odpowiedział Erol?

— Nic... To znaczy ja nic nie słyszałem albo może po prostu nie zwróciłem uwagi, bo już w następnej chwili... Na ekranie zobaczyłem tylko błysk płomieni, cztery pionowe kolumny ognia. Jedna z nich uderzyła w płytę bardzo blisko pojazdu. Wiedziałem od razu, co z tego wyniknie, wcisnąłem więc przycisk ogólnego alarmu.

— Czy był z tobą Frank?

— Frank? Nie, on miał wtedy drugą zmianę. Właściwie to zamieniliśmy się dyżurami. Oczywiście w uzgodnieniu z szefem.

— Aha. Ale według harmonogramu na stanowisku powinien być wtedy Frank?

— Tak.

— Dziękuję - powiedział Kramer. - Nie mam więcej pytań. Przewodniczący popatrzył na Kramera ze zdziwieniem.

— Co to za dziwne pytania, panie Sherlocku Holmes? - uśmiechnął się, gdy Bili wyszedł. - Chyba powinniśmy zakończyć tę sprawę. Wszystko jest jasne.

— Oby tak było... - powiedział Kramer w zamyśleniu.

— Jak to? Czyżby pan miał jeszcze jakieś wątpliwości?

— Wydaje mi się, że, coś tu jest zbyt jasne... i coś się nie

zgadza.

Członkowie komisji byli zmęczeni. Patrzyli z niechęcią na społecznego inspektora pracy, który właśnie teraz zaczynał zabawiać się w detektywa.

— Piszemy orzeczenie - zaproponował przewodniczący. - „Po zapoznaniu się z materiałem dowodowym, opiniami biegłych oraz...”

— A ja nie wierzę, żeby Erol do tego stopnia stracił głowę — przerwał Kramer. - To zupełnie nieprawdopodobne! A poza tym, czy ktoś z panów zna system blokady dźwigni manewrowej w rakiecie typu RB-96? Bo ja znam. Odblokowanie dźwigni nie trwa pół sekundy! A taki pilot jak Erol zrobiłby to jednym ruchem. A on - nawet nie spróbował-manewru, zachował się tak, jakby nie było żadnego alarmu, po prostu wylądował!

— Dźwignia mogła się zaciąć... - podsunął szef kosmodromu.

— Nie. Sprawdziłem, nie zacina się.

— Cóż stąd wynika?

— Nie wiem chyba tylko to, że Erol nie próbował wykonać manewru obrotu.

— To wprost niemożliwe - zaprotestował szef. - Każdy doświadczony pilot hasło „człowiek pod rufą” rozumie jak rozkaz „kładź się i skacz”.

— „Kładź się i skacz” - powtórzył jak echo Kramer.

— Do licha! Poprośmy tu jeszcze raz tego Billa! Zawołano ponownie Billa. Był wyraźnie podenerwowany.

— Powiedz, Bili - Kramer zwrócił się do niego łagodnie. - Jakimi słowami ostrzegłeś Erola?

Bili milczał przez chwilę z opuszczoną głową.

— Instrukcja podaje hasło „człowiek pod rufą”, ale ty krzyknąłeś coś innego. Krzyknąłeś „skacz”, prawda?

— Nie! - zaprzeczył ostro Bili. - Przecież to by oznaczało prosty manewr włączenia silników na pełną moc i skok rakiety pionowo w górę, a więc jeszcze gorszy skutek. Krzyknąłem... „kładź się i skacz”. Tak zresztą krzyknąłby każdy, kto się trochę na tym zna...

— Czy na pewno każdy? Czy nikt nie używa sformułowań określonych instrukcją awaryjną?

— No... może... jeśli chodzi o Franka, to on pewno zastosowałby się do instrukcji. On jest zawsze bardzo pedantyczny.

— Tak, tak... - powiedział Kramer uśmiechając się do siebie. - Czy Erol dobrze zna Franka?

— Oczywiście. Wszyscy na kosmodromie Iris dobrze się znamy! Jest nas przecież tylko piętnastu. Czternastu... bez Aldena - poprawił się po chwili i zamilkł.

Bili wyszedł ponownie, a członkowie komisji popatrzyli pytająco na Kramera.

— Popatrzcie - powiedział Kramer. - Tu są wyniki ekspertyzy kanałów łączności i urządzeń sterujących rakiety Erola. Wszystko było w idealnym porządku. Pilot otrzymał ostrzeżenie i miał kilka sekund czasu, by wykonać prosty manewr i uratować ludzkie życie. Nie zrobił nic. Oglądałem zapis obrazu telewizyjnego z lądowania. Rakieta usiadła bez żadnego wahania. Manewr lądowania wykonany był idealnie, jakby nic się nie stało! Nie wierzę, aby taki pilot jak Erol nie przedsięwziął jakiegokolwiek próby, otrzymawszy tak oczywiste ostrzeżenie!

— Ale fakty, kolego. Fakty! - Przewodniczący był zniecierpliwiony. - Faktem jest, że nic nie zrobił. Sam to przyznaje. Mógł stracić głowę, to się przecież zdarza najlepszym.

— Proszę zwrócić uwagę na te drobne szczegóły - powiedział

Kramer. - Po pierwsze - Erol zeznał, że ostrzegł go Frank. Niemożliwe, aby nie rozpoznał głosu Billa! Poza tym Erol podał inną treść ostrzeżenia. Taką właśnie, jaką przekazałby Frank, gdyby to on był wówczas na stanowisku. Po prostu Erol wiedział, kto powinien tam być, ale ostrzeżenia nie usłyszał! Wiedział, bo dowiedział się o tym zaraz po wylądowaniu, że ostrzeżenie było - ale resztę zmyślił. Po drugie - bardzo chętnie przyznał się do błędu w pilotażu, nawet do naruszenia przepisów. Zdecydował się ponieść odpowiedzialność dyscyplinarną! Co dla pilota może być gorsze od odpowiedzialności dyscyplinarnej?

— Cofnięcie uprawnień - powiedział szef.

— Właśnie. A co może być przyczyną cofnięcia licencji? Na przykład stan zdrowia. Proponuję odroczyć decyzję do czasu przeprowadzenia dokładnych badań lekarskich Erola...

— Wybacz mi, Kramer. W pierwszej chwili miałem do ciebie żal, że ty, kolega, społeczny inspektor pracy i tak dalej... Ta wyprawa do Fomalhaut i tak już przeszła mi koło nosa, więc wszystko jedno. Miałeś rację, nie powinienem był tego ukrywać. Zdarzyło mi się to przedtem dwa razy, zawsze podczas przejścia ze spirali do spadania swobodnego. Lekarze określili to później jako nadmierne obciążenie tętnicy skroniowej, co przy moim nowotworze dawało efekt zaburzeń słuchu objawiający się ostrym szumem w uszach uniemożliwiającym słyszenie czegokolwiek. Trwało to około pół minuty, ale przy normalnym lądowaniu nie przeszkadzało mi zupełnie. Nie chciałem się do tego przyznać, rozumiesz chyba, nie wiedziałem, co powiedzą lekarze, a na pracy pilota zależało mi bardzo. Teraz wiem, że to było z mojej strony idiotyczne...

Erol poprawił poduszkę pod obandażowaną głowę.

— Czy myślisz, że teraz, po operacji, pozwolą mi znów latać? -

spytał patrząc na Kramera z nadzieją w oczach.

ŚMIESZNA SPRAWA

Zabudowania bazy głównej rozrzucone były na obszarze trójkątnego cypla wcinającego się klinem w bagniste tereny równiny, która ciągnęła się dziesiątkami kilometrów, aż do nieprzebytej gęstwiny niskopiennej roślinności. Rowan przybywał stamtąd, zza ściany dżungli, gdzie na niezbyt rozległym płaskowyzu zbudowano trzecią stację badawczą.

Posadził wirolot na samym skraju lądowiska, w miejscu wskazanym przez dyspozytora bazy i wysiadł rozprostowując kończyny po długim locie w ciasnej kabinie jednoosobowego pojazdu. Powoli przeciął plac przed głównym budynkiem, rozglądając się ciekawie. Nie zaglądał tu już od kilku tygodni. W tym czasie zmieniło się tutaj wiele, baza była w ciągłej rozbudowie, przybywało ludzi i sprzętu.

Gdy Rowan lądował na planecie jako członek pierwszej załogi, która dotarła tu z Ziemi, było ich zaledwie sześciu. Teraz liczebność grupy badawczej wzrosła prawie dziesięciokrotnie, a zabudowania Bazy można było nazwać luksusowymi w porównaniu z ciasnym barakiem, jakim dysponowali pierwsi zdobywcy planety.

Jednak te pierwsze miesiące miały dla Rowana niepowtarzalny urok - mimo niewygód i niebezpieczeństw, z jakimi nieuchronnie musieli spotykać się na co dzień pierwsi ludzie w tym obcym zupełnie środowisku. Teraz wszystko wyglądało inaczej i choć planeta kryła jeszcze wiele niespodzianek i niezbadanych zakątków, nie wydawała się już ani tak niebezpieczna, ani niezwykła...

Co to jednak znaczy przyzwyczajenie. Znane

niebezpieczeństwo przestaje być tak groźne jak nieznane, niespodziewane, myślał Rowan omijając z daleka kępę niewinnie wyglądających krzewów o rozłożystych, ścielących się jak kosówka gałęziach.

Potykaç krągłolistny, czyli roślina, która podstawiła nogę, uśmiechnął się do swoich myśli, przypominając sobie pierwszy kontakt z twardymi łodygami tego krzewu, kiedy to nie znając jego niezwykłych zdolności przeszedł w pobliżu sporego okazu potykacza. Było to zresztą w drugim dniu jego pobytu na planecie i trudno się dziwić: nikt wówczas nie znał jeszcze właściwości tutejszej flory. Towarzysze Rowana proponowali nawet nazwać roślinę jego imieniem - jako że był pierwszym człowiekiem, który stłukł sobie kolano przez tego roślinnego żartownisia. Rowan uznał jednak, że nie jest to najlepszy sposób uwiecznienia się w naukowej literaturze i zaprotestował.

Przechodząc teraz koło krzewu Rowan podniósł z ziemi spory kamień i potoczył go w stronę rośliny. Jej poskręcane gałęzie wyprężyły się gwałtownie i po chwili oplotły kamień, zatrzymując go na miejscu.

To była tylko jedna z osobliwości tutejszej przyrody. Teraz, po półrocznym okresie pobytu na planecie, Rowan mógł godzinami opowiadać nowo przybyłym o różnych innych niezwykłościach. Tylko że na gadanie nie pozostawało zbyt dużo czasu. Zadania ekspedycji wymagały pośpiechu i sprawnego działania.

Przylot Rowana do Bazy też nie był spacerem ani kurtuazyjną wizytą. Miał stąd zabrać trochę sprzętu, a przede wszystkim rozmówić się z kierownikiem wyprawy. Miała to być męska rozmowa na temat pewnych trudności w wykonywaniu założonego planu. Zdaniem Rowana kierownictwo nie brało pod uwagę wyjątkowo trudnych warunków pracy grupy pracującej

na płaskowyżu położonym daleko od Bazy Głównej, wśród paskudnych moczarów i w bezpośrednim sąsiedztwie nie zbadanej jeszcze dżungli.

Rowan układał sobie w myślach ostrą przemowę, którą zamierzał wypalić przed szefem. Idąc przez dziedziniec Bazy osiągnął szczyt psychicznej gotowości. Pchnął drzwi komory przejściowej i nie zdejmując skafandra przeszedł przez służbę do wnętrza budynku.

— Cześć - powiedział podnosząc dłoń do hełmu. - Co nowego, Bris?

Dziewczyna siedząca przy pulpicie dyspozycyjnym podniosła wzrok znad barwnego czasopisma.

— Jak się masz Rowan! - powiedziała dziwnie słodkim tonem, a przybysz od razu pojął, że coś tu nie jest w porządku. - Siadaj, zdejmij skafander. Może chcesz herbaty albo kawy?

— Chcę szefa. I to zaraz, bo bardzo mi się śpieszy.

— Więc kawy czy herbaty? - spytała dziewczyna ignorując zupełnie żądanie Rowana. - Usiądź i przejrzyj nowy numer „Przyjaciela przy Pracy”. Bardzo interesujący, wczoraj przywieźli świeżą prasę.

— A klej epokrzemowy i pastę antykorozyjną przywieźli?

— Nie mam pojęcia, zadzwoń do magazynu. A jeśli chodzi o kierownika, to będziesz musiał zaczekać...

— Jak to? Przecież byłem zapowiedziany?

— Szef wyjechał nagle przed godziną.

— Nie mogłaś mi tego powiedzieć przez radio, gdy byłem w drodze?

— Nie chciałam psuć ci humoru, jeszcze byś ze zdenerwowania wylądował w Wielkim Bagnie. A zresztą i tak musisz zabrać sobie ten klej.

— Więc jednak przywieźli?

— Przywieźli. A szef powinien niedługo wrócić. Herbata?

— Niech będzie, proszę o herbatę. U nas, na płaskowyżu, oczyszczalnia wody działa fatalnie. Dawno nie piłem porządnej herbaty. Dokąd poleciał szef?

— Do pewnej stacji. Zdarzył się jakiś wypadek czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, o co chodzi, słyszałam tylko kilka zdań z radiogramu. Wygląda na to, że ktoś tam dostał pomieszania zmysłów czy. Też może miał halucynacje... Nie wiem, Diss mi nic o tym nie mówił.

Rowan z rezygnacją zdjął skafander i rozsiadł się na kanapce w kącie dyżurki. Machinalnie sięgnął po czasopismo, które podsunęła mu Bris. Dziewczyna podawała herbatę i Rowan z przyjemnością przyglądał się jej zgrabnej sylwetce obleczonej w ciasnawy kombinezon.

Na wielobarwnej, lakierowanej okładce miesięcznika również bardzo sympatyczna dziewczyna prezentowała zupełnie przejrzysty strój ochronny do prac w toksycznej atmosferze planety Aberis układu Tau Ceti. Miała na sobie tylko ów strój, więc Rowan dość długo przyglądał się okładce, a potem wyobraził sobie Bris w podobnym stroju i westchnął.

— Szkoda, że tu nie ma trującej atmosfery - powiedział na wpuł do siebie. - O, to przecież zupełnie nowy numer Przyjeciela.

— Tak, ostatnio dbają o nas. Opóźnienie nie przekracza dwóch tygodni.

— Kiedy zakładaliśmy pierwszą stację, przysłali nam gazety sprzed trzech miesięcy. - Rowan z zainteresowaniem przeglądał bogato ilustrowany miesięcznik. Z przyjemnością dotykał lśniącej bieli papieru, oglądał barwne, dające złudzenie trzech wymiarów ilustracje i przez chwilę miał wrażenie, że siedzi w swoim starym

wygodnym fotelu, we własnym mieszkaniu, które w rzeczywistości było oddalone o dziesięć dni drogi najszybszych rakiet kosmicznych.

— To jubileuszowy numer - powiedziała Bris. - Dwutysięczny. Przeczytaj sobie ten reportaż z akcji ratunkowej na Ganimedzie.

Rowan zatrzymał się jednak na innym tytule. Przeczytał kilka pierwszych zdań artykułu i poczuł się trochę nieswojo.

„Nie wszyscy zdają sobie sprawę,” pisał autor artykułu, „jak wielkie znaczenie ma szczegółowa analiza sytuacji, które nie doprowadziły wprawdzie do rzeczywistego zagrożenia życia lub zdrowia pracownika, lecz mogły takie zagrożenie spowodować. Niejednokrotnie szczęśliwy przypadek, tak zwany łut szczęścia, ratuje człowieka w sytuacji, w której stu innych straciłoby życie. Ujawnianie takich przypadków ma ogromne znaczenie dla profilaktyki. Nie zawsze jednak niedoszące ofiary sygnalizują kierownictwu zaistnienie takiej sytuacji. Wśród motywów takiego postępowania jedno z czołowych miejsc zajmuje obawa przed narażeniem się na ośmieszenie z powodu chwilowego gapiostwa czy nieumiejętności właściwego postępowania. Niekiedy przyczyną jest brak wyobraźni utrudniającej ocenę wagi wydarzenia.”

Rowan przerwał czytanie i zamyślił się głęboko.

Zdarzyło się to przed miesiącem, kiedy Rowan wyruszył białopławem na rekonesans w rejon Wielkiego Bagna. Był z nim wówczas Luv, ten sam, który kiedyś proponował nazwać potykacza imieniem Rowana. Luv był trochę zbyt złośliwy, jak na gust Rowana - szczególnie, gdy stroił żarty na jego temat.

Kiedy po kilku dniach powolnego przedzierania się przez płytkie wody i grzaskie, przypominające torfowisko obszary bagna dotarli wreszcie do jednej z nielicznych suchszych

wysepek, obaj z przyjemnością rzucili wreszcie noszone na pasach przerzuconych przez ramię przyrządy pomiarowe i analizatory, po czym wyciągnęli się na skrawku suchego lądu, by naprawdę odpocząć. We wnętrzu błotopławu nie było zbyt wygodnie, choć mogli tam zdjąć skafandry.

Nad bagniskiem wisiała mgła, w promieniu kilkunastu metrów widać było jedynie kilka kęp roślinności wystającej nad powierzchnię burej wody. Rowan wpatrywał się w gęstniejące kłęby oparu podnoszącego się nad bagniskiem. Pomyślał wtedy, jaki wiele wysiłku będzie kosztowało doprowadzenie tej planety do stanu, w którym nada się ona do wykorzystania przez ludzi.

Widział, jak Luv układa się wygodnie do drzemki. Po chwili jego chrapanie było słychać nawet poprzez kulisty hełm. Rowan leżał wśród rozrzuconego sprzętu, podłożywszy sobie pod głowę płaską skrzynkę podręcznego zestawu analitycznego. Przymknął oczy.

Kiedy obudził się, nie potrafił sobie uprzytomnić, jak długo trwała jego drzemka. Gdy otworzył oczy i spojrzał przed siebie, w stronę bagna, wydawało mu się, że kątem oka dostrzega jakąś ciemniejącą plamę we mgle. Zwrócił głowę w tamtym kierunku i zdrętwiał.

Nad powierzchnią bagna, o kilka kroków od brzegu wysepki, na której odpoczywali, rysowała się wyraźnie na tle mgły ciemna bryła jakby ulepionej z błota kukły zanurzonej po pas w wodzie. Podobieństwo kształtu do ludzkiego popiersia było, być może, osobistym wrażeniem Rowana, jednak nie dało się zaprzeczyć, że przedtem tego czegoś tam nie było!

Rowan nie bardzo jeszcze zdawał sobie sprawę, czy śni, czy rzeczywiście ogląda to dziwne monstrum. I właśnie w tym momencie, gdy usiłował uszczypnąć się przez skafander, postać

w bagnie poruszyła się, zaczęła powoli sunąć w stronę wysepki.

Rowan nigdy potem nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego to zrobił, w tym jednak momencie bez chwili zastanowienia chwycił pierwszy przedmiot, jaki miał w zasięgu ręki, i... cisnął nim w stronę czarnej zjawy.

Zniknęła w jednej chwili, jakby wessana przez bagno, a w ślad za nią zniknął pocisk Rowana, którym, jak się później okazało, był analizator mineralogiczny.

Rowan wstał i zbliżył się do brzegu bagna wytyżając wzrok. Wszystko było jednak po dawnemu, senna mgła snuła się nad topieliskiem, którego powierzchnia nie zdradzała nawet miejsca, gdzie domniemany potwór bagienny zanurzył się przed chwilą...

Coś mi się zdaje, że jednak... jestem zmęczony, pomyślał Rowan.

Gdy Luv obudził się po długiej drzemce, Rowan stwierdził lakonicznie:

— Utopiłem w bagnie analizator.

Luv nawet się nie zdziwił. Jemu też zdarzało się niekiedy coś utopić w tym paskudnym bagnie...

— Co z tobą, Rowan? - Bris patrzyła z niepokojem na kierownika trzeciej stacji. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył smoka na tamtej ścianie, tak się w nią wpatrujesz od kilku minut...

— E, nic... Zamyśliłem się.

Do dyżurki wszedł Gray. Na widok Rowana zrobił kwaśną minę, widocznie przyszedł tu raczej w celach towarzyskich do Bris.

— Czołem, stary. Słyszałeś, co się stało na jedyńce? Jorg zdaje się zwariował.

— Jak to: zwariował?!

— Podczas pracy nad brzegiem jeziora rzucił nagle przyrządy

i pognał na oślep w dżunglę. Tam jest grząsko. O mało nie utonął, ledwo go wyciągnęli, a teraz próbują go uspokoić. Twierdzi, że zobaczył diabła, błotnego diabła, czy coś w tym rodzaju.

Rowan zerwał się na równe nogi.

— Połącz mnie zaraz z pierwszą stacją! - powiedział do Bris.

Szef był już w stacji. Rowan, jękając się, zaczął coś tłumaczyć, ale kierownik przerwał mu:

— Nie denerwuj się, Rowan. Zaraz lecę z powrotem, zaczekaj na mnie. Mieliśmy dość niezwykłą historię... ale wszystko skończyło się dobrze.

Kiedy siedzieli już obaj w kabinie szefa przy kolejnej szklance znakomitej herbaty, Rowan dowiedział się reszty.

— Chłopak przeraził się nie na żarty. Jest dość nerwowy. Zresztą chyba każdy z nas miałby stracha. Pracując nad brzegiem bagna spostrzegł nagle jakąś czarną postać przypominającą człowieka wynurzającego się z błota. Rzucił wszystko i zwiął na oślep, pomyliwszy przy tym kierunek. Później, kiedy już spokojnie opowiedział nam o wszystkim, urządziliśmy polowanie.

— I co? Znaleźliście tego diabła?

— Owszem. To zupełnie nieszkodliwe zwierzę. Powiedzmy, że coś w rodzaju wielkiej żaby... To, co wyglądało jak górna połowa ludzkiego ciała, było... całym zwierzęciem. Tylko wyobraźnia Jorga podpowiedziała mu, że pod powierzchnią bagna znajdują się nogi, kopyta i diabelski ogon.

Rowan śmiał się długo i głośno. W pewnej chwili jednak spoważniał nagle i popatrzył w twarz zdziwionego nieco szefa.

— Wiesz, Diss - powiedział. - Gdyby coś stało się Jorgowi, miałbym go na sumieniu.

— Nie rozumiem?

— Ja pierwszy widziałem tego diabła. Rzuciłem nawet w niego cennym aparatem naukowym... Ze strachu, ma się rozumieć.

— Widziałeś go i nie mówiłeś ani słowa nikomu?

— Wiesz, dość miałem drwinek Luva z mojej pierwszej przygody - z tym cholernym krzewem. A poza tym nie miałem pewności, czy mi się to nie śniło... Dopiero kiedy przeczytałem ten artykuł, zrozumiałem, że tak nie można. Tutejszy świat jest wciąż pełen niespodzianek, a my jesteśmy tylko ludźmi....

Rowan zwinął w rulon kolorowe czasopismo i wsunął do torby.

— Oto przykład oddziaływania prasy fachowej! - zaśmiał się Diss. - Dobrze, że w rezultacie możemy się śmiać.

— Wiesz, teraz dopiero widzę, jak trudno jest zauważyć pewne oczywiste prawdy, dopóki nam ich ktoś nie wbije do głowy kilkoma trafnymi zdaniami - powiedział Rowan naciągając skafander.

ADAPTACJA

Przymglonym jeszcze wzrokiem próbowałem rozejrzeć się wokoło, lecz oświetlenie było słabiutkie i wydobywało z mroku jedynie zarysy przedmiotów. Widziałem jakieś ażurowe konstrukcje po prawej stronie mojego legowiska. Przeciągnąłem się wydobywając ręce spod szorstkiego, ciemnego koca. W stawach zatrzeszczało, mięśnie były sztywne, umysł opornie wracał do przytomności. Spróbowałem usiąść na pościeli, ale głowa zderzyła się z dość twardą, lecz lekko ustępującą przeszkodą. Pomacałem ją dłonią i wyczułem zwisającą nade mną wybrzuszoną ku dołowi siatkę.

Wysunąłem głowę poza brzeg legowiska. Teraz dopiero dotarło do mojej świadomości, że leżę na drugiej kondygnacji trzypiętrowej pryczy z metalowych rurek. Po drugiej stronie małego pokoiku stały takie same legowiska, oddzielone od mojego wąskim przejściem, nad którym ledwo jarzyła się sufitowa lampa.

Poczułem, że do przegubu lewej ręki przywiązana mam cienką tasiemkę. Na jej końcu zwisał plastikowy woreczek. Było w nim kilka tubek koncentratu, jakieś tabletki w przezroczystym opakowaniu i kostka mydła.

Opuściłem nogi z legowiska i ostrożnie zsunąłem się na podłogę. Była chłodna, gładka i niemiła dla bosych stóp. Chwiejnie przebyłem odległość dzielącą mnie od prostokąta drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Na ich wewnętrznej powierzchni nie znalazłem ani śladu klamki lub innego urządzenia otwierającego. Brzegi framugi przylegały ściśle do krawędzi drzwi za pośrednictwem gumowych uszczelnień, jak

w kabinie ciśnieniowej.

Spojrzałem za siebie, wzdłuż przejścia między pryczami. U szczytu ściany ciemniała pozioma, wąska wnęka okna z połyskującą szybą, lecz zasłonięta od zewnątrz okiennicą. Jeden z kątów pokoju, przy drzwiach, odgradzony był przepierzeniem nie sięgającym sufitu, z wejściem przesłoniętym kotarą.

Za przepierzeniem była kabina sanitarna. Brudna umywalka, kran z leniwie sączącą się zimną i żółtawą wodą, opatrzony tabliczką z napisem, iż woda nadaje się do picia. Na ścianie, przerzucony przez dwie rolki jak taśma transportera, biegł od sufitu do podłogi jeden długi ręcznik, podzielony poprzecznymi liniami na pola ponumerowane od jednego do dwunastu...

Przyjrzałem się swemu odzieniu. Był to rodzaj luźnej piżamy z grubej, kraciastej flaneli w nieokreślonych, brudnych barwach.

Opłukałem twarz. Woda cuchnęła nieprzyjemnie, powietrze w pokoju też miało jakiś niemiły, obcy zapach. Gdy wracałem na pryczę, zauważyłem, że światło rozjaśnia się powoli. Policzyłem współtowarzyszy. Było nas razem dwunastu. Niektórzy już poruszali się, otwierali oczy, podobnie jak ja przed chwilą, usiłowali rozpoznać otoczenie.

— Chyba jesteśmy u celu, chłopcy! - powiedziałem usiłując nadać głosowi beztroski ton, lecz gardło miałem nieco ściśnięte i zabrzmiało to raczej niezbyt wesoło.

— Ktoś następny próbował, jak ja, otworzyć drzwi. Inni złazili z legowisk, liczyli tuby koncentratów.

— To wygląda na coś w rodzaju pudła - powiedział Toni skrobiąc się w czubek głowy.

— Na tych koncentratkach można przeżyć parę dni. Jest zatem nadzieja, że długo nie posiedzimy. To zapewne tylko wstępny etap adaptacji - zauważył jakiś optymista z górnej kondygnacji

prycz.

— Chłodno tutaj - stęknął ktoś inny. - A poza tym nie widzę naszych osobistych bagaży.

— Na wszystko przyjdzie pora - pocieszał optymista. – Jeszcze nie zacząłeś żyć na dobre, a już masz same zmartwienia! Na razie trzeba się cieszyć, że wszyscy jesteśmy tutaj, żywi i zdrowi.

— To mieliśmy zagwarantowane! - zaoponował malkontent.

— Mówili, że nie ma żadnego ryzyka.

— Więc tym bardziej powinniśmy być dobrej myśli: wszystko idzie planowo...

W naszej klitce było jednak zdecydowanie chłodno, a jej małe rozmiary nie pozwalały rozgrzać się w ruchu więcej niż dwóm osobom na raz. Do tego jeszcze podłoga nieprzyjemnie chłodziła bose stopy, bo żadnego obuwia nam nie dostarczono. Dlatego też większość czasu spędzaliśmy szczękając zębami pod cienkimi kocami na pryczach. A czasu było pod dostatkiem, bo przez następne trzy doby, znaczone kolejnymi przyciemnieniami i rozjaśnieniami lampy, nikt się nami nie interesował. Zapasy koncentratów spożywczych zaczynały się wyczerpywać, nasza cierpliwość także. Co chwila wybuchały kłótnie i dyskusje, niektórzy z nas gotowi już byli próbować siłą wydostać się z tego zamknięcia.

— Chcą nas rozmiękczyć! - mówił Toni klnąc obficie z przyczyny nade mną. - Pewnie zdarzają się kłopoty ze zbyt nerwowymi przybyszami, różny element musi się tu trafiać, więc na wszelki wypadek na początku pakują wszystkich ostrzegawczo do karceru.

— Bzdura! - oponował nasz etatowy optymista. - W początkowym okresie zawsze bywa rozgardiasz i bałagan. Pamiętajcie chyba, jak było na kursie przygotowawczym? Przez

kilka dni wszyscy łazili jak zbłąkane barany, zanim się coś na dobre zaczęło.

Czwartego dnia nie było już nic do jedzenia, ale za to sytuacja, przynajmniej w pewnym stopniu, wyjaśniła się. Wkrótce po porannym rozbłysku światła odezwał się donośny głos. Dobiegał on z kratki w suficie, którą dotychczas braliśmy za wywietrznik. Rozpoznaliśmy głos kierownika naszego transportu, który powitał nas wylewnie, oznajmił, że wszystko przebiega zgodnie z planem i obecnie, po osiągnięciu celu podróży, przebywamy w izolowanym pomieszczeniu dla odbycia krótkiej kwarantanny. Przeprósł przy tym za dotychczasowy brak informacji, wynikły z nawału problemów stojących przed kierownictwem i miejscową administracją w tych pierwszych trudnych dniach.

Kierownik był dla nas osobą godną zaufania, nastroje w naszej grupie poprawiły się i wszyscy z zadowoleniem przyjęliśmy zapewnienie, że od tego dnia będziemy mogli swobodnie opuszczać naszą komórkę. Obiecano nam ponadto, że będziemy sukcesywnie i wyczerpująco informowani o wszystkim, co nas dotyczy. Trzeba przyznać, że zapowiedź tę realizowano później dość konsekwentnie, przynajmniej w porównaniu z licznymi innymi obietnicami.

Mimo solennych zapewnień przez całą kolejną dobę siedzieliśmy nadal zamknięci i, co gorsza, głodni. Kierownictwo jak gdyby zapomniało, że przydzielone nam zapasy dawno się skończyły.

Drzwi otworzyły się dopiero następnego dnia. Tłocząc się i przepychając, wypadliśmy hurmem z kabiny, zderzając się z podobną grupą wybiegającą z drzwi naprzeciw. Na prawo i na lewo od nas, wzdłuż korytarza biegnącego przez środek długiego budynku działo się dokładnie to samo: grupki ludzi odzianych

w kraciaste, sprane pizamy wylęgały ze swych klitek zapełniając korytarz, rozglądały się przez chwilę, by następnie ruszyć ławą w stronę wielkich, dwuskrzydłowych drzwi widniejących u jednego z końców korytarza. Tych, którzy pierwsi dopadli wrót, spotkał jednakże zawód: były one szczelnie zamknięte — podobnie jak dotychczas drzwi poszczególnych pomieszczeń.

Parę setek bosych mężczyzn o nie ogolonych twarzach zamarło na 'kilka sekund, tłum zafalował niezdecydowanie i o wiele już wolniej ruszył w przeciwną stronę, gdzie w końcu korytarza widniały mniejsze drzwi.

Znajdowała się za nimi obszerna sala z ławami i stołami, na których stały rzędy plastikowych misek. W głębi, w dużym kotle parowała gęsta zupa. Pachniała dość apetycznie, więc głodny tłum zamruczał z zadowolenia, a po chwili, z miskami w dłoniach, stał już karnie w długiej kolejce do kotła, odkładając na potem demonstrację niezadowolenia z dziwnych manewrów kierownictwa.

Gdy wszyscy zasiedli już do jedzenia, ozwał się głośnik w suficie jadalni. Kierownik oznajmiał nam, że właśnie zakończył się etap kwarantanny i odtąd możemy swobodnie opuszczać nasze pokoje, kontaktować się wzajemnie i przechadzać wzdłuż korytarza. Jednakże - jak powiedział - czeka nas jeszcze pewien okres przebywania we wnętrzu budynku dla zakończenia etapu adaptacji naszych organizmów do zmienionych warunków środowiska. Być może - mówił - nie zauważyliśmy tego dotychczas, lecz już od paru dni stopniowym zmianom ulega skład atmosfery i ciśnienia, obniża się temperatura i skraca się doba. Nagłe wprowadzenie tak znacznych modyfikacji środowiska mogłoby spowodować niepożądane reakcje w mniej odpornych organizmach.

Należy zatem, we własnym interesie, cierpliwie powstrzymać się jeszcze przez kilka dni przed opuszczaniem baraku adaptacyjnego. Specjalnie spreparowane pożywienie, uwzględniające potrzeby naszych organizmów i zawierające coraz to większą domieszkę miejscowych produktów spożywczych, będzie nam dostarczane przez specjalny rurociąg wprost do stołówki.

Uzyskana swoboda poruszania się znaczyła niewiele wobec naszych oczekiwań, lecz w porównaniu ze stanem poprzednim to już było coś... Toni wprowadził znowu kląb i wyrzekł, porównując rzeczywistość z treścią prospektów, które nas tu zwabiły, ale większość współtowarzyszy uważała, że nie jest jeszcze najgorzej i że wszystko wymaga czasu, nim się unormuje. Rozumieliśmy trudności, jakie muszą towarzyszyć pionierskim przedsięwzięciom, a jak dotychczas nie było wyraźnych powodów, by wątpić w dobre intencje kierownictwa lub posądzać je o opieszałość czy zaniedbania w kwestii naszych interesów.

Toni uważał jednakże, iż z tym pionierstwem to spora przesada: przed nami przybyło tu wiele podobnych transportów i cały proces adaptacyjno-osiedleńczy powinien przebiegać z dawna utartym, naukowo opracowanym i praktycznie wypróbowanym torem. Być może miał rację, lecz któż wie, czy nie tak właśnie, jak my, zaczęli tu wszyscy przed nami? Może przejście przez uciążliwe fazy początkowe miało dodać nam hartu do dalszej działalności?

Okna były nadal zasłonięte, co wobec wyjaśnień dotyczących różnicy długości prawdziwej doby i naszej „sztucznej”, wewnętrznej, teraz już nas nie dziwiło. Jedzenie dało się polubić, do niskiej temperatury też przywykliśmy, zażywając nieco więcej

ruchu w przestronnym korytarzu.

Wieczny malkont Toni z właściwym sobie sarkazmem zauważył wkrótce, iż racje żywnościowe maleją z dnia na dzień. Wysunął stąd złośliwą konkluzję, iż kierownictwo zamierza nas, w ramach adaptacji do miejscowych warunków, przyzwyczaić do mniejszego zapotrzebowania na żarcie. Uświadomiłem mu wszakże, iż jest idiotą: przecież wraz ze skracaniem doby maleją też przerwy między posiłkami, a zatem i racje żywnościowe powinny proporcjonalnie maleć. Toni nie przyjął mojej argumentacji twierdząc, iż porcje żarcia maleją znacznie szybciej niż doba, ale było to gołosłowne pomówienie, nie dające się w dodatku udowodnić z powodu kompletnego braku zegarków.

Zegarki, razem z innymi prywatnymi rzeczami, były w naszych osobistych bagażach, których do tej pory nam nie oddano. Kierownik obiecał solennie, że dostaniemy wszystko przed otwarciem baraku, lecz w terminie, kiedy miało to nastąpić, nie otwarto wrót wyjściowych, a jedynie obiecano odsłonić okna. Wyjaśniono przy tym, że opóźnienie naszego wyjścia z zamknięcia wynika z obiektywnych trudności technicznych, na jakie napotyka ekipa kierownicza. O charakterze tych trudności nie powiedziano ani słowa, a my nie mogliśmy nawet o nie spytać, ponieważ w baraku - tak przynajmniej sądziliśmy wówczas - nie było żadnego środka łączności z kierownictwem poza głośnikami działającymi wszakże tylko w jedną stronę...

Nieco później mieliśmy przekonać się, że nie jest aż tak źle. Kierownictwo doskonale знаło nękające nas problemy, nasze potrzeby, pytania i wątpliwości padające w rozmowach między nami. Najczęściej powtarzające się pytania znajdowały odzwierciedlenie w informacjach i pogadankach wygłaszanych

przez głośniki. Kazało nam to przypuszczać, że barak wyposażony jest w sieć ukrytych, wyjątkowo czułych mikrofonów, poprzez które kierownictwo troskliwie i nieustannie wsłuchuje się w nasze głosy. Nie udawało nam się wprawdzie zlokalizować tych mikrofonów, ale pośrednim potwierdzeniem ich istnienia były pojedyncze przypadki znikania niektórych spośród nas, zmęczonych psychicznie przedłużającą się prowizorką, zbyt głośno i nerwowo wyrażających swoje zniecierpliwienie.

Głośniki wyjaśniały potem, iż ten czy ów został przeniesiony na specjalny oddział adaptacyjny, ponieważ wykryto u niego nieprawidłowości w działaniu systemu nerwowego.

Toni - jak to zwykle on - utrzymywał, że oprócz mikrofonów w każdym pomieszczeniu baraku znajdują się także ukryte kamery wizyjne, lecz nie potrafił wskazać bezpośrednich dowodów na prawdziwość tych insynuacji.

Okna odsłonięte wreszcie w trzecim tygodniu naszego pobytu w baraku. Wobec powszechnego zainteresowania widokiem nowego dla nas świata - którego notabene niewiele było widać przez wąskie i mocno przybrudzone szyby - bez większego zainteresowania przeszła informacja o zmianach w kierownictwie naszej grupy. Nowy, nieznany głos oznajmił nam, że ekipa szefów przybyłych z naszym transportem została usunięta ze stanowisk z powodu opieszałości i nieudolności w działaniu. Z ich to winy - jak powiedziano - nastąpiła nieuzasadniona zwłoka w realizacji harmonogramu naszej adaptacji i przejścia do kolejnego etapu procesu osiedleńczego. Nowe kierownictwo - jak zapewniono - wywodzi się z ludzi doświadczonych, z dawna tutaj osiadłych i doskonale znających miejscowe warunki. Będzie ono w stanie szybko nadrobić

powstałe opóźnienia i stworzyć pełnię warunków dla realizacji zamierzonych celów.

Komunikat nie precyzował wprawdzie jasno owych celów ani też terminów ich realizacji, apelując jedynie o zaufanie dla nowych szefów i odrobinę cierpliwości. My jednak doskonale znaleźliśmy te cele i zamierzenia z prospektów i materiałów szkoleniowych. Wiedzieliśmy, że za cenę trudnej i wytrwałej pracy mamy osiągnąć tu przyzwoite i dostatnie warunki bytowania, o które tak trudno było tam, skąd przybyliśmy.

PEŁNIA BYTU

Widzę cię przez szkło, wlałaś tam i siedzisz, jeszcze spokojna. Na razie. Dobrze ci tam w tym,, to widać. Nigdzie i nigdy nie było tak dobrze. Mogłaś w ogóle tam nie trafić, ale gdy już jesteś w środku, możesz tak siedzieć, dowolnie długo, choćby przez całe życie, tkwić wśród nieprzeżartego ogromu życia, trafiło ci się, ty...

Gdybyś była mądra, nie próbowałabyś nigdy się z tego wydostać. Ale gdybyś była jeszcze mądrzejsza - nigdy byś tam nie lazała.

No spróbuj, spróbuj! Tak ci się tylko wydaje - że niby możesz odlecieć, gdy zechcesz, w każdej chwili; że siedzisz tam i zresz tylko dlatego, że taka jest twoja wola.

Nieprawda. Może już i ty wiesz o tym, ale nie dopuszczasz tego do swej świadomości, której zresztą pewnie nie posiadasz.

Nie odleczysz. Nie próbuj nawet. Twoje delikatne, cienkie i dotąd sprawne skrzydełka nie uniosą cię. Nic się nie da zrobić, moja droga, wszystkie trzy pary twoich odnóży nie zdołają się oderwać od lepkiej powierzchni. Szarpiąc się pogarszasz tylko sytuację, złote grzęzawisko pochłonie cię, oblepi całą i wtedy będzie już zupełnie źle.

Ale teraz, stojąc na powierzchni, możesz sobie jeszcze wyobrazić wszystko, co zechcesz: te wspaniałe śmietniki, rozbzykane, te szerokie horyzonty, zwielokrotnione w twoich wspaniałych oczach, pełne letniego słońca. W swoich wyobrażeniach jesteś wciąż swobodną, wolną muchą. Tylko potencjalnie, niestety... A tak naprawdę...

właśnie, widzisz, teraz sama widzisz, jak to jest: twoje

precyzyjne przyłgi, które pozwalały ci łązić tak zgrabnie po suficie, teraz już na dobre tkwią w tym lepkim, gęstym przysmaku. Na próżno wibrują twoje skrzydełka, choć ich brzęczenie sięga granic ultradźwięków.

Jedyne, co ci pozostało, to udawać, że wciąż wszystko jest w najlepszym porządku: stoisz sobie oto i konsumujesz, niech te inne, zza szkła, zazdroszczą, że możesz, bo chcesz, a gdy przestaniesz chcieć - odleczysz...

Ale jesteś głupia, po co szarpiesz się bez sensu, zupełnie niepotrzebnie upaskudziłaś sobie skrzydła. Teraz to już na pewno nikt nie uwierzy, że pozostajesz tutaj ot, tak sobie, z woli nieprzymuszonej.

Powiedzże sobie wreszcie, wytłumacz, że nie jest najgorzej. Nawet źle też nie jest. Wręcz zupełnie dobrze. Tyle żarcia, przedniego żarcia...

No, jak to będzie? O, co to, to za wiele! Cała się już nurzasz... Jeszcze tego brakowało!

To jest m ó j miód, idź do cholery, patrz, biorę nóż i jego końcem wybieram cię razem z pokaźną kroplą. Skończyła się zabawa, teraz radź sobie sama. Powinnaś być mi wdzięczna, o własnych siłach nigdy byś stąd nie wylazła.

Wyglądasz teraz dość żałośnie: ze skrzydeł nic już pewnie nie będzie. Nawet na piechotę poruszasz się z trudem, wleczesz za sobą lepki ślad. Wątpię, czy zdołasz się z tego wylizać, ale próbuj, próbuj. Masz szczęście, że nie zdążyłaś pogrążyć się głębiej.

...a może wolałabyś tam zostać, co? Gdzie ty znajdziesz drugi taki raj, tyle żarcia bez żadnej fatygi... A że nie można skrzydeł rozwinąć? Że lepko? Cóż to szkodzi? Można wierzyć w możliwość lotu i żyć z tą wiarą - byle nie próbować wzbijać się w górę. Ostatecznie, nie musi zaraz trafić się taki ktoś z nożem, co

wydobędzie i wyrzuci.

Gramolisz się teraz, oblepiona, bez perspektyw, nieporadna...
dobrze ci tak. Cholera kazała ci w to włączyć.

WYŻSZE RACJE

— Szczerze mówiąc, nie cierpię pisania konspektów powieści - powiedział Autor sadowiac się wygodnie w fotelu, który uprzejmie podsunął mu Wydawca. - Czy nie byłoby prościej, gdybym opowiedział panu w streszczeniu to, co zamierzam napisać?

— No... wie pan, mamy swoje przepisy... - zawahał się Wydawca. - Ale, w zasadzie... Proszę, niech pan opowiada. W dzisiejszych czasach papier jest tak cennym surowcem, że warto zaoszczędzić parę arkuszy omijając zbędne formalności. Opowie mi pan swój pomysł, a potem sporządzi się krótką notatkę, żebyśmy mieli podstawę do zawarcia umowy i wypłacenia zaliczki...

— Świetnie! - ucieszył się Autor.

Wzmianka o zaliczce zapaliła w jego oczach mistyczny blask natchnienia. Sięgnął po cygaro podsunięte usłużnie przez Wydawcę, zapalił i przez chwilę delectował się wonnym dymem.

Będzie to powieść z gatunku science fiction...

Wydawca uśmiechnął się z ulgą.

— Akcja toczy się gdzieś daleko stąd, w bliżej nie określonym miejscu i w czasie...

Uśmiech Wydawcy stał się jeszcze bardziej beztroski i radosny.

— Rzecz dzieje się pod pewnym Kloszem...

Wydawca przestał się uśmiechać i odruchowo zabębnił palcami po powierzchni biurka.

— ... jednym z wielu podobnych, w których żyją rozumne istoty na wysokim poziomie rozwoju społeczno-

technologicznego.

— Jak dotychczas - wtrącił Wydawca - nie ma w tym nic fantastycznego.

— To tylko wstęp. Proszę słuchać dalej. Otóż pod jednym z Kloszy żyją istoty tworzące szczęśliwą i zadowoloną z siebie społeczność. Jedynym powodem do narzekań jest niezbyt dobra jakość powietrza wypełniającego wnętrze Klosza, jednak narzekania na złą atmosferę nie są bynajmniej powszechnym obyczajem. Co najwyżej niektórzy mniej cierpliwi mieszkańcy wyrażają swoje zdanie na ten temat i to zazwyczaj w małym gronie podobnych sobie malkontentów. Ogół mieszkańców Klosza zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, że powietrze jest takie, jakie w danych warunkach można osiągnąć, że Zarząd Klosza robi co w jego mocy, by usprawnić układy oczyszczania atmosfery. Nawet fakt, że biura Zarządu posiadają specjalne, dodatkowe urządzenia filtracyjne, nie budzi większych kontrowersji wśród mieszkańców. Wiadomo przecież: to właśnie Zarząd powołany jest do intensywnej troski o dobro ogółu; a niedostatek tlenu w powietrzu fatalnie wpływa na pracę mózgu.

Pod stropem Klosza wisi sobie sztuczne słońce, jak zwykle pod Kloszem. Mieszkańcy mają zapewnione wystarczające wyżywienie, względnie czystą wodę, uzdatnianą w obiegu zamkniętym, i tak dalej...

— Wciąż nie widzę tu żadnej fantastyki! - Wydawca patrzył ponuro na podłogę.

— Właśnie przechodzę do istoty sprawy. Pewien osobnik, główny bohater opowieści, poddaje krytyce powszechny pogląd panujący wśród społeczeństwa od wielu pokoleń zamieszkującego wnętrze Klosza. Wysuwa mianowicie

przypuszczenie, iż - być może - na zewnątrz, poza Kloszem, atmosfera wcale nie jest taka zła, jak się powszechnie sądzi. Niewykluczone, że jest nawet znacznie lepsza! Pozostali mieszkańcy biorą go za szaleńca, niektórzy obawiają się nawet, że podobne poglądy mogą spowodować jakieś globalne nieszczęście, lecz nasz bohater nie zraża się okazywaną mu powszechną niechęcią i potajemnie konstruuje coś w rodzaju mechanicznego świdra. Ma z tego powodu wiele kłopotów, zostaje nawet uwięziony pod zarzutem przywłaszczenia wiertła stanowiącego własność publiczną, lecz wreszcie udaje mu się cichcem wyborować małą dziurkę w ścianie Klosza. I co się okazuje? Przez powstały otwór tryska świeże, wonne, ożywcze powietrze, bez porównania lepsze od duszącej atmosfery Klosza! Istoty zamieszkujące Klosze bezmyślnie dusiły się od pokoleń w zamknięciu, nie próbując nawet sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz! Syzyfowym wysiłkiem regenerowały powietrze, podczas gdy można go było po prostu zaczerpnąć bez ograniczeń z zewnętrznej przestrzeni! Wielkim nakładem energii zasilają sztuczne słońce w przeświadczeniu, że prawdziwego nie widać spoza warstwy pyłu zanieczyszczającego atmosferę...

— I co dalej!? Jak zamierza pan zakończyć tę opowieść?

— No, właściwie jeszcze nie sprecyzowałem zakończenia, ale ogólnie mówiąc powinien nastąpić happy end... Dla mieszkańców Klosza czyn bohatera staje się bodźcem do dalszych prób i wkrótce ściany Klosza przypominają durszlak. Przez wielką dziurę wybitą w stropie wpadają promienie prawdziwego słońca, atmosfera staje się o wiele lepsza, mieszkańcy innych Kloszy idą za przykładem mieszkańców pierwszego...

— A potem wszyscy opuszczają swoje Klosze? - W głosie

Wydawcy zabrzmiał wyraźny niepokój.

— No... nie, raczej nie... - bąknął Autor. - Wie pan, nawet w fantastyce obowiązują pewne granice, szczególnie gdy ma ona być fantastyką naukową, a nie bajką dla dzieci....

— Słusznie, słusznie! - pochwalił Wydawca. - Istota rozumna nie potrafiłaby pewnie nigdy przystosować się do życia bez Klosza nad głową! A zresztą i tak posunął się pan trochę za daleko w swych fantastycznych wizjach. Obawiam się, że...

— Nie będzie pan mógł tego wydać? - ożywił się Autor.

— Jestem prawie pewien - westchnął Wydawca. - Czy uważa pan, że można bez obaw rozpowszechnić tego rodzaju... sugestie?

— Ale... to jest przecież zupełnie inny, odrębny świat!

— Umieszczenie akcji w innym miejscu i czasie nie rozwiązuje problemu. Przecież odniesienia są tak oczywiste, że... każdy inteligentny czytelnik będzie miał natychmiastowe skojarzenia! Cóż z tego, że akcja toczy się pod zupełnie innym Kloszem? Każdy zaraz pomyśli sobie o naszym! Przecież także u nas, pod naszym Kloszem, powietrze pozostawia wiele do życzenia.

— Oczywiście. To nie jest dla nikogo tajemnicą. Krótko mówiąc, nasze powietrze po prostu śmierdzi, i to coraz bardziej, więc trudno, by ludzie tego nie czuli!

— Tak, drogi Mistrzu, lecz, nikt nie mówi o tym głośno.

— Za to wszyscy mówią po cichu.

— To inna sprawa. Lecz głośno nie należy. A tym bardziej - w książkach!

— Przecież ja nie zamierzam pisać o naszym Kloszu. To tylko fikcja literacka.

— Zgoda, fikcja. Ale z aluzjami. Pan napisze: „pod Kloszem śmierdzi”. A czytelnik odczyta to po swojemu: „pod naszym

Kloszem źle się dzieje. Zarząd Klosza źle spełnia obowiązki”. Tak sobie pomyśli czytelnik. A Zarząd...

— Ależ Redaktorze kochany - zachichotał Autor. - Przecież tak myśli, a nawet mówi, prawie każdy mieszkaniec naszego Klosza. O powietrzu i o Zarządzie. A Zarząd doskonale wie, co myśli i mówi ludność!

— Zgoda. Jest atmosfera pewnego niezadowolenia. Ale czy powinniśmy podsycać ją takimi publikacjami? Czy to cokolwiek pomoże? Pan jest człowiekiem wykształconym i zdaje sobie doskonale sprawę z sytuacji na odcinku powietrza!

— Oczywiście. Wiem, że Zarząd Klosza niewiele może zrobić. Nie posiadamy urządzeń do regeneracji powietrza i jesteśmy całkowicie zdani na import...

— Otóż to, otóż to, kochany Autorze! Wiemy wszyscy doskonale, że jedynym eksporterem świeżego powietrza jest Klosz A-1, który posiada odpowiednie urządzenia oczyszczające i dostarcza czyste powietrze do wszystkich pozostałych Kloszy...

— Nawiasem mówiąc: to, co nam dostarczają, trudno nazwać czystym powietrzem...

— Ale co by się stało, gdyby nagle zamknięto nam dopływ! Jakie jest, takie jest, ale... zawsze to powietrze! A pan chce wywołać swoją książką wrażenie, że...

— Ja nie wspominam ani słowem o pochodzeniu powietrza w Kloszu, o którym piszę! - zawołał Autor triumfalnie. - Ani słowem! Wystrzegam się wszystkich aluzji do tej sprawy!

— Pan nie docenia wyobraźni czytelników... - Wydawca uśmiechnął się smutnie. - Wystarczy, że napisze pan: „powietrze cuchnie”, a oni sobie natychmiast dośpiewają: że Zarząd nieudolny, że takim smrodem musimy oddychać... A stąd już tylko krok do konkluzji że niepełnowartościowe powietrze płynie

do nas z Klosza A-l, i to nie za darmo...

— Bo też tak jest, Redaktorze. Pan mówi o realnej rzeczywistości. Moja powieść ani słowem nie wspomina o czymś podobnym - uśmiechnął się chytrze Autor.

— Ale skojarzenia, skojarzenia! - Wydawca gestykulował żywo, w podnieceniu. - U czytelnika powstaje podświadomy łańcuch skojarzeń, którego pierwszym ogniwem jest hasło: „zła atmosfera”, a ostatnim „ci oszuści z A-l”.

— Trudno odmówić prawidłowości tym skojarzeniom - mruknął Autor ze złośliwym uśmieszkiem. - Ale to nie jest wina mojej książki!

— Tej książki jeszcze nie napisałem, a skojarzenia od dawna funkcjonują.

— Nie wolno ich podsycać! Czy wyobraża pan sobie, jaki skutek mogłoby to wywołać? Gdyby nasi dostawcy z A-l obrazili się na nas i zamknęli zawory rurociągów? Kto byłby za to odpowiedzialny? Pan? Ja? Nie! Wszyscy mieliby pretensję do Zarządu!

— Powtarzam, drogi mój Wydawco, że nie zamierzam podcinać gałęzi, na której obaj, wraz z innymi, siedzimy. Z zamierzonej przeze mnie powieści nie będzie wcale wynikało, że ktoś....

— Ale sugeruje pan - przerwał Wydawca gwałtownie - że mamy złe powietrze i że, być może, na zewnątrz Klosza jest lepsze! W dzisiejszych czasach ludzie już z trudem odróżniają fantazję od rzeczywistości! Świat tak się nam ostatnio skomplikował! Ludzie gotowi są uwierzyć w pańską fantazję, a w każdym razie idea taka tkwi w ich podświadomości, wywołując podejrzenie, iż na zewnątrz powietrze jest naprawdę lepsze niż to, które dostajemy. Stąd już tylko krok do absurda!

posądzenia, że nasi dostawcy pobierają czyste powietrze po prostu z zewnątrz, a nam pompują częściowo zużyte spod swego Klosza.

— Pan powinien sam pisać fantastykę, drogi Redaktorze! - zauważył Autor z uznaniem. - Co za wyobraźnia!

— Widzi pan, jak łatwo można dojść do niebezpiecznych wniosków. Czy zastanowił się pan, jak fatalne wrażenie wywołałyby takie posądzenia? Jakie trudności miałyby nasz Zarząd Klosza podczas pertraktacji w sprawie przedłużenia kontraktów na dostawę powietrza z A-I?

— A może by tak... spróbować wywiercić małą dziurkę w naszym Kloszu? - uśmiechnął się Autor.

— Tylko w pańskiej fantastycznej rzeczywistości możliwe są takie proste rozwiązania. Żyjemy w realnym świecie faktów. Gdy nam zakręcą zawory, znikąd nie dostaniemy ani grama powietrza. A co do wiercenia... Pamięta pan, jak to było z tą mikroszczeliną powstałą w ścianie Klosza, w sektorze czternastym, dwa lata temu? Zaczął się sączyć jakiś cuchnący dym czy gaz, a konserwatorzy latający przeciek musieli pracować w maskach! Co na to pańska wyobraźnia?

Autor podrapał się w czubek głowy i milczał przez chwilę.

— No, wie pan... Gdybym miał rozwijać tę myśl, na pewno znalazłbym jakieś wyjście... Oczywiście na gruncie fantastyki...

— Jakie na przykład? - nalegał Wydawca.

— No, powiedzmy... że ci, którzy dostarczają nam powietrze, i którym zależy na utrzymaniu nas w zależności bez względu na jakość przysyłanego produktu, postarali się o to, abyśmy zbyt łatwo nie odkryli prawdy.

— Cóż takiego mogliby zrobić?

— Mogli, na przykład, nadbudować nad naszym Kloszem

drugi, nieco większy... Albo po prostu rozpiąć taki wielki namiot pneumatyczny... Przestrzeń między Kloszem a namiotem wypełnili gryzącym dymem, żebyśmy nie mogli zbyt łatwo odkryć, iż da się czerpać powietrze z zewnątrz, bez ich pośrednictwa.

— Sądzi pan, że są aż tak perfidni?

— Kto? O kim pan mówi? - Autor skrzywił się ironicznie. - Przez cały czas mówimy wszak o wymyślonym świecie, nie mającym odpowiednika w naszej rzeczywistości.

— Noo... tak... - zmieszał się Wydawca. - Ale sam pan widzi, jak sugestywne mogą być takie fantastyczne wizje. Krótko mówiąc wy, pisarze, jesteście niebezpieczni przez tę siłę sugestii... Taak... A co do pańskiej książki... Kupię ją, oczywiście. Stawka jak zwykle, a jeśli chodzi o nakład, sam pan rozumie... To nie tylko ode mnie zależy, mam ograniczony limit... Może... dwadzieścia tysięcy?

— Myślę, że co najmniej czterdzieści - powiedział Autor z kamienną twarzą.

— Proszę mnie zrozumieć! Mam dość szczupły fundusz do podziału pomiędzy takich jak pan! Mam tutaj całą szafę maszynopisów... Każdy pisarz musi z czegoś żyć! Proszę mieć wzgląd na kolegów, którzy są w podobnej sytuacji... No więc dobrze: trzydzieści tysięcy. Zgoda?

— Zgoda. A jeśli potrzebuje pan podkładki do niewydania tej książki, to mogę wymyślić jeszcze parę przejrzystych aluzji...

— Nie trzeba, nie trzeba... Wystarczy to, co pan opowiedział. Mam znakomitego recenzenta, który wywlecze wszystkie wieloznaczne fragmenty tekstu i da nam pełne uzasadnienie do niewydania książki w trzydziestu tysiącach egzemplarzy...

— W jakim terminie może mi pan nie wydać tej książki?

— Normalnie. Nie wydam jej w ciągu roku od nieprzyjęcia maszynopisu. Tylko proszę pamiętać, że powinien pan dostarczyć wszystkie egzemplarze! Co do jednej kopii!

— Oczywiście. Pan kupuje prawo do niewydawania tej książki, ja dostaję swoje honorarium i rozstajemy się w zgodzie, jak zwykle... Wprawdzie, gdyby pan nie wydał jej w czterdziestu tysiącach, miałby pan dodatkową oszczędność papieru, przynajmniej na papierze.

— Tak, ale tu decyduje limit finansowy. Wie pan przecież, że muszę dopłacać do tych książek, które wydaję, a których nikt nie chce kupować... ,- Myślałem, że w przypadku wydania książki koszty ponosi autor?

— O nie, niezupełnie. Autor wydanej książki wpłaca tylko równo wartość honorarium. Resztę pokrywa wydawca. Tak czy owak - zawsze mamy deficyt.

— A... moja zaliczka? - bąknął Autor mimochodem.

— Jak zwykle, w ciągu dwóch tygodni od podpisania umowy. Czy... wolno spytać, co pan zrobi z taką furą pieniędzy, Autorze drogi?

— Wie pan, zamierzam kupić sobie... takie długie wiertło o średnicy co najmniej pół cala, z diamentową końcówką. Chyba będę musiał poprosić na bazarze, bo w sklepach ostatnio zupełnie nie mają wiertel...

UTOPIA

Kartka leżała na biurku od trzech dni. Thomas Q. Empty, pisarz, zasiadał nad nią codziennie i od rana do wieczora - z przerwami na posiłki - wpatrywał się w biel papieru nie skalaną jednym słowem. Nie ma gorszej rzeczy na świecie, powtarzał sobie, niż pisanie na zamówienie.

Tydzień temu przystał lekkomyślnie na propozycję zaprzyjaźnionego redaktora, a dziś mijał ustalony termin. Nie wypadało się wycofać. Tymczasem - jak na złość - żadnego pomysłu, ani śladu jakiegokolwiek koncepcji.

Zawiodły skuteczne zazwyczaj sposoby - jak wertowanie cudzych utworów, wielogodzinne studiowanie płaszczyzny sufitu czy kontemplacja damskiego aktu wiszącego naprzeciw biurka. Tom rozpaczliwie wodził spojrzeniem po ścianach i sprzętach, próbując ucześcić się jakiegoś szczegółu, uchwycić jakieś wspomnienie, przywołać skojarzenie, które pozwoliłyby sklecić pierwsze zdanie.

Początek zawsze sprawiał mu największą trudność, dalej szło już lepiej. Kiedy nabrał rozpędu, udawało mu się zwykle wykombinować mniej lub bardziej złożony świat wewnętrznych przeżyć, skonstruować ową tajemniczą inner space, którą następnie instalował w przestronnym wnętrzu własnej jaźni.

Reszta była fraszką: podróżując po przepastnych głębinach wymyślnego kosmosu duszy można było - bez ryzyka weryfikacji tych doniesień - raportować, na licznych stronach manuskryptu, o rzekomym bogactwie i złożoności sztucznego świata. Rzeczywistości zewnętrznej - banalnej i ze szczerem wyeksploatowanej przez piszących - Tom wolał nie oglądać zbyt

często, nie mówiąc już o czerpaniu z niej inspiracji twórczej.

I teraz od paru dni głębinę intelektu pisarza ziały chłodną pustką. Pozostawało to w związku z pustką w barku, domowej lodówce i koncie bankowym. Wymienione okoliczności stwarzały z kolei istotne powody, dla których Tom tkwił jednak uparcie przy biurku. Nie znajdując w czterech ścianach pokoju żadnego ratunku dla swej wyobraźni, z westchnieniem podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Najpierw ostrożnie uchylił kłapkę judasza w stalowej okiennicy i zerknął jednym okiem, a po chwili z determinacją odryglował zamek i otworzył okiennice.

Zbliżywszy twarz do pancernej szyby mógł objąć wzrokiem spory wycinek zewnętrznej przestrzeni obrysowany krawędzią głębokiej okiennej wnęki w grubej żelbetowej ścianie. Po lewej widać było prawie cały gmach hotelu „Extraterrestrial”, z wyjątkiem paru górnych pięter niknących za górną krawędzią pola widzenia. Po prawej wzrok sięgał aż do skrzyżowania z czteropoziomowym węzłem ażurowych wiaduktów i estakad.

Tom przysunął sobie krzesło i stanął na nim, by spojrzeć w dół, na ulicę. Tylko w ten sposób mógł zobaczyć Aleję Pomyślnych Perspektyw, a właściwie jej połowę, lecz to wystarczyło, by się przekonać, że sytuacja na mieście jest normalna.

Naprzeciw okna, przed frontonem gmachu przedstawicielstwa Federacji Planet Syriusza można było zobaczyć dwóch potężnych Syrian spacerujących po specjalnie wydzielonym dla nich chodniku. Z uwagima ich rozmiary Syrianie nie mogli korzystać ze zwykłego chodnika dla pieszych, zaś ich wędrówki po jezdni zagrażały bezpieczeństwu ruchu. Zdarzające się niekiedy kolizje kończyły się tragicznie dla pojazdów, co było oczywiste wobec

masy i grubości pancerza Syrianina.

W pobliżu wejścia do hotelu dwa spychacze, jak każdego ranka, usuwały barykadę powstałą po wczorajszych zamieszkach ulicznych. Tom zaobserwował, że od pewnego czasu zaprzestano wywózki materiałów używanych do budowy barykad, pozostawiając je w postaci pryzm na skwerze przed hotelem. Chodziło zapewne o to, by demonstranci na nowo nie rozbierali nawierzchni i nie znosili wszystkich okolicznych pojemników na śmieci.

Wczorajsze zamieszki musiały być niezbyt zaciekle, bo Tom naliczył zaledwie szesnaście szarych plastikowych worków ze zwłokami poukładanych równo na brzegu chodnika i oczekujących na kontener przedsiębiorstwa pogrzebowego.

Wśród kratownic wiaduktu na trzecim poziomie skrzyżowania jakiś pojedynczy terrorysta ostrzeliwał z broni maszynowej rozpierzchłą gromadkę dzieci ze szkolnej wycieczki. Jednakże - czy to terrorysta haniebnie pudłował, czy też dzieci miały skrupulatnie przećwiczone na lekcjach wychowania obywatelskiego korzystanie z doraźnych ukryć - dość, że serie z automatu nie czyniły im większej szkody.

Tom podniósł wzrok na kawałek jasnoszarego nieba widocznego ponad dachem domu towarowego, pomiędzy hotelem i syriańską ambasadą. Przemykały po nim co chwila dyskowate latadła Syrian, cygarowate pojazdy Aldebarańczyków, od czasu do czasu ukazywał się mały śmigłowiec policji kontrolującej ruch uliczny.

Spychacze zakończyły usuwanie barykady, ulica ożyła normalnym ruchem kołowym. Terrorysta spadł właśnie na jezdnię, trafiony kamieniem przez jednego z przechadzających się Syrian, któremu grzechot pocisków o pancerz przeszkadzał

pogawędce z rodakiem.

Wciąż w kółko to samo! westchnął Tom odchodząc od okna. Żadnej inspiracji, banał i monotonia!

Za jego plecami łupnęło potężnie, detonacja wstrząsnęła ścianami budynku. Pancerne szyby wytrzymały wprawdzie, lecz Tom na wszelki wypadek zaryglował okiennice, sprawdzivszy uprzednio, że przyczyną huku była jak zwykle bomba w biurze Proxima Spacelines na parterze domu towarowego.

Zasiadł nad pustą kartką... i nagle, niespodziewanie, spłynęło na niego natchnienie. Po dwóch godzinach mógł już przedyktować tekst automatycznej sekretarce.

Będę musiał sam to zanieść... pomyślał z rezygnacją. Mógłby zatelefonować do redakcji, by kogoś przysłali, lecz od dwóch dni videofony nie działały, ponieważ kable zalała woda z magistrali wodociągowej, uszkodzonej przez upadek i wybuch odrzutowca pasażerskiego, w którym terroryści podrzucili bombę.

Tom nie cierpiał chodzenia po mieście. Redakcyjny bunkier znajdował się na drugim końcu śródmieścia - na tyle blisko, że nie warto było ryzykować jazdy metrem opanowanym przez bandy narkomanów, lecz zbyt daleko jak na pieszą wycieczkę. Ale nie było innego wyjścia. Tom wydobyl z szafy kuloodporną kamizelkę, hełm i nieprzemakalne długie buty, wciągnął to na siebie i zabierając z wieszaka w przedpokoju torbę z maską przeciwgazową oraz ręczny paralizator ostrożnie wyjrzał na klatkę schodową. Fiuuuu! Zabłąkana kula świsnęła mu koło ucha — zapewne dzieci sąsiadów bawiły się w napad na bank. Przywołał windę, lecz okazała się pełna gazu łzawiącego, poszedł więc schodami. Piętro niżej rozłożył się w poprzek schodów kompletnie zalany Procjanin. Tom wyminął go ostrożnie, trzymając się z dala od jego ostrych wyrostków i bez przeszkód

dotarł na parter. Stał w drzwiach wyjściowych, gdy nagle coś ciężkiego plasnęło przed nim na chodnik. Uznał to za zły omen, cofnął się i nie sprawdzając, co to było, zszedł do piwnicy. Minął dwie rozwydrzone staruszki napastujące nieletniego w piwnicznym korytarzu, wyszedł na drugą klatkę schodową, a stamtąd na tyły budynku, gdzie znajdował się właz. Zdecydował się pójść kanałami, ryzykując tym samym spotkanie z Aldebarańczykami, dla których ziemski klimat był zbyt suchy. A nie lubił ich, bo byli dość agresywni i mało sympatyczni, uznał jednak, że tak będzie najbezpieczniej...

Redaktor przekartkował maszynopis i skrzywił się dwuznacznie.

— Co to jest? - spytał, jakby z wyrzutem patrząc na autora, a potem zaczął półgłosem odczytywać tekst.

„Jack odsunął zasłonę i szeroko otworzył okno. Miły zapach kwitnących lip wypełnił pokój wraz z promieniami słońca. Po błękitnym niebie snuły się małe, śnieżnobiałe obłoczki. Skowronki świergotały wysoko w górze, roje pszczół obsiadły kwitnące drzewa, pod którymi bawiły się dzieci. Rudy chłopiec szarpał za ogon wielkiego psa...”

Redaktor przerwał i spojrzał na Toma.

— Ten pies nie przejdzie - powiedział ponuro.

— Dlaczego?

— To jasne, mamy dobre stosunki z Syriuszem, a Syriusz leży w gwiazdozbiornie Wielkiego Psa... Więc z tym szarpaniem za ogon...

— Masz rację - uśmiechnął się Tom. - Trzeba to zmienić.

— To i tak nic nie pomoże. Całe twoje opowiadanie to czysta utopia. Brak ci poczucia realizmu.

— Kiedyś... ten rodzaj literatury był bardzo popularny.

— Wiem, wiem. Platon, Moore i tak dalej...

— Właśnie! - przytaknął Tom, choć nie znał facetów.

— Ale nawet w fantazjowaniu obowiązuje pewne minimum reguł elementarnej logiki - ciągnął redaktor. - No i oczywiście przede wszystkim nie można nikogo urazić.

— Skreślę o tym psie!

— Pies z nim... To znaczy, chciałem powiedzieć, nie o psa tu chodzi. Twoja utopia jest niespójna logicznie.

— To bardzo odległa przyszłość.

— No dobrze, powiedzmy, że przyszłe pokolenia poradzą sobie z terroryzmem, z moralnym rozpasaniem, z niepokojami społecznymi, środowiskiem, urbanizacją, komunikacją... Zgoda. Ale... w nakreślonym przez ciebie obrazie świata... brak mi pewnych elementów...

— Trudno, abym w jednej nowelce przedstawił pełny obraz. To tylko migawka, fragment tego nowego, lepszego świata - bronił się Tom.

— Hm... Ale skoro już nasze pokolenie nawiązało tak liczne kontakty międzyplanetarne... Jeśli tak wielu gości z innych układów gwiazdnych przybywa do nas teraz, pomimo naszych bieżących kłopotów... Czy nie sądzisz, że idealny świat, który sobie wyobraziłeś, będą... jeszcze liczniej odwiedzać? A w twoim opowiadaniu nie widać ani jednego z nich. W opisanym przez ciebie krajobrazie nie ma Procjan, Syrian, Aldebarańczyków...

— Chciałem przedstawić świat, który wyzbył się wszystkich kłopotów, ale jeśli sądzisz, że...

— Sądzę, sądzę - uśmiechnął się redaktor przesuwając maszynopis w stronę autora. - Tradycyjna ziemską gościnność nigdy nie pozwoliłaby nam wyprosić gości. Nie może ich nie być w przyszłym świecie, bo mógłby ktoś pomyśleć, że zamierzamy

ich wygonić, albo zrobić coś jeszcze gorszego.

— Szczerze mówiąc, nie próbowałem sobie wyobrazić szczegółowo, w jaki sposób można by osiągnąć tę utopię... A co do przybyszów... - zawahał się Tom. - Czy nie sądzisz, że z czasem mogliby... sami odlecieć?

— Z takiego idealnego świata jak ten twój? - roześmiał się szczerze redaktor. - Fantasta, psia... hm... tego.

CHRZEST BOJOWY

Pojazd zwolnił i podjechał do krawężnika, lecz nie zatrzymał się, wyskakiwali więc w biegu, kolejno, przez tylny właz. Cuddy odruchowo liczył sylwetki nurkujące w prostokąt włazu. Zeskoczył ostatni, potykając się na powybijanej kostce bruku. Stopy w miękkim obuwiu boleśnie odczuły zetknięcie z kamieniem. Na poligonie ćwiczyli w pełnym stroju bojowym, w mocnych butach o twardej podeszwie...

Pojazd trzasnął klapą włazu, przyspieszył ostro, spaliny otoczyły Cuddy'ego burym obłokiem, poprzez cienką dzianinę owiały gorącem jego plecy. Zawierciło w nozdrzach duszącym smrodem, zaszczypało pod powiekami.

Łzawymi oczyma poszukał towarzyszy. Biegli truchtem w równych odstępach, widział ich jako ruchome plamy przesuwane się na tle innych, nieruchomych plam, wielobarwnych, o dziwacznych kształtach widniejących na spękany tynku starych budynków. Przetarł palcami oczy, obraz wyostrzył się, tamci znikali właśnie kolejno w czeluści półotwartej bramy. Od ostatniego dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia kroków. Obejrzał się. Pojazd z hałasem skręcił za narożny budynek, uliczka znów była pusta i cicha. Spróbował podbiec w stronę bramy, lecz stopa, skręcona podczas zeskoku, bolała przy każdym stąpieniu.

Przez kilka sekund pozostawał w odludnym zaułku, po raz pierwszy sam na sam z wrogim światem, czując się jakby nagi i bosy — bez normalnych osłon, bez broni... Ta krótka chwila — zanim dopadł cienia bramy — dała mu przedsmak czekającej go próby. Utykając przemierzył ciemny kwadrat podwórka, sięn

przeciwległej oficyny, kilka szczerbatych schodków, uchylone drzwi...

Wnętrze mieszkania wypełniał swojski zapach, dobrze znany z ośrodka treningowego, zmieszany z innym jeszcze, obcym, lecz przywodzącym skojarzenie z czymś dawno zapomnianym. Odetchnął głęboko, poczuł się znów pewnie i bezpiecznie. Towarzysze otaczali kołem stół, na którym leżał barwny plan miasta oświetlony nisko opuszczoną sufitową lampą.

— Wszyscy? - upewnił się trener. - No to zaczynamy. Jesteśmy tu, w tym miejscu!

Wieniec głów osadzonych na mocnych, barczystych korpusach pochylił się nad stołem, wszystkie oczy odnalazły punkt wskazany pałeczką. Od czarnego trójkąta wrysowanego w blok zabudowań rozpoczynało się sześć różnobarwnych linii kluczających ulicami i zbiegających się w punkcie oznaczonym czerwonym kółkiem.

— Ostatnia okazja, by sobie przypomnieć trasę. Startujecie w minutowych odstępach. Żadnych biegów! Spokój i opanowanie. Czas będzie dokładnie mierzony. Zmiana trasy - tylko w wyjątkowych sytuacjach. Macie trochę szczęścia, o tej porze najłatwiej przejść. Kieszenie puste?

Odmruknęli niecierpliwie, kiwając głowami.

— Przypominam - ciągnął trener - że to już nie żaden zasrany poligon, tylko zadanie testowe w warunkach operacyjnych. Nie podaję granic stref ani położenia naszych punktów obserwacji, bo nie musicie ich znać. Macie osiągnąć cel nie wchodząc w kolizję z nikim - ani z ludźmi, ani z Nimi. Zresztą Oni mogą być wszędzie i sam diabeł ich nie odróżni, dopóki się nie skroplą. Ćwiczenie ma na celu rozpoznanie sytuacji bieżącej, a także oswojenie was z terenem i przełamanie strachu... Tak, tak!

Strachu! Wiem, że się boicie tego pierwszego kontaktu, to normalne. Chodzi o to, by wasz strach przerodził się w zdrową nienawiść. Dlatego musicie otrzeć się o Nich, przeniknąć między Nimi bez drgnienia powiek, bez napinania mięśni. Ten, kto przejdzie i dotrze do celu, nie będzie trząsł tyłkiem podczas akcji. A nie każdemu się udaje! Jedyńka, start!

Pierwszy z grupy wyprostował się, rzucił spojrzenie na pozostałych i bez słowa zniknął za drzwiami.

Trener zgasił lampę i odsłonił okno. Wychodziło na spory placyk pogrążony w gęstniejącym mroku. W pobliżu środka placu, pośród krzewów okalających mały skwer można było dostrzec jakiś ruch w ciemnościach. Od brzegów placu ku jego środkowi przemykały, pojedynczo lub po kilka na raz, cienie ludzkich sylwetek zdążające promieniście ku centralnej, ciemniejszej od cienia, rozległej pulsującej plamie. Niektóre krążyły wokół niej, jakby wahając się czy opierając się na siłę zmuszającej je do zbliżenia, lecz w końcu wszystkie zniknęły, jak wessane, w ową plamę na środku, ruchliwą, rozdmajającą się, żywą...

— Jądro kondensacji - powiedział trener patrząc przez okno na plac. - Ale to jeszcze nic groźnego.

Patrzyli, stojąc nieruchomo wzdłuż parapetu okna. Cuddy poczuł znowu - już po raz drugi w tym dniu - dreszcz chłodnego niepokoju. Tam, za szybą, w odległości kilkudziesięciu metrów kłębiło się Nieznane: tajemnicze zjawisko, rodem nie wiadomo skąd, wroga siła bezcieleśnie zstępująca na tę nieszczęsną planetę, by w wyjątkowo perfidny sposób brać we władanie ciała jej prawowitych mieszkańców.

— Dwójka! - zakomenderował trener.

Drugi wymaszerował dziarsko, sprężyście, lecz już po chwili

mogli widzieć za oknem jego niepewne, lękliwe przemykanie na miękkich nogach, skrajem placu, pod murami - byle z dala od owego ciemnego jądra, zniewalającego i przyprawiającego o dreszcz strachu.

— Źle, zupełnie źle... - powiedział trener półgłosem i uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nie wolno tak rzucać wzrokiem na wszystkie strony, tak się skradać... Trzeba spokojnie, nie za luźno, ale i nie za sztywno... To przychodzi z czasem, w miarę osvajania się ze środowiskiem. To wreszcie zupełnie prosta sprawa, ale nowicjuszom wydaje się, że są wciąż w centrum uwagi otoczenia....

Cuddy czuł nie słabnący ból w kostce. Byle trener nie zauważył kontuzji... pomyślał z lękiem. Chciał mieć za sobą tę próbę, pragnął tego gorąco. Fizycznie czuł, jak jego pierwotny lęk przeradza się w żądzę czynu, walki, w ową nienawiść, o której tak często wspominali trenerzy. Uczucie to rodziło się w nim już od dawna — od wielu lat, jak sięgnął pamięcią. Wiedział, że to przez Nich świat tej planety jest tak ponury, groźny, mroczny... To przez Nich wszystkie lata, które pamięta, spędził w odludnych miejscach, na ćwiczebnych poligonach, doskonaląc się w sztuce walki z Nimi...

Trener zasłonił okno. Lampa, znów zapalona i podciągnięta wyżej pod sufit, oświetliła ściany i resztki mebli po ostatnich lokatorach. Na jednej ze ścian Cuddy dostrzegł przekrzywioną fotografię w ramce, za szkłem. Podeszedł bliżej. Przedstawiała młodą kobietę z dwojgiem dzieci na kolanach.

Czy tak wyglądała moja matka? przemknęło mu przez myśl. Nie znał swojej matki. Podświadomie czuł, że i za to także odpowiedzialni są Oni, podobnie jak za śmierć brata, który zginął podczas rozpoznania w mieście, kilka lat temu.

Trzeci! - zakomenderował trener.

Jeszcze dwóch przede mną.

Cuddy wiedział, że nie ma innego sposobu: on i jego towarzysze muszą ocalić ten świat dla ludzi, zmusić do odwrotu groźnych Obcych, którzy opanowali to miasto. Przybyli nie wiadomo skąd, sami niewidoczni, bezcieleśni - lecz wciskający się wszędzie... Oni - pożeracze ludzkich dusz, opanowujący ludzkie ciała. Groźni przybysze - nie dający się odróżnić od zwykłych ludzi, gdy przyoblekają ich ciała pozbawiając je woli, rozsądku, poczucia odpowiedzialności... Z pozoru niewinni i nieszkodliwi, dopóki wmieszani pojedynczo pomiędzy normalnych ludzi... Czasem tylko zdradzający się obcym, niezrozumiałym słowem, kiedy porozumiewają się ze sobą... Ale na taką przypadkową identyfikację trudno liczyć. Cuddy wiedział o tym dobrze. Nauczono go jednak, by zwracał uwagę na to, co słyseć będzie tam, w mieście...

— Czwarty! - Trener zaczął zwijać mapę.

Cuddy ukradkiem spróbował obciążyć stopę. Bolała wciąż, ale mniej. Ucieszył się. Jeszcze dwie minuty - i będzie musiał zanurzyć się w obcy świat miasta, gdzie nigdy nie był; miasta które znał tylko z ćwiczebnych makiet i planów, miasta opanowanego przez Obcych, które będzie odtąd usiłował im wydrzeć...

Kim są Obcy? Nawet najbardziej doświadczeni Obrońcy nie potrafią tego dokładnie wyjaśnić. Czy stanowią jeden zbiorowy intelekt mogący dzielić się na dowolną liczbę jednostek? Czy może na odwrót: niezliczone mrowie autonomicznych jednostek zdolnych jednoczyć się w intelekt zbiorowy? Trudno było rozstrzygnąć ten problem, zważywszy, iż Oni opanowywali ciała tak wielu ludzi z niezwykłą łatwością, przez krótkotrwałą

bezpośredni kontakt... Każdy, kto znajdował się w zasięgu działania jednostek ludzkich opanowanych przez Nich - był potencjalnie zagrożony, mógł w każdej chwili stać się jednym z Nich...

Jeszcze groźniejsi byli w fazie kondensacji. Wtedy stawali się jedną plazmatyczną masą. Opanowane przez siebie ludzkie ciała wykorzystywali dla stworzenia jednego ogromnego amebowatego monstrum kierowanego jedną myślą, wspólnym intelektem... To było zdumiewające - owo przekształcanie się Ich, zlewanie w jedno, jak pojedyncze krople tworzące niepoohamowany żywioł strumienia.

Żywa plazma przelewająca się ulicami miasta, niepojętą mocą przyciągająca ciało każdego, kto znalazł się blisko, zawłaszczająca je i wtapiająca w siebie... W tej fazie - w stanie agresji i ataku - Obcy byli już tylko jednym potwornym organizmem bez stałego kształtu, zatracającym wszelkie cechy zróżnicowanej ludzkiej materii, z której powstał.

Z takim przeciwnikiem - opanowującym nie tylko ulice i całe dzielnice miasta, lecz także wchłaniającym coraz więcej ludzkich istnień - walczyć miał Cuddy i jego towarzysze.

— Piąty! - powiedział trener.

Tak, Oni - to straszny przeciwnik. Skafander, hełm, maska - skutecznie osłaniały przed niezwykłym, magnetycznym wpływem potwora, który nie był w stanie wchłonąć w siebie, zjednoczyć ze swym cielskiem nikogo z Obrońców. Ale i oni z trudem stawiali mu czoła. Ich broń zdolna była porazić go, zmusić do odwrotu. Rozkawałkować nawet. Ale to akurat nie było dla potwora zabójcze. Przeciwnie - sam w krytycznych momentach starcia z ludźmi i z ich sprzętem potrafił rozsypać się wydzielając z siebie na powrót wszystkie elementy, które

posłużyły do jego kreacji. Plazmatyczny moloch rozpadał się parując jakby, dzieląc się na mniejsze krople, z których powstawały na nowo ludzkie postacie. Unosząc swą rozkawałkowaną jaźń w pojedynczych ciałach monstrum kryło się po klatkach schodowych, bramach, mieszkaniach - stając się nieuchwytnym składnikiem miasta, wsiąkając w jego infrastrukturę - aż do momentu następnej kondensacji, która następowała w jednym czy kilku nie dających się przewidzieć punktach miasta.

To był trudny przeciwnik. Znając go jedynie z opisu, z poglądowych filmów animowanych i kręconych „na żywo” z dużej wysokości, Cuddy odczuwał przed nim respekt, lecz jakże pragnął nareszcie stanąć naprzeciw niego, ramię przy ramieniu z innymi Obrońcami...

— Szósty!

Ale nim to się stanie, Cuddy - jak każdy inny adept Szkoły Obrońców - musi przejść tę ostatnią próbę: bez skafandra, maski, osłon i hełmu, bez broni - zanurzyć się w świat nasiąknięty Obcymi, otrzeć się o Nich, przełamać odrazę i strach... Niby nic, niby formalność, rytuał po prostu, ale jednak...

— Cudgel! Twoja kolej! - Trener podniósł głos w najwyższym zniecierpliwieniu. - Nie śpij, bo zginiesz!

— Tak jest! - odkrzyknął Cuddy i nie bacząc na przeszywający ból w kostce dał nura w mrok sieni.

Kulejąc lekko, minął dwie przecznice i znalazł się na skraju szerokiej arterii oświetlonej skąpo kilkoma rzadko rozmieszczonymi latarniami. Większość nie świeciła. Chrzęst szkła pod butami pozwolił mu zrozumieć przyczynę. Skreślił w prawo. Dwaj mężczyźni oparci o ścianę narożnego domu powiedli za nim bacznym spojrzeniem. Nie przyspieszył, tylko

zbliżył się do krawężnika i na następnym skrzyżowaniu przeszedł na drugą stronę dwupasmowej jezdni. Szedł dalej chodnikiem. Za sobą usłyszał gwar kilku podniesionych głosów, tupanie butów. Ktoś biegł, inni nawoływali się głośno. W większości okien widać było niebieskawą poświatę telewizorów. Jeszcze dwie przecznice, potem w lewo. Za skrzyżowaniem zatrzymał się nasłuchując. Przed nim, w perspektywie ulicy, widniał okrągły plac z nieczynną fontanną. Zapamiętał ten punkt orientacyjny, gdy studiował plan trasy.

— Uważaj!

Obejrzał się. Z bramy wynurzała się głowa chłopca. Cuddy zatrzymał się niezdecydowanie.

— Tam! - Chłopak pokazał w kierunku placu z fontanną. - Widzisz?

Cuddy wyteńczył wzrok. Tam, w oddali, wokół fontanny pulsowała ciemna plama. Jego uszu dobiegły dziwne, zawodzące dźwięki.

— Widzę - powiedział skinąwszy chłopcu głową i przyspieszył kroku.

Wolał nie zbliżać się do nikogo. Pamiętał słowa instruktora: nikt nie jest pewny. Nawet starcy, kobiety, dzieci - każdy może należeć do Nich. O tym trzeba pamiętać, gdy stoi się oko w oko ze skondensowaną plazmą Obcych. W jej bliskości każdy, kto nie jest Obrońcą, musi być uważany za jej część składową, tylko chwilowo oderwaną od całości. Przynajmniej potencjalnie.

Jest tylko jeden sposób, by nie dopuścić do dalszej kondensacji, do rozrostu potwora: izolować go od ludzi, rozczłonkować, podzielić... Odległość, zamknięcie w osobnym pomieszczeniu, w ostateczności wprowadzenie w stan utraty świadomości -

wszystko to izoluje jednostkę od wpływu plazmatycznego tworu, uniemożliwia mu pochłanianie nowych ofiar i dalsze rośnięcie w siłę. Ci, których raz dotknęły macki Obcych, zwykle już pozostają w Ich mocy. Ratują się tylko ci, którzy unikają bliskości miejsc kondensacji, zamykają się w domach...

Skręcił w boczną ulicę nie dochodząc do placu z fontanną, potem minął jeszcze kilka grup zdążających w przeciwną stronę.

Jak tam, spokojnie? - zagadnął go mijany przechodzień.

Cuddy nie wiedział, co należy odpowiedzieć.

— Tam, coś jakby... - mruknął wskazując za siebie.

— Jeszcze wcześniej - powiedział tamten. - Zacznie się za pół godziny...

Cuddy kiwnął niezdecydowanie głową i ruszył dalej. Noga bolała go jeszcze. Coraz więcej ludzi zdążało w przeciwną stronę. Nim doszedł do kolejnej przecznicy, musiał już lawirować wśród przechodniów, a za skrzyżowaniem omal nie wchłonął go liczny tłumek wykrzykujący niezrozumiałe słowa. Pojął, kim mogą być, przywarł do ściany domu, dla pewności uchwycił dłoń za występ muru. Gdy przeszli, przyspieszył kroku. Czuł, że koszula lepi mu się do pleców. Na szczęście dostrzegł następny punkt orientacyjny - wieżyczkę na skraju małego placzyku. Stąd było już blisko. Z ulgą dopadł żelaznej bramy oznaczonej czerwoną tarczą, przebiegł podwórze i wszedł do budynku z czerwonej cegły. Odetchnął z ulgą. Udało się.

Przybył jako czwarty. Trener zajrzał z sąsiedniej sali.

— Dwóch nie doszło - powiedział do kogoś za drzwiami. – Ale nie będziemy na nich czekać, mogą nie dotrzeć.

— Mało brakowało, a byłbym trzecim, który nie dotarł! - powiedział jeden z towarzyszy Cuddy'ego pokazując spod opatrunku rozbity łuk brwiowy.

— Oni? - spytał Cuddy oglądając rozcięcie.

— A bo ja wiem? Dwóch wciągnęło mnie do bramy, pytali o dokumenty... Co miałem pokazać? Jednemu dałem w zęby, ale drugi był lepszy. Uciekłem, po prostu.

— To pewnie byli nasi - uśmiechnął się trener. – Musiałeś wyglądać na spietranego albo odwrotnie, na kozaka. Jakiś powód musiał być. Ale dość gadania. Pobierać sprzęt. Mamy ostry alarm, musicie wejść do akcji.

— Na placu z fontanną, niedaleko stąd, chyba coś się kondensuje - zameldował Cuddy w radosnym podnieceniu.

Wiemy. Nie tylko tam zresztą. Pospieszcie się, chłopcy! - powiedział trener. - Pobrać sprzęt i jazda!

§ § §

Po obu stronach ulicy piętrzyły się ściany wysokich domów. Szara masa upstrzona jasnymi plamami nacierała powoli, lecz nieubłaganie, lejąc się całą szerokością jezdni. Cuddy odruchowo pomacał łomot zatknięty za pas, potem dotknął rozbijacza wiszącego u piersi, rozpiął kaburę dziurkacza, dociągnął pasek tryskawca na lewym przedramieniu i zaciskając prawą dłoń na rękojeści łamignata, lewą ujął mocniej uchwyt parownicy. Za plecami czuł stalową obecność dwóch potężnych miazgotłuków. Obok - po lewej i po prawej, ramię w ramię stali jego towarzysze z brygady.

Nagle monstrum zafalowało ruszając ostro do przodu. Poczł kilka uderzeń kamieniami w pancerz, dwa w hełm, potem jeszcze jedno – w samą szybkę hauby. Wytrzymała, lecz to, co w nią trafiło, musiało być słoikiem gęstej farby, bo Cuddy nagle przestał widzieć. Próbował przetrzeć wizjer wierzchem rękawicy, lecz tylko rozmazał gęstą ciecz nie odzyskując

widzenia.

Głos trenera w słuchawce zabrzmiał jak wystrzał.

— Teraz!

Cuddy ruszył na oślep czując, że jego towarzysze przesunęli się o krok do przodu.

Do diabła! pomyślał. Przecież muszę widzieć!

Puścił uchwyt parownicy i z determinacją zdarł z głowy hełm. Zbyt gwałtownie, bo wraz z nim zsunęła się maska oddechowa z nadmuchem gazu stymulującego i osłony uszu ze shichawkami. Spojrzał przed siebie i zdumiał się: obraz był znacznie ostrzejszy niż ten, który oglądał przed chwilą, nim zalano mu wizjer. Czyżby szyba zniekształcała obraz? Teraz, bez niej, w miejscu bezkształtnej plazmy widział wyraźnie nacierające mrowie ludzkich twarzy, poszczególne ludzkie sylwetki! Przeraził się. Nie! To niemożliwe! Przecież to Obcy! Przecież Oni kondensują się w bezosobową plazmę, w monstrum bez twarzy, w potwora, który...

Na szczęście długi trening nie poszedł na marne. W ułamku sekundy przypomniał sobie odpowiedni wykład z psychochemii... To omam, skutek jakiegoś halucynogenu! Zdjąłem maskę, oddycham zatrutym wyziewem... Monstrum chce otumanić moje zmysły, obezwładnić moje dłonie.

Setki par oczu bestii wwiercały się w niego, potwór był tuż, tuż...

Zacisnął powieki, by nie dać się pokonać koszmarnemu widziadłu.

To jest plazma, wrogi żywioł, który muszę nienawidzić! powtarzał wznosząc uzbrojoną dłoń ku górze. Nie dam się omamić, nie dam zabić w sobie tej nienawiści... Obronię cię, Ziemi!

Z ryku potwora słyszanego teraz głośno, bo uszu nie “chroniły wyci-szacje hełmu, wyłowił nienawistne, obce, niezrozumiałe słowa wrogiego języka, dźwięki bez znaczeń i sensu. Zdradziłeś się! pomyślał z satysfakcją i radością. Mojego słuchu nie omamisz!

Teraz już miał pewność.

— Liberie, egalite, justice - ryczało dzikie monstrum całym swoim plugawym cielskiem.

Młodszy Obrońca Cudgel Knock nigdy dotąd nie słyszał takich słów. Szeroko otworzył oczy i bez trwogi patrząc prosto w miraż setek ślepiów bestii, z rozmachem opuścił łamignat.

WYJĄTKOWO TRUDNY TEREN

Przed frontonem gmachu ministerstwa Wiktor poczuł nagle, że jest znowu sam, że z powrotem stał się suwerennym właścicielem i dysponentem własnego ciała. Chyba po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwy smak osobistej wolności - na zasadzie kontrastu z totalnym zniewoleniem, jakiego doświadczał od wczesnego ranka dzisiejszego dnia.

Poprawiając na sobie ubranie, potargane nieco podczas szarpaniny ze strażnikiem i portierem, wciąż czuł na twarzy rumieniec wstydu z powodu tych wszystkich incydentów, których był dziś głównym bohaterem, i tych niedorzeczności, które dzisiejszego przedpołudnia padły z jego ust wobec poważnych urzędników państwowej administracji.

Z zażenowaniem rozejrzał się dokoła i z ulgą stwierdził, że oprócz niechlujnego osobnika drzemiącego na pobliskiej ławce nie było innych świadków komicznej w gruncie rzeczy scenki przed portalem gmachu. Wiktorowi nigdy dotychczas nie zdarzyło się być tak sromotnie wyrzuconym... no, powiedzmy, wyniesionym za drzwi.

Wolny od wszelkiej kontroli swego wewnętrznego gnębiiciela, nie przynaglany do biegania po ulicach miasta, Wiktor przysiadł na ławce obok drzemiącego typa. Piekły go stopy, żołądek dopominał się o swoje prawa... Obca siła dopadła go w chwili, gdy w drodze do biura zamierzał właśnie wstąpić na śniadanie. Wbrew chęciom i zamierzeniom, zamiast w barze znalazł się w bibliotece uniwersyteckiej, gdzie tajemnicze „coś” panoszące się w jego mózgu zażądało atlasu astronomicznego i na podstawie współrzędnych odnalazło gwiazdę o nazwie Megrez

w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy. Powtórzywszy kilkakrotnie - ustami Wiktora - nazwę tej gwiazdy, niezwykle „gość” skierował kroki swego gospodarza—nosiciela kolejno do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, potem do Akademii Nauk, do Ministerstwa Handlu Zagranicznego, Kultury i paru jeszcze innych instytucji rządowych. Wszędzie, przerhawiając poprzez usta Wiktora, przedstawiał się jako „delegat Układu Megrez wraz z tłumaczem”, co samo przez się wystarczało, by wywołać kpiące uśmiechy na twarzach urzędników. Nikt z rozmówców nie traktował z należytą uwagą dalszych wywodów Megrezyjeżyka, który nie był w stanie przedstawić żadnego materialnego dowodu swej tożsamości, a zewnątrznie prezentował się w postaci wąsatego blondyna w średnim wieku. Trudno się dziwić urzędnikom, że po paru zdaniach kwiecistej przemowy przybysza z dalekiej gwiazdy wzywali portiera lub wartownika. Wiadomo przecież, jak wielu maniaków podaje się w dzisiejszych czasach za wysłanników cywilizacji pozaziemskich... Jeden tylko dyrektor gabinetu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wykazał nieco dyplomatycznego taktu i zawodowej rutyny; po wysłuchaniu kilku pierwszych zdań przybysza spojrział w okno i spytał: „Czy to pan przyleciał tym latającym spodkiem, który stoi przed głównym wejściem? Jeśli tak, to bardzo proszę zaparkować pojazd w innym miejscu. Portier wskaże panu parking dla interesantów.” Megrezyjczyk w tym momencie autentycznie się zacukał, jakby nie chcąc przyznać się, że on - tak ważny delegat obcej cywilizacji - wędruje po mieście na piechotę. Nim odzyskał rezon, wezwany portier wyprowadził Wiktora z budynku.

Wyrzucany z urzędów - nieraz przy użyciu siły, bo gwiazdny przybysz stawiał czasem czynny opór - Wiktor nie czuł nawet

urazy do ludzi, którzy traktowali go tak lekceważąco. Obserwując poczynania swego niezwykle gościa bez trudu konstatawał, iż Megrezyjczyk nie przejawia ani krzty talentu dyplomatycznego czy choćby elementarnej grzeczności koniecznej w stosunkach z ludźmi. Jego arogancja musiała drażnić rozmówców. Widać było, że delegat Układu Megrez niezbyt starannie przygotował się do swej roli, nie zadawszy sobie trudu szczegółowszego przejrzania zasobów pamięci swego nosiciela, które z powodzeniem wystarczyłyby mu, by wniknąć w psychikę Ziemiańca, mieszkańca tego kraju, w którym przybyszowi wypadło działać.

Od chwili gdy Wiktor pojawił się, co spotkało go dzisiaj rano, był skłonny udzielić mu daleko idącej pomocy, ułatwić wykonanie zadania, dopomóc w opracowaniu skutecznego planu działania. Niestety! Przybysz okazał się osobnikiem apodyktycznym i ponad wszelką miarę zadufanym we własne umiejętności. Wiktora ignorował zupełnie, zepchnąwszy jego osobowość na zupełny margines świadomości. Traktował człowieka jak istotę niższą, a jego mózgu używał jako podręcznego komputera tłumaczącego. Z tego choćby względu żadna współpraca nie mogła wchodzić w rachubę. Tym bardziej, że cele i zamierzenia obcego przybysza nie były właściwie znane. Wiktor uznał tę sytuację za całkowicie nie do przyjęcia: nie może być mowy o partnerskiej współpracy, gdy ktoś sięga po całą informację dostępną w cudzym mózgu nie wyjawiając ani jednej własnej myśli...

O, nie! W taki sposób nie pozwolę się traktować! zbuntował się Wiktor, gdy wolnym nareszcie od kontroli umysłem ogarnął swą sytuację. Gotów jestem zrozumieć, że ktoś otrzymał trudne zadanie, że ma wymagającego szefa i mnóstwo trudności

w nieznanym terenie. Ale, do diabła, ja także mam szefa, który nie lubi, gdy bez uprzedzenia opuszczam dzień roboczy. Skoro ten bęcwał z Megrez szpera w mojej pamięci wynajdując tam rzeczy, o których prawie już zapomniałem, to znaczy, że wie wszystko, co i ja wiem. Więc niby dlaczego nie uwzględnić takich elementarnych spraw jak moje śniadanie czy telefon do szefa z prośbą o dzień urlopu? To jest po prostu bezczelność i lekceważenie. Czuję się zwolniony z jakichkolwiek uprzejmości wobec niego!

Trzeba przyznać, że przez całe przedpołudnie Wiktor ucziwie próbował - z ciasnego kącika świadomości, do którego zepchnęła go rozpanoszona osobowość Megrezyjczyka - nawiązać z nim partnerski dialog, ustalić jakieś zasady współpracy, jakiś modus vivendi niezbędny w sytuacji, gdy dwie osobowości posługują się tym samym ciałem i umysłem. Nic z tego! Przybysz zawłaszczył jedno i drugie, uchylając się od uznania jakichkolwiek praw swego gospodarza. Prawdę mówiąc ani razu nie zwrócił się bezpośrednio do Wiktora, nie przedstawił się nawet, nie wypowiedział słowa powitania, nie mówiąc już o przeprosinach za niezwykle najście.

Albo jest to wyjątkowo źle wychowany osobnik, albo, co gorsza, wszyscy oni mają takie paskudne maniery, pomyślał Wiktor. Tak czy owak, jeśli wróci i jeśli będzie się ze mną w taki sposób obchodził, postaram się wymyślić i zastosować środki odwetowe.

Pustka w żołądku i obolałe stopy sprawiły, że Wiktor czuł wzrastającą niechęć do swego gościa, chociaż początkowo uznał swą przygodę za interesującą i rokującą ciekawe perspektywy. Po paru godzinach uganiania się po mieście i wystawiania na szyderstwa wolał, by jednak jego kontakty z pozaziemską

cywilizacją na tym się zakończyły. Równocześnie zdał sobie sprawę z tego, że po ewentualnym powrocie Megrezyjczyk - jeśli tylko zechce - będzie mógł zapoznać się dokładnie ze wszystkimi myślami, które Wiktor snuł podczas jego nieobecności. W tej sytuacji wymyślanie jakichkolwiek posunięć przeciwko przybyszowi nie miało sensu: wszelkie najtajniejsze knowania Wiktora nie dawały się w żaden sposób ukryć...

— Bezczelny, kosmiczny cham! - warknął Wiktor wstając z ławki.

Rozparty na przeciwnym końcu ławki mężczyzna wyglądający na drzemiącego pijaka wcale łie spał. Od dłuższego czasu obserwował Wiktora spod oka, a teraz poruszył się nagle.

— Pan coś mówił? - zagadnął.

— Nie do pana - mruknął Wiktor i powlókł się w stronę ulicy.

— Zaraz, zaraz! - Typ z ławki dogonił go nadspodziewanie zwinnym susem. - Niech pan zaczeka. Pan powiedział: „kosmiczny cham”. Kogo pan miał na myśli?

Wiktor szedł przed siebie, nie oglądając się na natręta, lecz ten najwyraźniej nie miał zamiaru się odczepić.

— Zaczekaj, przyjacielu! - powiedział przymilnie. - Widziałem, jak ten głupi wykidajło wypieprzył cię z ministerstwa. Znam to, słowo daję! Czy ten twój nie jest przypadkiem z Aldebarana?

Wiktor zatrzymał się i odwrócił w kierunku podążającego za nim człowieka.

— Z Aldebarana? - spytał mierząc podejrzliwie wzrokiem niedużego, łysawego mężczyznę w pomiętym ubraniu.

— Siedzę tu i czekam... i, co gorsza, zaczynam trzeźwieć. A jak wytrzeźwieję, to ten bydlak z Aldebarana znowu mnie dopadnie i każe mi wygadywać te swoje błazeństwa... - wyjaśnił pijak gorliwie. - Więc jak zobaczyłem, że ciebie też wyrzucili, tak jak

mnie w ubiegłym tygodniu, to pomyślałem, że może mój Aldebarańczyk znalazł sobie nową ofiarę i da mi wreszcie spokój...

— Niestety! Mój pochodzi z Układu Megrez... - powiedział Wiktor z pewnym współczuciem.

— I co? Włazi w ciebie każdego ranka i ujeżdża cię do wieczora, z krótkimi przerwami na posiłki?

— Nie wiem... Dziś... pierwszy dzień... - bąknął Wiktor.

— Wyrazy współczucia! - Pijak wyciągnął dłoń w jego kierunku. - Wszystko jeszcze przed tobą. Musimy trzymać się razem, bo nas wykończą te bydlaki... Mów mi Adam... Widzisz, co ze mnie zrobił ten Aldebarańczyk? Już drugi tydzień nie mogę się od niego uwolnić. Z pracy mnie wylali, przepiłem wszystkie oszczędności, a on codziennie, parę razy na dobę przychodzi i sprawdza, czy przypadkiem nie wytrzeźwiałem. Początkowo próbował wylewać mi alkohol, ale zawsze jakoś udało mi się znaleźć przyjaciela, który coś postawił... A propos, nie masz czegoś do picia?

— Może by się znalazło, w domu... Więc mówisz, że już drugi tydzień... A ja miałem nadzieję, że mój poszedł sobie do diabła i zostawił mnie w spokoju...

— Nie łudź się. Ja też na to liczyłem. Ale, niestety, okazuje się, że to niełatwa sprawa znaleźć takich jak my. Mało kto jest podatny na sterowanie, jak mówi mój Aldebarańczyk.

— Czyżby z tobą rozmawiał?

— Skądże znowu! On traktuje mnie jak zwierzę... Ale mogę słyszeć, co moimi ustami mówi do innych ludzi. Odkąd wpadłem na ten pomysł z piciem, zmuszony był usprawiedliwiać się przed rozmówcami z powodu mojego stanu. Każdemu wyjaśniał, że wciąż nie może znaleźć innego człowieka odpowiedniego do roli

nosiciela jego osobowości. Na szczęście wszystko, co mówił, brano za pijacki bełkot. Tym sposobem pozbywam się go na dłuższe okresy, bo kiedy jestem pijany, nie ma ze mnie żadnego pożytku i zapewne lata i szuka sobie kogoś innego. Może wreszcie znajdzie...

— Metoda jest skuteczna - uśmiechnął się Wiktor - lecz chyba trochę zbyt kosztowna... No i dla zdrowia też nieobojętna!

— Jeśli tylko będę miał co pić, to na pewno go przetrzymam! - oświadczył Adam buńczucznie. - Ale, jak na razie, czuję się niebezpiecznie trzeźwy...

— No dobrze, chodźmy! - powiedział Wiktor z rezygnacją. - Masz rację, może lepiej trzymać się razem...

— Jestem ci szczerze wdzięczny! - ucieszył się Adam. - Nie damy się żadnym kosmicznym bydlakom!

— Gdyby twój Aldebarańczyk lepiej cię pilnował, nie mógłbyś się upijać - zauważył Wiktor, gdy szli do taksówki.

— Na szczęście oni też muszą czasami odpoczywać. Nie czuwają bezustannie, co pewien czas znikają z ciała nosiciela.

— Może są w nas przez cały czas i słuchają, co o nich mówimy?

— A niech sobie nawet słuchają, dranie. Ostatecznie to my jesteśmy u siebie, a oni wleźli do nas nieproszeni. A jeśli chcą usłyszeć, co o nich myślę, to zaraz im. powiem! Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy - prychnął Adam lekceważąco.

— No, już wystarczy, później pogadamy - uciszył go Wiktor pomagając mu ulokować się w taksówce. - Ktoś postronny mógłby mieć wątpliwości, o kim mówisz „oni”, i kłopoty gotowe... A nasi goście znają nawet nasze myśli, nie musisz im niczego mówić.

Agaabar z trudem panował nad pijanym mózgiem Adama.

Kiedy wcielił się w niego, było już za późno: opróżniona butelka stała na stole pomiędzy dwoma podochoconymi mężczyznami. Przez przymglone oczy Adama Aldebarańczyk przyjrzał się twarzy Wiktora.

— Z kim mam przyjemność?... - zagadnął niepewnie. - Wiktor, czy... kolega z Układu Megrez?

Człowiek z drugiej strony stołu mierzył chwilę Agaabara chłodnym, trzeźwym spojrzeniem.

— A jak się koledze wydaje? - powiedział wreszcie z ironicznym uśmiechem. - Od pół godziny piję z twoim nosicielem. A raczej upijam go. Nie przeczę, że czynię to z premedytacją.

— Skąd jesteś?

— Przecież wiesz. Z Megrez.

— Akurat mi to coś mówi! Skąd mam znać tutejsze nazwy obiektów astronomicznych?

— Wpadnij przy okazji do biblioteki, kiedy będziesz trzeźwiejszy, i sprawdź w atlasie galaktycznym. Nie chce mi się wyjaśniać szczegółowo. Zresztą twój nieprzytomny mózg i tak nie zapamięta. Współczuję ci! Dość marnie trafiłeś.

— Niech to diabli wezmą. Ale nie mogę znaleźć nikogo lepszego. Ludzie zamieszkujący te tereny zupełnie nie nadają się do wykorzystania jako nosiciele...

— Masz rację, to wyjątkowo trudny teren. Miałem trochę szczęścia, trafił mi się inteligentny osobnik, prawie niepijący, a przy tym, wydaje mi się, dość podatny na sterowanie. Niełatwo tutaj o podobny egzemplarz. Będziesz musiał pozostać przy swoim alkoholiku, ale dla mnie to nawet lepiej: ubiegnę cię przy nawiązywaniu kontaktów handlowych. Na pewno niektóre nasze cele są podobne, a kto pierwszy, ten lepszy.

— Nie jesteś zbyt uprzejmym partnerem... - skrzywił się Agaabar.

— Nie jesteśmy partnerami, lecz konkurentami, przyjacielu z dalekiej gwiazdy - zaśmiał się Megrezyjczyk.

— Udało ci się. Ale ja też wreszcie znajdę sobie tubylca skłonnego do podporządkowania się mojej woli.

— Wątpię. Oni wszyscy tutaj mają wyjątkową awersję do podporządkowywania się obcym. Jako jednostki i jako cały naród. Gdybyś znał ich historię, łatwiej byś to zrozumiał...

— Trudno uczyć się historii od pijaka, który pewnie sam nie był nigdy zbyt pilnym uczniem...

— Możesz mi wierzyć, sprawdziłem to. Sam zresztą zauważyłeś, jakich sposobów używa twój Adam, by uniemożliwić ci kierowanie jego ciałem...

— O, tak! Zawsze znajdzie kumpla, który go napoi. Albo wydobędzie alkohol nie wiadomo skąd, mimo że pozostawiam mu tylko drobne sumy na jedzenie.

— Mój też nie jest idealny - westchnął Megrezyjczyk. – Kiedy tylko zostawiam go samego, zaraz coś knuje przeciwko mnie, opracowuje plany uwolnienia się od zależności. Oczywiście nic mu z tego nie wychodzi, bo gdy tylko wrócę i zajrzę w jego pamięć, zaraz wszystko wiem...

— Ja nawet nie mogę dobrze skontrolować, co mój pijak robił i myślał podczas mojej nieobecności. Kiedy się upije, sam niczego nie pamięta. Czasem zupełnie nie umiem się połapać w tym całym bałaganie, który znajduję w jego mózgu.

— Wiesz co? Lepiej wróc na Aldebarana. Będę miał swobodne pole działania, a ty poprosisz o zmianę terenu. Tutaj nie dasz sobie nigdy rady...

— Dlaczego?

— Bo wy, Aldebarańczycy, znani jesteście w Galaktyce z... no, powiedzmy, niezbyt lotnych umysłów...

— Co? Kto tak o nas mówi?

— Prawie wszyscy, nie udawaj że tego nie wiesz! Mówi się zwykle: tępy jak Aldebarańczyk...

Agaabar zerwał się z krzesła, lecz pijane ciało, którego używał, zatoczyło się niebezpiecznie.

— Hej, kolego! - warknął siadając. - Za takie zaczepki dostaje się u nas po trąboczulkach!

— U nas nie. Nie mamy trąboczulek, tylko przyzwoite cefalopodia, jak każdy wysoko rozwinięty gatunek istot rozumnych. Podejrzewam, że zupełnie nie nadajecie się do współpracy z mieszkańcami tej planety ze względu na niższy od nich poziom rozwoju.

Myśli Agaabara z trudem torowały sobie drogę poprzez szumiące alkoholem zwoje mózgu Adama. Chciał ciętą ripostą zareagować na zniewagę tego bezczelnego typa z jakiegoś zapadłego kąta Galaktyki, lecz kipiąca złość przytępiła mu dowcip.

— Rozważ moją propozycję - rzucił na koniec Megrezyjczyk – i wycofaj się stąd. To naprawdę za trudny teren dla ciebie. Ci ludzie wprost fizycznie nie znoszą niczyjej dominacji. Cały ich naród, z nielicznymi wyjątkami, ceni sobie wyżej niezależność i osobistą swobodę niż korzyści płynące z kontaktów z potężnymi obcymi siłami. Wątpię, czy uda ci się znaleźć takiego, który nie będzie wszelkimi sposobami zrzucał cię ze swego karku, gdy go dosiędziesz... Na razie znikam.

— Idź do diabła - burknął Agaabar.

— On pana obraził, szanowny przybyszu z Aldebarana - powiedział Wiktor z szacunkiem. - Na pana miejscu nie

darowałbym tego.

— A co ja mogę mu zrobić? - Agaabar wzruszył ramionami. - Mógłbym na przykład poturbować pana... On by tego wprawdzie fizycznie nie odczuł, ale za to nie mógłby pana używać...

— Po co zaraz miałyby pan mnie bić? - Wiktor uśmiechnął się chytrze. - Obaj mamy dosyć tego nieokrzesanego Megrezyjczyka. Pan ma poza tym kłopoty z Adamem. A ja jestem gotów współpracować z kimś tak kulturalnym i sympatycznym, jak pan, panie...

— Nazywam się Agaabar.

— Więc jak?

— Czy mam rozumieć, że pan, panie Wiktorze, proponuje, abym...

— To będzie łatwa zamiana. Jestem podatny na sterowanie, a psychicznie także nastawiony pozytywnie...

— Ale ja tak nie mogę... Etyka zawodowa, rozumie pan, kodeks postępowania... - słabo bronił się Agaabar.

— Ależ proszę pana! Po tym wszystkim, co pan od niego usłyszał? Na pańskim miejscu nie wahałbym się ani chwili!

— Właściwie byłby to rewanż za wszystkie zniewagi...

— Otóż to, drogi gościu... A przy okazji ja też coś zyskam na tej zamianie. Dla niego zaś zostanie ten pijaczek... No, to jak będzie? Niech pan zostawi Adama, on i tak musi się przespać... i zapraszam do mnie.

— W porządku. Zaraz będę w panu! - Aldebarańczyk pozbył się reszty skrupułów.

Teraz tylko nie myśleć, o niczym nie myśleć! Wiktor schylił się pod stół i ukradkiem pociągnął duży haust z zapasowej butelki.

Swój plan zdążył przeprowadzić dosłownie w ostatniej chwili: prawdziwy Megrezyjczyk właśnie wyłonił się z kanału

komunikacyjnego i na próżno próbował wniknąć w Wiktora, w którym przed chwilą rozgościł się Agaabar z Aldebarana blokując dostęp jakiegokolwiek innej osobowości.

Nie rozumiejąc, co się stało, przybysz z Megrez zaczął krążyć po pokoju. Natrafiwszy na poddające się sterowaniu, lecz zupełnie pijane ciało drzemiącego Adama, wniknął w nie, przebudził i z trudem odtworzył z jego pamięci mętne zarysy ostatnich wydarzeń. Napotkał wiele niejasności, jedno wszakże było oczywiste: jakiś galaktyczny przybłęda śmiał zawładnąć osobnikiem, którego Megrezyjczyk wyselekcjonował był dla siebie dziś rano. Obiekt został oznakowany i dokonana kradzież nie była wynikiem pomyłki, lecz niewątpliwie celowym działaniem.

Poczekaj, ty aldebarański gnojku! pomyślał Megrezyjczyk z wściekłością o przedstawicielu zaprzyjaźnionego układu planetarnego. Kolegium Galaktyczne nie puści płazem takiego wybryku!

Chyłkiem wycofał się z Adama do kanału transmisyjnego i wróciwszy na swą planetę natychmiast złożył skargę w ambasadzie Związku Planet Aldebarana.

§ § §

— Wciąż nie całkiem pojmuję, jak to się stało, że sobie od nas poszli - powiedział Adam, - W jaki sposób udało ci się tak nabrać ich obu?

— Właściwie tylko jednego, tego z Aldebarana. Megrezyjczyk działał już tylko konsekwentnie, tak jak przewidziałem. Chodziło o to, żeby niczego nie planować zawczasu. Musiałem zdać się na impuls, na natchnienie chwili... Sytuacja wytworzyła się sama, miałem trochę szczęścia i udało mi się spowodować konflikt

między obydwojma przybyszami. W wyniku skargi Aldebarańczyk został dyscyplinarnie odwołany z Ziemi...

—Skąd wiesz?

— Od mojego Megrezyjczyka, który mnie tu jeszcze do niedawna odwiedzał. Zaczął nawet ze mną konwersować. Zdaje się, że dałem mu trochę ogłady i dobrego wychowania, którego mu tak brakowało - uśmiechnął się Wiktor. - Ale i tak nie mam ochoty na jego towarzystwo. Zresztą chyba już ze mnie zrezygnował. Prawdę mówiąc myślałem, że wezmą się za łby i tak narozrabiają, że władze obydwoj stąd odwołają... Tymczasem jeden okazał się sprytniejszy i nie dał się sprowokować. Trudno, powiedziałem sobie, nie ma innego wyjścia... Mój kosmiczny gość nie potrafił zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Klął mnie i wypytywał na przemian, chcąc pojąć moje motywy. A ja po prostu nie znoszę, kiedy ktoś obcy dyktuje mi, co mam robić, gdzie pójść, co mówić, co myśleć, w co wierzyć... Już raczej wolę tutaj przeczekać, aż on sobie pójdzie albo znajdzie innego jelenia... i dlatego napisałem na ścianie to antypaństwowe hasło.

— Koniec widzenia! - powiedział strażnik.

DRUGIE SPOJRZENIE NA PLANETĘ KSI

(fragmenty)

1.

(...) Człowiek, który przyniósł śniadanie do pokoju Pabla, z trudem udawał kelnera. Stawiając na stole tace, wychlapał kawę z dzbanka prosto w talerzyk z chlebem, a na domiar wszystkiego z bocznej kieszeni wystawał mu najbezwstydniej uchwyt jakiejś ręcznej broni.

— Do diabła, przepraszam! - burknął ze zniecierpliwieniem. - To nie moja specjalność...

— Specjalne środki ostrożności? - Pablo uśmiechnął się półgębkiem. - Co to będzie?

— Nie wiem. Obowiązuje was zakaz opuszczania pokojów i całkowita blokada łączności. Za dziesięć minut będzie teleodprawa.

— Może mi zdradzisz przynajmniej nazwę tego miłego miejsca? - Pablo wskazał dłonią na okno, za którym w porannym słońcu lśniła tafla spokojnej wody.

Tajniak przebrany za kelnera przez chwilę patrzył bezmyślnie w okno.

— To ośrodek rekreacyjny dla personelu służby kosmicznej - powiedział wymijająco.

— Nie wygląda na to, bym tu miał odpoczywać - roześmiał się Pablo. - No dobrze, nie pytam już o nic więcej/Przywieźli mnie tu w nocy, niemalże z workiem na głowie...

— Jedz śniadanie, bo zaraz będzie instruktaż - powiedział

tajniak, kierując się ku drzwiom. - Aha, jeszcze to...

Wydobył z kieszeni niewielki szary przedmiot o kształcie pistoletu i położył na siedzeniu fotela.

— Nie majstruj przy tym, dopóki nie dowiesz się, do czego służy - ostrzegł wychodząc.

— No, chyba już! pomyślał Pablo, przełykając szybko śniadanie. Koniec zabawy, zaczyna się robota na serio.

Wczorajszy nagły wyjazd z ośrodka treningowego musiał być pierwszym etapem dalekiej podróży, do której Pablo przygotowywał się od dawna.

Dopił kawę i przesiadł się na fotel, ustawiony przed monitorem wbudowanym w ścianę pokoju. Wcisnął w ucho słuchawkę i obejrzał pistolet pozostawiony przez strażnika.

Za lekki na prawdziwą broń, pomyślał przymierzając uchwyt do dłoni. Przypomina raczej dziecinną zabawkę do pryskania ludziom wodą w nos.

Na ekranie pojawiły się na chwilę cyfry zegara, a potem twarz szpakowatego mężczyzny o dużych, ciemnych oczach południowca.

— Major Alvaro Calvi - przedstawił się człowiek z ekranu. - Jestem szefem tutejszej Grupy Bezpieczeństwa. Witam członków ekipy specjalnej i pragnę zakomunikować wszystkim, którzy mnie odbierają, że zostali zakwalifikowani do udziału w Ekspedycji Porządkowej, która wyruszy wkrótce w kierunku obiektu Ksi z zadaniem przywrócenia prawidłowych stosunków wewnętrznych w tamtejszej kolonii. O programie działań i zakresie indywidualnych zadań poinformuje was we właściwym czasie dowódca statku „Foton-2”, który odbywać będzie tę podróż już po raz drugi.

Major przerwał na chwilę, sprawdzając coś w notatkach.

— Zaraz dowiecie się, dlaczego nie zebraliśmy was razem, w jednym pomieszczeniu - powiedział jakby w odpowiedzi na wątpliwości słuchaczy. - To, co powiem, musi pozostać tajemnicą znaną tylko części załogi „Fotona”. A poza tym na razie nie powinniście znać się wzajemnie. Szkoliliśmy was w różnych ośrodkach treningowych, aby uniknąć kłopotów, jakie spotkały załogi poprzednich wypraw na planetę Ksi. Stanowicie grupę starannie wyselekcjonowaną i sprawdzoną, gdyż wasze zadanie wymaga ekipy o najwyższych kwalifikacjach zarówno fachowych jak moralnych. Okoliczności, które zaistniały...

Przerwał, krzywiąc się ironicznie, a potem uśmiechnął się do słuchaczy.

— Przepraszam za te nadęte ogólniki. Może powiem po prostu, o co chodzi. Otóż potrzebujemy was tutaj, na Ziemi, jeszcze zanim odleciecie. Właśnie dlatego, że odlatujecie, możemy z minimalnym ryzykiem zdradzić wam pewną tajemnicę, którą zna zaledwie kilka osób ze ścisłego grona szefów Wydziału Bezpieczeństwa Lotów. O tym, co usłyszycie, nie może dowiedzieć się absolutnie nikt. Nie wolno wam rozmawiać o tym między sobą, nawet po odlocie z Ziemi - bo jak powiedziałem, nie cała załoga będzie znała te informacje, a nikt z was nie będzie wiedział, kto oprócz niego został wtajemniczony. A zatem wszystko, co usłyszycie od tej chwili, przeznaczone jest tylko do osobistej wiadomości każdego z was.

W ciągu ostatniej doby wydarzył się... wypadek, wymagający natychmiastowej akcji interwencyjnej: kilku funkcjonariuszy specjalnej służby antyterrorystycznej... opuściło miejsce zakwaterowania, wyłamując się spod rozkazów dowództwa. Ludzie ci - niezależnie od tego, jakimi motywami się kierują - muszą zostać niezwłocznie zlokalizowani i schwytani, gdyż mogą

stanowić poważne zagrożenie dla społeczeństwa.

Wiadomo wam oczywiście, że wobec nieustannych kłopotów, jakich przysparzają nam wszelkiego autoramentu terroryści i zwykli szaleńcy, zmuszeni jesteśmy szkolić specjalne brygady antyterrorystyczne i wyposażać je w najwymyślniejsze środki techniczne. Wydział Bezpieczeństwa Lotów, którego zadaniem jest ochrona portów i szlaków rakietowych, również dysponuje takimi brygadami. Jednakże terroryści, zwłaszcza ci, którzy działają w dobrze zorganizowanych grupach, także stosują najnowocześniejsze środki techniczne i precyzyjne metody działania. Dlatego, by zyskać nad nimi przewagę, tworzymy specjalne... superbrygady, przewidziane do najtrudniejszych zadań. Członkowie takich superbrygad, oprócz normalnego szkolenia i treningu, są poddawani pewnym... modyfikacjom fizycznym... Nie wnikając w szczegóły, można by je określić jako pewnego stopnia cyborgizację, dotyczącą zwłaszcza cech anatomiczno-fizjologicznych. Krótko mówiąc, przekształcamy ich w superludzi, odpornych na wiele czynników, które dla zwykłego człowieka byłyby zabójcze. By jednakże ci superludzie mogli działać nie rozpoznani przez terrorystów, nie różnią się zewnętrznie od zwyczajnych funkcjonariuszy naszych służb bezpieczeństwa. Wszelkie dodatkowe ulepszenia ich organizmów zostały dokonane we wnętrzach ich ciał. Należą do nich, na przykład, kulo odporne osłony mózgu, a także serca, aorty i innych ważnych elementów układu krwionośnego; mają oni wszczepione specjalne pojemniki z substancjami powodującymi - w razie potrzeby - uodpornienie na ból, stymulację układu nerwowego i tak dalej. Ponadto posiadają wbudowane w układ oddechowy filtry zapobiegające wchłanianiu gazów trujących i obojętniających, a także

wszczepione na stałe różne urządzenia czujnikowe, sygnalizujące niebezpieczeństwo: wykrywacze metalu, detektory promieniowania... Ponadto nasi superludzie mają możliwość bezpośredniego porozumiewania się między sobą na znaczne odległości, dzięki wszczępieniu mikronadajników w krtani i mikroodbiorników do wnętrza ucha. Niezależnie od tego posiadają miniaturowe, lecz niezwykle skuteczne środki zaczepne, zbiorniki z gazami obezwładniającymi, mikroporażacze wszyte w palce dłoni i jeszcze parę innych urządzeń. Nie muszę dodawać, że są oni poza tym w znakomitej formie fizycznej i dysponują wszelkimi metodami walki wręcz...

Jak więc z tego wynika, członkowie superbrygad mogą być bardzo efektywni w zwalczaniu terroryzmu. Jednakże, jak mówi stare przysłowie, kij ma dwa końce... Jedna z superbrygad, a właściwie jej część, wyniknęła się spod naszej kontroli. Nie wiemy jeszcze, czy od początku byli to ludzie związani z jakimś ugrupowaniem terrorystycznym, którym udało się przeniknąć do naszych szeregów; czy może zostali zwerbowani już po modyfikacji i treningu... Faktem jest, że opuścili miejsce zakwaterowania, zabijając po drodze parę osób. Usiłowali, bez powodzenia, zawładnąć środkami transportu naziemnego. W chwili obecnej wiemy, mniej więcej, gdzie się znajdują - lecz niestety jest to obszar obejmujący między innymi jeden z pobliskich kurortów, aktualnie w pełni sezonu, zatłoczony tysiącami urlopowiczów. Uciekinierzy skryli się zapewne wśród tłumu świadomi tego, że nie zdołają uciec stąd drogą lądową ani wodną - bo przedsięwzięliśmy odpowiednie środki zabezpieczające. Nie mogą także skorzystać z drogi powietrznej, ponieważ całkowicie wstrzymaliśmy ruch lotniczy i każdy samolot startujący z obserwowanego obszaru może być

natychmiast zestrzelony. Problem polega więc na tym, by dyskretnie, nie wywołując paniki wśród cywilów, wyłuskać zbuntowanych supermenów spośród innych ludzi i unieszkodliwić ich, zanim zaoferują swe usługi terrorystom.

Chcemy powierzyć to zadanie właśnie wam, grupie specjalnej... a raczej części grupy, bo oprócz tych, do których właśnie przemawiam, do załogi „Fotona” należą także... superludzie, podobni tym, którzy się nam wymknęli. Wiem, jakie pytanie chcielibyście mi teraz zadać...

Major uśmiechnął się z ekranu do swych słuchaczy, siedzących przed monitorami w osobnym pokojach ośrodka rekreacyjnego.

— Chcecie wiedzieć - ciągnął po chwilowej pauzie - dlaczego nie użyjemy do tej akcji innych, wiernych nam supermenów. Otóż tu właśnie tkwi cały problem. Przewidywaliśmy podobną sytuację tworząc nasze superbrygady. Lekkomyślnością byłoby produkowanie nadludzi, nad którymi nie mielibyśmy pełnej kontroli. Dlatego każdy z nich, choć tak sprawny i trudny do pokonania dla walczącego z nim przeciwnika, może być przez nas obezwładniony bardzo prostym urządzeniem. Jest nim pistolet, który otrzymał każdy z was. Nie jest to broń palna ani też emiter jakichś „promieni śmierci”, lecz po prostu nadajnik wiązki sygnałów, uformowanych według specjalnego kodu. Sygnały uruchamiają maleńkie urządzenie zainstalowane w organizmie każdego z naszych supermenów. Urządzenie to jest rodzajem zatrasku, który zwolniony sygnałem, zaciska częściowo aortę, powodując zmniejszenie przepływu krwi. Towarzyszą temu objawy przypominające ostry zawał serca, które w jednej chwili obezwładniają naszego superczłowieka, czyniąc go zupełnie nieszkodliwym. Uratować go może tylko

szybko dokonany zabieg operacyjny, usuwający zatrzask z tętnicy. Jednak członkowie superbrygady nie wiedzą o tym szczególnie swojej zmodyfikowanej anatomii - i ta ich nieświadomość pozwala nam mieć nad nimi przewagę. Dlatego ani oni sami, ani tym bardziej terroryści, z którymi mają walczyć, nie mogą poznać tej drobnej lecz ważnej tajemnicy. Oto przyczyna, dla której musimy skorzystać z waszej pomocy - bo nie możemy przyznać się przed naszymi superbrygadami, że bez ich wiedzy wmontowaliśmy im takie perfidne... wyłączniki. Mogliby mieć nam to za złe, czując się jak jakieś automaty, które można wyłączać i włączać niezależnie od ich woli. Mogliby nasz brak zaufania poczytać za obrazę ich ludzkiego honoru i tak dalej... A wówczas staliby się dla nas zupełnie bezużyteczni, a niektórzy nawet niebezpieczni.

Tak więc zadaniem waszym będzie wytropienie uciekinierów wśród ludzi przebywających na terenie, który wam wskażemy. Możecie śmiało „strzelać” z waszych pistoletów do każdego, kto wyda się wam podejrzany. Normalny ludzki organizm oczywiście w żaden sposób nie reaguje na sygnał kodowy. Jeśli więc ktoś dozna ataku serca pod działaniem wiązki sygnałów, będzie to poszukiwany zbiegły supermen.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że zachowanie pełnej tajemnicy leży w waszym własnym interesie. Sami podczas wyprawy na Ksi będziecie mieli w załodze superludzi - chociaż żaden z nich nie przyzna się do tego. Ze względu na własne bezpieczeństwo dowództwo wyprawy będzie dysponowało pistoletem wyłączającym.

Wasze zadanie polega więc na spenetrowaniu terenu i sprawdzeniu wszystkich osobników, którzy będą budzić podejrzenia. Musicie jednak zachować ostrożność. Oni

spodziewają się pościgu i choć nie wiedzą nic o sposobie, w jaki można ich unieszkodliwić, mogłoby się zdarzyć, że któryś z nich wyczuje niebezpieczeństwo i uprzedzi atak - bo przecież w tym celu ich szkolono i wyposażono!

Każdy z was otrzyma mapę terenu poszukiwań. Granice tego obszaru są obstawione emiterami sygnału wyłączającego, więc każda próba ucieczki skazana jest na niepowodzenie. Oni jednak nie będą starali się teraz opuszczać tej okolicy w obawie przed patrolami, które na otwartym terenie łatwo mogłyby ich wyśledzić. Niestety, nie możemy pokryć sygnałami całego obszaru, zwłaszcza w obrębie gęsto zabudowanego centrum uzdrowiska. Tam właśnie powinniście ich szukać. Pozostałym terenem zajmą się patrole policji, którym jednakże nie chcemy zdradzić tajemnicy Wyłączników, by nie przestała być tajemnicą. To wszystko, koledzy. Powrót do ośrodka - o zmroku. Wieczorem podsumujemy wyniki i zdecydujemy, co robić dalej. Życzę owocnego polowania...

Twarz majora zniknęła z ekranu. Pablo raz jeszcze obejrzał pistolet, a potem schował go do kieszeni i siedząc w fotelu pograżył się w rozmyślaniach. To, co usłyszał, postawiło go wobec zupełnie niespodziewanego problemu...

— Do diabła! - warknął półgłosem. - Co robić?

2.

Jaskrawe światło, skierowane prosto w twarz, zmuszało do zaciśnięcia powiek. Chcąc przesłonić oczy dłonią, Leo stwierdził, że obie ręce ma unieruchomione.

Wciągnął w nozdrza chłodne powietrze ze śladami aptecznych zapachów, wśród których dominowała woń eteru. Próbował odgadnąć, gdzie się znajduje, lecz w pamięci znajdowała się luka.

Ostatnim zapamiętanym wrażeniem było łagodne zapadanie się, towarzyszące wstępnej fazie wchodzenia w biostop. Naturalną konsekwencją tego stanu powinno być charakterystyczne gwałtowne wynurzenie się z niebytu, nagle wyostrenie wszystkich zmysłów, spowodowane dawką aktywatora podczas rewitalizacji. Tego właśnie nie było. Leo czuł ociężałość ciała, tętniący szum w uszach, ucisk na skroniach.

Narkoza, pomyślał z niepokojem. Pewnie jakieś komplikacje albo... wypadek.

Powracające funkcje zmysłu równowagi pozwoliły mu odczuć położenie własnego ciała. Po chwili już wiedział, że nie leży na stole operacyjnym, lecz siedzi, sztywno przykrępowany do fotela, mając źródło światła przed, a nie nad twarzą.

Kolejna próba otwarcia oczu przyniosła mu jedynie wielobarwne plamy tańczące pod powiekami.

— Jak się nazywasz? - Tubalny głos nadbiegł z głębi pomieszczenia, spoza źródła światła.

— Leo Benetti. Gdzie jestem?

— Od kogo dostałeś instrukcje? - spytał drugi głos.

— Jakie miałeś zadanie? - dorzucił pierwszy.

— Jestem członkiem załogi statku „Foton-2”... Uczestniczę w wyprawie rozpoznawczej...

— Nie jesteś członkiem załogi. Jesteś oskarżony o udział w organizacji terrorystycznej. Twój współniczy przyznali się do winy. Czy złożysz dobrowolnie zeznania? - powiedział ostro pierwszy głos.

— Nie mam pojęcia, o co jestem oskarżony.

— Jakie zadanie miałeś wypełnić podczas wyprawy „Fotona”?

— Jestem pilotem i inżynierem napędu fotonowego...

— Nie udawaj durnia! - zdenerwował się pytający. - Pytałem

o twoje zadanie dywersyjne!

— Gdzie jestem?

— Wydział Bezpieczeństwa Lotów.

— Na Ziemi?

— Oczywiście.

— Nie wiem, o co pytasz. Ostatni raz byłem witalizowany w drodze na planetę Ksi.

— Chodzi o fakty sprzed odlotu - wyjaśnił drugi głos łagodnie. - Szczerze przyznanie się do winy złagodzi wymiar kary.

— Nie mam nic do powiedzenia. Jestem pilotem...

— Czy wiedziałeś, dlaczego „Foton” leci na Ksi?

— Wiedziałem. Mieliśmy wyjaśnić sprawę zaginionego konwoju...

— Konwój został opanowany przez grupę terrorystyczną. Miałeś unieszkodliwić załogę „Fotona” i nawiązać kontakt z buntownikami.

— Nic podobnego.

Przesłuchujący wymieniali półgłosem jakieś uwagi. Leo poczuł, że snop światła spełzył z jego twarzy, ktoś obszedł jego fotel. Po chwili ręce Leo były wolne. Ostrożnie otworzył oczy. Rozpoznał wnętrze promu orbitalnego. W świetle reflektora, odbitym od szarych metalowych ścian, zobaczył dwie postacie w podniszczonych kombinezonach. Dwaj długowłosi i brodaci mężczyźni patrzyli na niego z lekkim rozbawieniem.

— No dobrze, kolego - powiedział jeden z nich. - Musieliśmy cię sprawdzić. Poradziliśmy sobie z pozostałymi. Statek jest nasz.

Leo dostrzegł cyfrowe oznaczenia na czołach kudłatych mężczyzn, którzy zbliżyli się do niego, wyciągając dłonie do powitania. Niezdecydowanie uścisnął ich ręce.

— Więc gdzie jestem, u licha? - spytał.

— Na planecie Ksi, oczywiście. Ożywił cię, przetransportowaliśmy tu z orbity pod narkozą. Mamy polecenie doprowadzić cię do Pierwszego.

— Opanowaliście „Fotona”? W jaki sposób?

— To było zupełnie proste - zaśmiał się jeden z brodaczy. – Twój dzielny kumpel wylądował patrolówką niedaleko naszego osiedla. Myśleli, że ich nie zauważyliśmy. A potem sami zawieźli nas na „Fotona” i nawet dość grzecznie wleźli do biostatorów. Przeszukaliśmy kartotekę, zidentyfikowaliśmy cię jako kuriera z centrali... No i jesteśmy z powrotem na planecie. Ale zanim wyjdziemy z patrolówki, musisz trochę odpocząć, rozprostować kości. Pewnie jesteś głodny.

— No... raczej tak! - Leo przytaknął skwapliwie.

Jego mózg pracował intensywnie, podczas gdy jeden z tubylców otworzył ścienny schowek i szperał w nim przez chwilę. Dyndający na piersiach porażacz przeszkadzał mu najwyraźniej, bo zaklął i zdjął jego pas z szyi, odłożył broń na blat stołu i wrócił do schowka. Leo zerknął na drugiego tubylca rozwalonego w fotelu i zajętego bezmyślnym skubaniem własnej brody, potem odmierzył wzrokiem odległość do leżącej broni i skoczył.

Wszystko trwało dwie sekundy: pewny chwyt, wymierzenie wylotu broni - najpierw w uzbrojonego, później w tego, który górną połowę ciała tkwił w schowku z żywnością. Tylko że zamiast syku sprężonego gazu, miotającego paralizujące igły pocisków, rozległa się dwugłosowa salwa śmiechu.

Leo znieruchomiał, z bezużyteczną bronią w opuszczonych dłoniach.

— W porządku, Leo! - powiedział człowiek siedzący w fotelu, odlepiając z twarzy sztuczny zarost. - Chyba wystarczy.

Leo powoli odłożył broń na fotel, przez chwilę jeszcze nieufnie spoglądał na twarze kolegów, jakby oczekując dalszego ciągu dziwnej zabawy.

— Koniec, czy jeszcze macie coś w zanadrzu? - spytał cierpko, rozglądając się po kabinie. - Pić mi się chce.

— To nie były żarty, Leo - powiedział Silva bez uśmiechu, podając mu otwartą puszkę soku. - Sytuacja wymaga ostrożności. Musieliśmy cię sprawdzić.

— Gdzie jesteśmy?

— U celu podróży. We wnętrzu promu orbitalnego – wyjaśnił Achmaf. sadowiąc się naprzeciw Leo, po drugiej stronie stołu.

— Sam zdążyłem zauważyć, że to prom.

— Jesteśmy na powierzchni planety Ksi.

— Co ze statkiem?

— Wszystko w porządku, Leo. „Foton” jest od czterech tygodni w drodze powrotnej.

— A my?

— Zostaliśmy tutaj na własną prośbę. To znaczy my dwaj i Omar Lazzi. Ciebie komandor zostawił w biostatorze, na naszą prośbę i... odpowiedzialność. Jeśli nie chcesz brać udziału w akcji, masz prawo zrezygnować i wrócić do biostopu. Znosi się co najmniej na czterdzieści parę lat pobytu, zanim Ziemia przyśle tu kogoś.

— Na razie nie wiem jeszcze, z czego miałbym zrezygnować - uśmiechnął się Leo. - Jest tu, coś interesującego do roboty?

— Interesującego?! - parsknął Achmat uderzając otwartą dłonią w blat stołu, aż podskoczyły puszki koncentratów. - Słyszysz, Silva? On pyta, czy jest tutaj coś interesującego! Wiesz co, Silva? Skocz w te zarośla pod skarpą, gdzie zastawiliśmy wnyki. Na pewno coś się złapało. A potem zrób dobry befsztyk,

a ja przez ten czas powiem naszemu koledze, co tutaj można robić...

— Pójdę - powiedział Silva sięgając po poręcz i plecak. – Ale jutro ty dyżurujesz przy garach.

— Posłuchaj, Leo! - powiedział Achmat, gdy Silva zniknął za drzwiami kabiny. - Gotów jestem założyć się z tobą o co zechcesz, że nigdy, w całej karierze pilota kosmicznego, nie zdarzyła ci się okazja do tak interesującej roboty. Ta planeta mogłaby stać się rajem dla ludzi...

— Mogłaby?

— Tak, z całą świadomością użyłem trybu warunkowego. Wyprawa osiedleńcza, której los był przedmiotem zainteresowania wyprawy zwiadowczej naszego „Fotona”, dotarła na planetę Ksi i mogłaby stworzyć tu wspaniałą, kwitnącą kolonię. Tymczasem od pięćdziesięciu lat ludzie żyją tutaj w utrwalonym stanie prowizorium, jakby na nie kończącym się harcerskim biwaku. Uciekli od cywilizacji, chcieli zbudować swoją własną, wśród nie tkniętej dotąd, lecz na ogół sprzyjającej ludziom przyrody planety Ksi. Niestety, znalazło się wśród nich paru wicherzycieli chorych na władzę, czy może po prostu trutni i nierobów. Trudno mi znaleźć jednoznaczne określenie ich motywacji.

— Aha... To znaczy, że ktoś tu zaprowadził własne porządki, w celu uszczęśliwienia bliźnich - domyślił się Leo. - Nic nowego pod słońcem, chociaż słońce inne... Zamach stanu, rewolta?

— Pospolity akt terroru, przygotowany skrupulatnie przed wyruszeniem z Ziemi. Terrorysty przejęli kontrolę nad wyprawą jeszcze przed lądowaniem i witalizacją reszty osadników. Mieli przeciw sobie tylko zaskoczone załogi czterech jednostek konwoju.

— Jak to wygląda teraz, po pięćdziesięciu latach?

— Przeczytasz materiały, dokumenty, a potem sam zobaczysz.

— Zobaczą? - zdziwił się Leo.

— To dość proste. Omar właśnie jest wśród nich.

— No dobrze. Szczegóły zostawmy na później. Z jakimi zadaniami zostawił was komandor? I dlaczego odleciał?

Achmat powoli nabił fajkę, zapalił i pyknął kilkakrotnie. Smuga dymu owiała Leo nieznanym zapachem.

— Co ty palisz? Dziwnie pachnie.

— Tytoń z ziemskich zapasów, z domieszką miejscowego zielska - uśmiechnął się Achmat. - Czerpiemy z bogatych doświadczeń tubylców.

— Więc jakie mamy rozkazy?

— Żadnych. Raczej ograniczenia. Komandor nie chce żadnej rewolucji, przymusu, ofiar w ludziach. Poza tym możemy sami wymyślać sobie zadania. Chcemy znaleźć metodę polepszenia sytuacji ludzi na tej planecie, zanim ziemscy specjaliści zabiorą się do tego w sposób naukowy.

— Dlaczego komandor postanowił wracać na Ziemię?

— Znasz Slotha. Nigdy nie zdradza się do końca ze swymi pomysłami. Widzimy kilka powodów jego decyzji. Po 'pierwsze, miał prawo sądzić, że to, co się tutaj stało, jest tylko fragmentem szerzej zakrojonej akcji, która może dotyczyć także innych wypraw osiedleńczych. Jeśli to prawda, to trzeba działać przede wszystkim na Ziemi, gdzie prawdopodobnie znajduje się centrala terrorystycznych ugrupowań. Komandor nie chciał puścić w eter ani jednego zbędnego słowa, które mogłoby ostrzec tę centralę. Druga sprawa, to ludzie z załogi „Fotona”. O tym, co rzeczywiście dzieje się na Ksi, wiemy tylko my i komandor. Reszta załogi nie ma pojęcia o wyniku rekonesansu. Komandor nałożył pełną

blokadę informacyjną. Ludzie, których będzie zmuszony witalizować w czasie lotu powrotnego, pozostaną w przekonaniu, że konwój sprzed pół wieku uległ zagładzie w wyniku akcji terrorystycznej. W ten sposób komandor chce uniknąć jakiegokolwiek akcji ze strony ewentualnych terrorystów ukrytych wśród załogi „Fotona”, na przykład - próby opanowania statku i zawrócenia go w kierunku Ksi. Ewentualni terroryści nie mają w tej sytuacji innego celu oprócz bezpiecznego powrotu na Ziemię.

— Czy sądzicie, że wśród personelu Kosmocentrum także mogą znajdować się współpracownicy terrorystów?

— Wśród załogi „Alfy” też był jeden, który odegrał kluczową rolę w opanowaniu statków konwoju. Inspiratorzy, którzy kierują akcjami terrorystów, z pewnością dołożyli wszelkich starań, by wyekspediować na „Fotonie” choćby jednego swojego agenta. Przecież to jedyny dostępny dla nich sposób przekonania się, jak naprawdę potoczyły się sprawy na planecie Ksi.

Milczeli przez chwilę, Achmat pykał fajkę, a Leo układał sobie w myślach uzyskane informacje.

— No dobrze - mruknął wreszcie. - Zostawmy Slothowi jego kłopoty i odpowiedzialność za losy Wszechświata. Co będziemy robić tutaj na tej planecie?

— Postanowiliśmy zagrać... - Achmat uśmiechnął się tajemniczo.

— Zagrać? W co?

— No, powiedzmy, w „żywe szachy”. Sloth narzucił nam pewne reguły, co do reszty naszych poczynań pozostawiając pełną swobodę. Postanowiliśmy skrócić sobie czas rozgrywając indywidualny turniej z władzami osiedla na planecie Ksi. Możesz się do nas przyłączyć. Chyba że nie chcesz.

— Dobra. Na czym ma polegać ta gra?

— Gramy w wylosowanej kolejności, każdy indywidualnie. Pozostali trzej tylko kibicują i w razie ostatecznej konieczności przerywają grę w sposób nie naruszający podstawowych reguł. Celem gry jest naprawa stosunków w tej blisko dziesięcioletniej społeczności. Każdy obmyśla koncepcję rozegrania swojej partii i przedstawia pozostałym, w ogólnych zarysach oczywiście. Wygrywa ten, komu uda się w największym stopniu poprawić sytuację tego społeczeństwa. Komu się to nie uda w wyznaczonym czasie, przegrywa. Za naruszenie reguł grozi natychmiastowa dyskwalifikacja.

— A reguły?

— Rozkaz komandora ogranicza nasze działania, ale nie pęta nam rąk. Po pierwsze, nie wolno nam się ujawnić. Tutejsze władze nie mogą wiedzieć, że na planecie znajdują się ludzie z Ziemi. Po drugie, skutek naszego działania nikt nie powinien ucierpieć na zdrowiu ani stracić życia. Po trzecie, nie możemy dopuścić do unicestwienia tych niedoszłych osadników, którzy do tej pory nie zostali wyprowadzeni z anabiozy i pozostają zmagazynowani i prawie już zapomniani w pojemnikach transportowych. To właściwie wszystkie ograniczenia, jakim podlegamy. Poza tym wolno robić wszystko, co nam przyjdzie do głowy: udawać, łąć, aranżować różne wydarzenia, mącić umysły, siać wątpliwości... jeśli okaże się to celowe i pożyteczne.

— Podoba mi się ta zabawa... Tym bardziej, że wszyscy jesteśmy raczej... amatorami w tej dyscyplinie.

— Hm... Wydaje mi się, że każdy po trosze czuje się specjalistą od ulepszania świata. Tutaj mamy znakomity poligon do eksperymentów. A ponieważ żaden z nas nie zamierza wyciągać osobistych korzyści, rokowania dla osadników powinny być

niezłe.

— Macie nade mną przewagę w zakresie informacji – zauważył Leo.

— Wprowadzimy cię w sytuację. Gra musi być uczciwa – zaśmiał się Achmat.

3.

Od strony zabudowań kosmoportu zbliżał się czerwony mikrobus. Sloth stał w cieniu statecznika rakiety, ściskając w dłoni rączkę nesesera. Czuł strugi potu spływającego po plecach pod lekką bluzą kombinezonu. Żar bił od rozgrzanej płyty lądowiska. Słońce - mimo wczesnego przedpołudnia - prażyło nieznośnie.

Narobiłem im trochę kłopotów, pomyślał nie bez odrobiny złośliwej satysfakcji, patrząc na szeroki krąg pustej powierzchni lądowiska, w którego środku precyzyjnie i sprawnie wylądował przed paroma minutami. Musieli usuwać wszystkie graty w promieniu dwóch kilometrów...

Znał to dobrze. Ilekroć wracał z dalekiej podróży, zawsze się powtarzało. Najpierw propozycje przysłania rakiety z pilotem, później — popłoch i odraczenie chwili lądowania, gdy przybysz upierał się przy samodzielnym zejściu z orbity. Obsłudze kosmodromu wydawało się najwyraźniej, że pilot, który opuścił Ziemię kilkadziesiąt lat temu, po powrocie reprezentuje poziom Neandertalczyka w porównaniu z nowo wyszkolonymi kosmonautami i nie potrafi prawidłowo osadzić na płycie nawet lekkiej rakiety ładowniczej...

Tym razem nie chodziło jednak o popisy. Sloth nie chciał w ogóle rozmawiać z dyspozytorem ani z kontrolą kosmoportu. Od razu wezwał dyżurnego Bezpieczeństwa Lotów i postawił

swoje warunki. Nawet nie domagali się wyjaśnień. Dostał zgodę na samodzielne lądowanie, obiecano specjalną ekipę...

Mikrobus zatoczył łuk i zahamował o kilka metrów od rakiety.

— Witaj, komandorze! - pozdrowił Slotha młody mężczyzna w rozpiętym uniformie służby naziemnej.

Szybko przebiegł kilka kroków po rozgrzanej płycie i zanurzył się w cień obok komandora.

— Co słyhać we Wszechświecie? - zagadnął ściskając dłoń Slotha. - Bo u nas, jak widzisz, pełnia lata. Paul Hagy, dyżurny przylotów. Pomóc?

Spojrzał na walizeczkę Slotha, lecz ten pokręcił przecząco głową.

— Kto jest w wozie? - spytał ruszając w stronę mikrobusu.

— Dwaj chłopcy z ochrony i kierowca.

Sloth wsiadł, kiwnął głową dwóm cywilom, którzy z bronią na kolanach siedzieli na tylnej kanapie, i usiadł z przodu nie wypuszczając nesesera z dłoni.

— Jedziemy - powiedział dyżurny sadowiąc się obok. - Czy ładownik należy jakoś specjalnie zabezpieczyć?

— Nie trzeba. Możecie go zabrać i postawić byle gdzie. Przepraszam za kłopoty i za to, że nie mogę wyjaśnić motywów.

— W porządku, komandorze. Bezpieczeństwo zaakceptowało wszystkie środki bez mrugnięcia okiem. Wszyscy płoną z ciekawości, dziennikarze siedzą w hali przylotowej od dwóch dni. Nie wymkniesz się im, mowy nie ma...

— Nie można było ich wygonić? - skrzywił się Sloth.

— Nie można. Prawo jest po ich stronie. Mogą wszędzie węszyć, chyba że upoważniony wydział utajni sprawę.

— Takie teraz przepisy? - domyślił się Sloth.

— Ustawa o Powszechnej Jawności Informacji. Opinia

publiczna znów żywo interesuje się sprawą planety Ksi, zwłaszcza od momentu podania do wiadomości informacji o waszym radiogramie sprzed czterech lat. To znaczy sprzed dwudziestu czterech oczywiście, doliczając czas transmisji.

— Podano pełny tekst?

— Nie, tylko omówienie. To jeszcze bardziej roznieciło powszechną ciekawość. Wszyscy oczekują na szczegóły i na dalsze informacje.

— Poczekają jeszcze trochę - uśmiechnął się Sloth.

— Jednak trzeba będzie coś rzucić na pożarcie prasie i telewizji. Inaczej będziemy ich mieli wciąż na karku.

— Dobrze! - Sloth patrzył przez okno na zbliżające się zabudowania. - Zgromadźcie ich w jakimś pomieszczeniu z przyzwoitą klimatyzacją.

— Konferencja prasowa?

— Krótka, bez kamer i fotoreporterów, i bez gwarancji odpowiedzi na niektóre pytania. A kolegów z ochrony proszę o zwrócenie szczególnej uwagi na dwie rzeczy: mój neseser i moją głowę.

— Sprawdzimy ich przed wejściem i wypuścimy dopiero, gdy wyjdiesz z głową i neseserem - uśmiechnął się jeden z tajniaków. - Szef już nas poinformował, co by nam zrobił, gdyby ci się coś przytrafiło.

Mikrobus wślizgnął się w ciemną czeluść wjazdu i po chwili Sloth mógł już rozgościć się w małym apartamencie z łazienką i lodówką pełną zimnych napoi.

— To pokój wypoczynkowy dla ważnych osobistości - uśmiechnął się Paul. - Pomieszczenie jest doskonale zabezpieczone, a wejścia pilnuje dwóch policjantów.

— Widzę, że Szef Bezpieczeństwa potraktował moje żądania

z należytą uwagą - mruknął Sloth zrzucając bluzę kombinezonu.

— Generał powiedział, że zna cię z bardzo dawnych czasów. Kiedyś lataliście razem...

— Generał?

— Szef Wydziału Bezpieczeństwa, generał Balchen.

— Bernt Balchen?

— Tak, były pilot pozaukładowy. Parę lat temu przeszedł do Bezpieczeństwa.

— Nazwisko pamiętam. Szwed?

— Chyba Norweg.

— Mniejsza o to. Kiedy go zobaczę, pewnie sobie przypomnę, gdzie nas razem diabli nosili... Hm... Generał! Dobrze być generałem, ale ja jeszcze nie mam ochoty osiąść na stołku, nawet najwygodniejszym... Wolę fotel pilota.

— Admiralom-pilotom też nieźle się powodzi - zaśmiał się Paul wychodząc. - Za pół godziny przyjdę, by rzucić cię na pastwę reporterów.

Sloth zamknął od wewnątrz drzwi wejściowe i zniknął w kabinie kąpielowej, zabierając ze sobą neseser.

W niewielkiej salce bez okien zgromadziło się kilkunastu reporterów. Sloth widział ich przez szparę w uchylonych drzwiach. Wiercili się niecierpliwie, przygotowując swe małe, kieszonkowe magnetofony z kulkami mikrofonów osadzonymi na cienkich, długich witkach wysięgników.

Na dwóch stołach przy wejściu leżały sterty videokamer i aparatów fotograficznych, strzeżonych przez młodego, wysokiego cywila o sennych oczach, który stał oparty plecami o drzwi z tyłu sali.

— Możemy zaczynać? - spytał Paul i pchnął drzwi.

Przepuścił Slotha przodem. Dziennikarze ucichli nagle,

a potem rozległy się krótkie oklaski powitalne i znów zapadła cisza, dłonie z mikrofonami wysunęły się do przodu, w kierunku stolika stojącego na małym podwyższeniu.

Sloth skłonił się lekko i usiadł, Paul powiedział kilka słów, ustalając porządek zadawania pytań.

— Bardzo was przepraszam - powiedział Sloth ocierając czoło.
- Przybywam bezpośrednio z podróży i nie jestem upoważniony do składania oficjalnych oświadczeń. Mogę odpowiedzieć tylko na kilka pytań o charakterze ogólnym. Proponuję, aby każdy zadał jedno rzeczowe pytanie.

Zaprotestowali pomrukiem zawodu, lecz po chwili ucichli i zaczęli pytać kolejno, podtykając mikrofony pod nos Slotha.

— Czy osadnicy dotarli bezpiecznie na planetę Ksi?

— Wszystkie pojemniki zostały prawidłowo osadzone na powierzchni planety.

— Czy istnieje tam obecnie osiedle ludzkie?

— Istniało jeszcze dwadzieścia cztery lata temu.

— Czy warunki naturalne na planecie są odpowiednie dla ludzi?

— Są bardzo dobre.

— Ilu ludzi tam znaleźliście?

— Nie znamy oficjalnych danych. Szacunkowo - do dziesięciu tysięcy.

— Czy nawiązaliście oficjalny kontakt z władzami?

— Nie.

— Dlaczego?

— Uznaliśmy to za optymalny wariant spełnienia naszej misji.

— Czy należy przez to rozumieć, że działaliście potajemnie?

— Raczej: incognito.

— To znaczy rozmawialiście z mieszkańcami nie ujawniając,

kim jesteście?

— Tak.

— Czy było to podyktowane względami waszego bezpieczeństwa?

Sloth przyjrzał się pytającej dziennikarce. Była to młoda, ładna blondynka z lekko skośnymi oczyma.

— To była konsekwencja przyjętej zasady.

— Czy oni lubią Ziemię? - spytała po raz drugi ta sama dziewczyna.

— Przepraszam, ale nie mogę wyróżniać nikogo, nawet pięknych pań. Miało być po jednym pytaniu - powiedział Sloth uśmiechając się chłodno.

— Chcieliście zapewne uzyskać prawdziwy obraz społeczeństwa Ksi, nie ujawniając swej obecności?

— To był jeden z motywów postępowania.

— Czy należy stąd wnosić, że nie stwierdziliście potrzeby czynnej interwencji w sprawy planety?

— Nie czuliśmy się kompetentni do podjęcia takiej decyzji.

— Czy rzeczywiście dokonano tam terrorystycznego przewrotu, jak wynikało z zapisu znalezionego przez was w „Alfie”?

— Zapis z „Alfy” jest nadal jedynym, choć nie w pełni wiarygodnym dokumentem w tej kwestii.

— Kto zatem sprawuje władzę na Ksi i jaka jest forma rządów?

— Władzę sprawuje grupa ludzi spośród osadników. Jak powiedziałem, nie kontaktowaliśmy się z czynnikami oficjalnymi.

— Czy panuje tam terror lub dyktatura?

— Gołym okiem tego nie widać.

— Czy należy rozumieć, że sytuacja ludzi na Ksi jest w pełni

zadowolająca?

— Z czyjego punktu?

— Z punktu widzenia ich samych.

— Nie. Z punktu widzenia jakichkolwiek ludzi ich własna sytuacja nigdy i nigdzie nie jest uważana za „w pełni zadowolająca”.

— A według was?

— Mogło im być lepiej.

— Od czego to zależy?

— Głównie od nich samych, jak w każdym społeczeństwie.

— Czy coś im przeszkadza, mają jakieś trudności?

— Te same, co w każdym zespole ludzi: wszystkie złe cechy ludzkiej natury.

— Czy wasza wyprawa wróciła w pełnym składzie?

— Nie. Czterech ludzi pozostało na planecie Ksi.

— Z jakim zadaniem?

— Nie otrzymali zadań. Pozostali na własną prośbę.

— Czy zostali do czegoś zobowiązani lub upoważnieni?

— Do unikania wszystkiego, co mogłoby zagrozić im samym lub mieszkańcom Ksi.

— Kiedy będzie ogłoszony szczegółowy raport o wynikach wyprawy?

— Najpierw muszę go sporządzić. O ogłoszeniu czegokolwiek zadecydują moi zwierzchnicy. Zdaje się, że wyczerpaliśmy limit pytań. Dziękuję!

Sloth szybko wyszedł z sali pozostawiając reporterów wśród rumoru odsuwanych krzeseł i ożywionej wymiany zdań.

— Uff! - sapnął znalazłszy się na zapleczu sali. - Chyba udało mi się nie nałgać, nie ujawniając równocześnie niczego istotnego.

— Bardzo dobrze, komandorze! - Paul otworzył drzwi windy.

— Generał oczekuje cię w swoim pokoju.

— Spodziewam się, że przyszedłeś wyjaśnić mi wszystko szczegółowo, Sloth! - Generał patrzył na komandora z dokładnie kontrolowanym, leciutkim uśmiezkiem, jakby gotów był w jednej chwili zetrzeć z twarzy ten ledwie dostrzegalny grymas, by przybrać surowy wyraz służbowej powagi. - Ufam, że istnieją nadzwyczajne powody uzasadniające twoje postępowanie.

Sloth wydobyl z nesesera gruby zeszyt w wystrzępionej płóciennnej okładce i położył na biurku generała.

— Czy mogę usiąść? - spytał rozglądając się za krzesłem.

— Proszę, tutaj... - Generał wyszedł z za biurka i zapalił stojącą lampę nad niskim stolikiem w kącie gabinetu. - Tu będzie nam wygodniej.

Usiedli naprzeciw siebie w głębokich, chłodnych fotelach krytych imitacją skóry. Generał obracał w dłoniach zeszyt, jakby zastanawiał się, czy należy go otworzyć, czy raczej poczekać na wyjaśnienia komandora.

— Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? - Sloth studiował uważnie twarz generała. - Wybacz, generale. Oprócz nazwiska nic więcej nie zostało mi w pamięci.

— Byliśmy razem w rejonie Syriusza - uśmiechnął się generał. - Ale ja także nie pamiętałem, musiałem sprawdzić w kartotece. Tyle nazwisk, tylu ludzi...

— W porządku. Jesteśmy z tej samej epoki, Bernt. O to mi właśnie chodziło. Nie umiem rozmawiać z tymi smarkaczami młodszymi od nas sto lat.

— Czy tylko dlatego odmówiłeś złożenia raportu w Komendanturze Lotów Pozaukładowych?

— Nie tylko. Może popełniam błąd, ulegam urojeniom albo przeceniam wagę sprawy. Musisz to sam ocenić. Sam,

rozumiesz? Zanim wtajemniczymy kogokolwiek w szczegóły.

Sloth wskazał gestem dłoni granatowy zeszyt na stoliku przed generałem.

— Kierujesz Wydziałem Bezpieczeństwa Lotów - ciągnął po chwili, patrząc w oczy generała. - Jeśli ty uznasz, że przesadziłem, będę się uważał za zwolnionego z odpowiedzialności. Wtedy napiszę formalny raport.

— Mów! - Generał skinął głową. - Na pisanie będzie czas później.

— A więc, krótko mówiąc, wystartowałem z Ziemi, w kierunku obiektu Ksi czterdzieści osiem lat temu, w celu zbadania losów konwoju czterech statków wiozących cztery tysiące osadników. Konwój dotarł do celu, lecz łączność z nim urwała się po wejściu statków na orbitę wokół docelowej planety. Biorąc pod uwagę odległość oraz prędkości podróże, w rejon Ksi mogłem dotrzeć nie wcześniej, jak w pięćdziesiąt lat po utracie łączności z konwojem. Na krótko przed końcem podróży statek nasz napotkał „Alfę”, jeden ze statków konwoju, dryfującą z małą prędkością w kierunku Układu Słonecznego. Na „Alfie” znaleźliśmy jednego starego człowieka, w stanie kompletnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. W dzienniku pokładowym, którego oficjalne zapisy kończą się opisem przygotowań do zejścia z orbity, znaleźliśmy także zapiski tego jedyne go pasażera „Alfy”. Wynikało z nich, że grupa terrorystów, ukrywająca się wśród hibernowanych osadników, zwitalizowana w pierwszej kolejności przez należącego do spisku członka załogi „Alfy”, dokonała rewolty i przejęła kontrolę nad pozostałymi uczestnikami wyprawy. Z zapisu wynikało, że pojemniki z ludźmi i sprzętem bezpiecznie osadzono na powierzchni planety, część osadników zwitalizowano i podporządkowano

oligarchicznej dyktaturze rebeliantów. Zdecydowałem, że należy zabrać na pokład owego półprzytomnego starca z „Alfy” i poddać go hibernacji. Wysłałem także meldunek na Ziemię i kontynuowałem lot w kierunku Ksi.

— Wszystko to wiemy z twojego meldunku - wtrącił generał. - Był dość lakoniczny, więc oczekiwaliśmy dalszych informacji. Ale oprócz raportów z powrotnego rejsu – nie nadeszły żadne nowe wiadomości.

— Nadeszłyby zaledwie cztery lata przed naszym powrotem. Uznałem to za zbyt mały zysk w porównaniu ze stratą, jaką moglibyśmy wszyscy ponieść, gdyby... ktoś niepowołany przechwycił szczegółowy raport.

— W porządku, mów dalej.

— Na Ksi zastaliśmy rzeczywiście pewien rodzaj dyktatury, nieudolnej zresztą, lecz niewątpliwie uciążliwej dla tamtejszej społeczności. Owszem, trzeba tym ludziom pomóc, bo popadli w tę sytuację z powodu naszego niedbalstwa i braku przezorności. Ale nie to jest najważniejsze w całej sprawie planety Ksi. W notatkach starca z „Alfy” znajduje się pewna sugestia, której w pierwszej chwili nie potraktowałem dostatecznie poważnie. Kiedy przeczytasz te notatki, sam przyznasz, że coś w tym jest. Rebelianci z konwoju nie mogli działać samodzielnie. Byli wykonawcami zadań wyznaczonych przez kogoś innego. Opanowanie planety Ksi, przejęcie kontroli nad tamtejszą kolonią - to tylko część szerszego planu. Nieznani mocodawcy, ulokowani gdzieś tutaj, na Ziemi lub w jej pobliżu, mają o wiele ambitniejsze zamiary. Zagrożone są wszystkie następne wyprawy osadnicze, wyruszające na inne planety. Przewrót na Ksi był zapewne pierwszą, próbną operacją tego rodzaju. Oni chcą otoczyć nas pierścieniem wrogich planet,

zaludnionych potomkami osiedleńców pochodzących z Ziemi.

— Wrogich? W jaki sposób chcą to osiągnąć?

— Bardzo prosto: przeinaczając fakty i odcinając ludzi od prawdziwych informacji. Na Ksiudało im się to prawie całkowicie już w trzecim pokoleniu osadników. Wzniecając nienawiść do Ziemi i wywołując po czucie zagrożenia z ich strony, zdołali stworzyć społeczność gotową bronić się przed nami jako przed zaciętym wrogiem dybiącym na ich niezależny byt. Stąd już prosta droga do zbudowania społeczeństwa gotowego dokonać w przyszłości inwazji Ziemi, oczywiście jako aktu prewencyjnego uprzedzającego nasz atak na nich.

Zapadło dłuższe milczenie, które przerwał generał, wstając i podchodząc do biurka.

— Rozumiem, Sloth. Mam nadzieję, że ludzie, którzy z tobą wrócili, nie znają sytuacji na Ksi?

— Oczywiście. Wszystkich, którzy ją poznali, zostawiłem tam, na ich życzenie zresztą. Resztę załogi trzymam w hibernacji, na statku. Obawiałem się...

— Że wśród nich mogą znajdować się ludzie tej... mafii?

— To prawdopodobne. Ziemskie kierownictwo spisku nie dysponuje własnym transportem międzygwiazdowym i nie posiada innych środków łączności z grupą terrorystów na Ksi oprócz naszych statków latających, na tej trasie. Być może snuli jakieś plany także wobec naszego fotonowca. Nie mogli tylko przewidzieć, że - na ich nieszczęście - spotkamy wracającą „Alfę” i zostaniemy ostrzeżeni, zanim przystąpimy do witalizacji pełnego składu załogi.

— Zaraz wydam polecenie dokładnego sprawdzenia kartotek wszystkich członków twojej załogi.

Generał rozmawiał przez chwilę z kimś przez telefon, a potem

znów usiadł naprzeciw Slotha.

— Ilu ludzi zostawiłeś na Ksi?

— Czterech. Wydaje mi się, że to rozsądni chłopcy. Ale sądzę, że ich działania nie będą miały większego znaczenia dla losów osadników.

— Trzeba będzie polecieć tam jeszcze raz, z dokładnie opracowanym planem akcji i przede wszystkim - ze specjalnie przeszkoloną, pewną załogą. Musimy bezwzględnie przywrócić tam normalne warunki życia. O objęcie dowództwa poproszę oczywiście ciebie.

— Oczywiście! - zachnął się Sloth. - Jestem dożywotnio skazany na tę trasę.

— Sam mówisz, że to nie tylko sprawa planety Ksi. Teraz wiąże się ona z bezpieczeństwem Ziemi!

— Porozmawiamy o tym za trzy miesiące. Jeszcze dziś składam podanie o należny mi urlop.

— Udzielam ci go od ręki.

— Jak to? Ty?

— Przejmuję cię pod moje rozkazy. Od tej chwili sprawa planety Ksi przechodzi do Wydziału Bezpieczeństwa Lotów. Terroryzm pozaziemski - to nasza dziedzina. Obowiązuje pełna tajemnica.

— Szefowie spisku, jeśli taki istnieje, wiedzą już, że wróciłem. Teraz będą się starali dowiedzieć, co słyhać u ich wysłanników. A ja jestem jedynym źródłem informacji.

— O tym, że akcja się powiodła, wiedzą już od pięćdziesięciu lat, to znaczy od czasu, gdy nie nadeszły spodziewane meldunki o lądowaniu osadników.

— Myślę, że upewnił ich o tym mój meldunek o spotkaniu z „Alfą”. Nie znaleźli tam zbyt wielu szczegółów. Zapewne,

podobnie jak wy, oczekiwali na dalsze raporty. Nie doczekali się ich. Cała informacja przyleciała ze mną: ten zeszyt i moja pamięć.

— Dam ci lepszą ochronę - powiedział generał.

— Najpierw sprawdź swoich ludzi. Mafia może mieć długie macki - uśmiechnął się Sloth. - A niezależnie od tego ciekaw jestem, kto za tym stoi. Ile nienawiści do ludzkości trzeba w sobie wyhodować, by wymyślić taki plan zemsty czy może przejęcia władzy.

— Myślisz, że chodzi o władzę?

— To bardzo prawdopodobne. Starzec z Alfy pisał wprawdzie w swych notatkach o „zemście z za grobu”, lecz ja nie mogę uwierzyć, by komukolwiek mogła wystarczyć tak mizerna satysfakcja. Jeśli nawet cała operacja ma na celu jedynie zemstę na ziemskiej cywilizacji, to jej inspiratorzy na pewno woleliby oglądać skutki swych działań własnymi oczyma.

— W dzisiejszych czasach nie jest to niemożliwe - westchnął generał. - Nie brak łajdaków, gotowych wykonać każde paskudne zadanie w zamian za osobiste korzyści. Wystarczy umiejętnie puścić w ruch odpowiednio zmyślny program działania, a samemu skryć się w biostatorze, by tylko od czasu do czasu wyjrzeć na świat dla skontrolowania przebiegu długotrwałej akcji. Nie trzeba niczego przyspieszać, wystarczy konsekwentnie dążyć do celu wszelkimi dostępnymi środkami - by za dwieście czy czterysta nawet lat doczekać wyników.

— Najsmutniejsze jest to, że środków dla łajdackich poczynań dostarczają ludzie działający w najlepszej wierze, rozwijający naukę, technikę, cywilizację. Zło jest potężne przez to, że chwytą się wszelkich środków, przed których użyciem wzdraga się dobro, skazując się tym samym na słabość. Boję się, że nie

zdołamy przechwycić szefów tej „mafii”. Oni śpią sobie niewinnie, ukryci w biostatorach. Całą brudną robotę wykonują za nich mniejsi łajdacy - jak ci z planety Ksi. Możemy chwycić tylko te drobne szczupaki; rekiny pozostają nietknięte, bo nikt nie zdoła im udowodnić działań wrogich wobec ziemskiej cywilizacji. Inspiratorzy mają czyste ręce. Tylko ich umysły są skażone złem, ale tego nie widać i nie sposób udowodnić.

Generał spojrzął na zegar. Przez chwilę błędził wzrokiem po ścianie pokoju, jakby zastanawiał się nad czymś.

— Południe - powiedział, zgarniając do szuflady papiery z biurka. - Myślę, że mój asystent poradzi sobie beze mnie. Polecimy do naszego ośrodka rekreacyjno-szkoleniowego, gdzie zarezerwowałem dla ciebie pokój. Zapraszam na obiad, jeśli nie masz innych planów.

— Planów! - Sloth roześmiał się głośno. - Od dawna już nie mieszkam własnych planów. Jestem ściśle wpisany w harmonogram Kosmocentrum! Czy wiesz, że odkąd rozpocząłem loty pozaukładowe, ani razu nie udało mi się pomieszkać na Ziemi przez pełne trzy miesiące?

— Wierzę, bo ze mną też było podobnie. A jeśli nie spodoba ci się w ośrodku, znajdziemy inne miejsce.

— Wszystko jedno! - Sloth machnął ręką z rezygnacją. - Przecież właściwie zupełnie nie znam Ziemi. Wpadam tutaj raz na kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt lat, a dowództwo pakuje mnie zaraz do rezerwatu niczym jakiegoś jaskiniowca.

Generał uśmiechnął się melancholijnie. Otworzył sejf w ścianie, schował dziennik pokładowy „Alfy” i zatrzasnął drzwiczki.

— Chodźmy - powiedział zagarniając Slotha ramieniem ku wyjściu. - Wyjaśnię ci kilka spraw, tak jak mnie wyjaśniono, gdy

wreszcie zdecydowałem się wycofać z lotów. Nie jest tak źle, jak myślisz. Ten dzisiejszy świat nie jest tak bardzo różny od naszego, dawnego, w którym żyliśmy w dzieciństwie.

— Wiesz... spojrzałem dziś na kalendarz i stwierdziłem straszną rzecz... - mruknął Sloth, gdy schodzili po krętych schodkach do podziemnego garażu. - Za kilka dni będę obchodził sto siedemdziesiąte ósme urodziny.

— Nic wielkiego. Co najwyżej okazja do wypicia butelki dobrego wina. Ja dociągam już do dwustu. Nie zaimponujesz mi, stary.

Sloth nieufnie oglądał małe odrzutowicz wprowadzony właśnie przez Bernta na platformę podnośnika.

— Wskakuj! - Bernt wcisnął przycisk, platforma ruszyła powoli w górę.

Po chwili znaleźli się na poziomie płyty kosmodromu. Sloth zajął miejsce obok generała w ciasnej kabinie samolotu.

— Co to za wehikuł?

— Samolot raketowy pionowego startu i lądowania. Bardzo szybki i zwrotny, ląduje byle gdzie. Cała policja używa takich maszyn. Za pół godziny będziemy na miejscu.

Samolot ryknął silnikami i zawisł na chwilę na wysokości kilkudziesięciu metrów nad płytą, a potem śmignął w górę, błyskawicznie nabierając wysokości.

— Popatrz sobie! - Bernt położył samolot w szeroki skręt.

Sloth spojrział przez prawe okienko kabiny. Z wysokości kilku tysięcy metrów poprzez czyste powietrze widać było ciągnącą się po horyzont sieć ulic i autostrad, nie kończący się obszar zieleni z luźno rozrzuconymi, jasnymi klockami budowli.

— Taki jest ten świat dzisiaj - powiedział Bernt cicho. - To miasto powstało w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, jako jedno

z wielu podobnych.

— Powrót do starych koncepcji urbanistycznych?

— Po prostu do zdrowego rozsądku. Kamienne dżungle dawnych miast były nie do wytrzymania już w czasach naszej młodości, ale wydawało się, że niczego nie da się zmienić.

— Zrealizowana utopia... - mruknął Sloth na pół do siebie.

— Zieleń, czyste powietrze, luźna zabudowa... Ciekaw jestem, jakim kosztem?

— Nie rozumiem?

— Czym ludzkość płaci za te luksusy? Nie potrafię uwierzyć, że udało się wszystko załatwić...

Bernt wyrównał tor lotu, przyspieszył gwałtownie. Mknęli teraz na wysokości dziesięciu tysięcy metrów wprost na południe. Na ekranie radaru widać było mrowie poruszających się punktów.

— Dostyc ciasno w powietrzu - zauważył Sloth.

— To jeszcze nic. - Bernt machnął lekceważąco ręką. – Zresztą centralna kontrola eliminuje praktycznie możliwość kolizji nawet przy większym ruchu. Odkąd zlikwidowano lotnictwo wojskowe, w powietrzu zrobił się luz. To samo na ziemi, po usunięciu baz wojskowych, terenów zamkniętych, poligonów raketowych okazało się, że jest mnóstwo miejsca na luźną zabudowę, na uprawy rolne...

— Pełne rozbrojenie?

— Tak, czterdzieści trzy lata temu.

— Nigdy w to nie wierzyłem.

— A jednak udało się. To była ostatnia szansa.

— Zwolniły się środki finansowe?

— Wyobraź sobie, że nie to było najistotniejsze! Przemysł zbrojeniowy napędza inne dziedziny życia, głównie technikę

i nauki ściśle. Gdy zabrakło tego stymulatora, od razu spadło obłędne tempo rozwoju techniki, nie służącej bezpośrednio ludziom. Osiągnięto stabilizację na zupełnie przyzwoitym poziomie rozwoju. Do tego jeszcze udało się prawie całkowicie zahamować wzrost populacji, dość równomiernie rozdzielić dobra konsumpcyjne...

— Nie do wiary! - Sloth pokręcił głową z mieszaniną podziwu i nieufności. - Jakiż to ustrój społeczny udało się zrealizować?

— Wiesz, to trudno określić w kategoriach znanych ci sprzed stulecia - uśmiechnął się generał. - Żadna z dawnych koncepcji społeczno-ekonomicznych nie ostała się wobec zmiany warunków. Istotne było to przede wszystkim, że porzucono dogmaty, do których tak przywiązani byli ideolodzy dawnego świata. Zwyciężyła zasada pragmatyzmu. Z każdej doktryny wzięto jej najlepsze założenia, najskuteczniejsze metody. Jak dotąd, wszystko to funkcjonuje nie najgorzej.

— A system władzy? Czy udało się stworzyć warunki dla pełnej demokracji?

— Hm... Nazwijmy to „demokracją racjonalną”.

— To coś nowego.

— Po prostu społeczeństwo decyduje o wszystkim większością głosów, kontroluje władzę. Ale prawo zabierania głosu przysługuje tylko tym obywatelom, którzy są w porządku wobec społeczeństwa. Usunięto w ten sposób podstawową usterkę klasycznej demokracji. Społeczeństwo kontroluje nie tylko władzę, lecz także poszczególne jednostki; natomiast jednostka uczestniczy w tej kontroli tylko wówczas, jeśli społeczeństwo akceptuje jej postawę i kwalifikacje do udziału w sprawowaniu kontroli.

— To dość skomplikowane.

— Jak pożyjesz tutaj, zrozumiesz.

— Za pięćdziesiąt lat będzie znowu inaczej.

— Więc jednak polecisz?

— A co mi pozostaje? - westchnął Sloth.

— Ty po prostu boisz się wrócić na dobre do tego świata. Wracasz z ciekawości i nostalgii, a potem szybko znów chcesz uciec.

— Nieprawda. Wracam, bo tu są fajne dziewczyny, dobre trunki i parę miłych miejsc. A potem znowu wsysa mnie próżnia.

— Słowo w słowo tak samo mówiłem. - Generał uśmiechnął się ironicznie. - Wszyscy jesteśmy kłamcami. Po prostu boimy się powoli umierać patrząc na ten kochany, dobry, cholerny świat.

— Nie wszystko mi powiedziałeś, Bernt. Świat, który przedstawiłeś, nie może istnieć. Albo czegoś brakuje w jego opisie. Ten model jest niekompletny.

Generał patrzył w kierunku jeziora, na leniwie przesuwaną się kolorowe żagle. Sloth podszedł do balustrady tarasu i wsparty obiema rękami obserwował spacerujące wzdłuż plaży grupki młodych ludzi. Zauważył dość istotną zmianę plażowych obyczajów w porównaniu z tym, co pamiętał sprzed pół wieku, gdy spędzał swój krótki urlop na jednej z wysepek archipelagu Filipin. Po raz nie wiadomo której powróciła moda „retro”, dziewczyny paradowały w obcisłych trykotach do kolan, a każdy głębszy dekolt przyciągał spojrzenia mężczyzn.

Jak śmiesznie drepce w kółko ten poczciwy świat, pomyślał Sloth. Przynajmniej pod pewnymi względami.

— Masz rację, Sloth. Nie opowiedziałem o wszystkim. Są w naszym współczesnym świecie problemy, trudności...

— Nawet walka. Mimo powszechnego rozbrojenia.

— Skąd wiesz?

— Zło żywi się dobrem. W dobrym świecie zło musi się wcześniej czy później zalęgnąć, jak myszy w pełnym spichlerzu.

— Powiedziałbym nawet, że zło rodzi się z dobra. Dlatego nie sposób go wyplenić. To szczególny rodzaj samoródtwa – westchnął Bernt. - Naszym największym problemem jest teraz zwykły, bezsensowny terroryzm. Socjologowie twierdzą, że jest on konsekwencją naszych z gruntu dobrych zasad społecznych i to czyni walkę z nim tak trudną i właściwie beznadziejną.

— A ty zgadzasz się z socjologami? - Sloth odwrócił się gwałtownie w stronę generała.

— Widzisz... Nie można zaprzeczyć pewnym oczywistym... prawidłowościom - powiedział Bernt powoli cedząc słowa. – Mechanizm zjawiska można przedstawić w uproszczeniu następująco: kiedy system społecznej kontroli nad władzą udoskonala się do tego stopnia, że żaden karierowicz, człowiek bez kwalifikacji, dureń czy złodziej nie może ani przez chwilę utrzymać się na kierowniczym stanowisku – powstaje natychmiast społeczna klasa tych właśnie odrzuconych, pozbawionych szansy realizacji swych ambicji. Piastowanie kierowniczych stanowisk daje - siłą rzeczy - pewne przywileje, korzyści, osobiste wygody. Dopóki jednak społeczeństwo uznaje przydatność wyłonionych spośród siebie przywódców, dopóki akceptuje ich kierowniczą rolę - godzi się także, w pewnych granicach, na ich uprzywilejowany status społeczny. Zwłaszcza że odwołany ze stanowiska wraca do normalnego, przeciętnego bytowania wśród reszty obywateli. W takim systemie człowiek nieuczciwy, nawet jeśli uda mu się prześlizgnąć na kierowniczą pozycję, nie przetrwa na niej długo. Nasza konsekwentna polityka społeczna pozbawia szans przewodzenia dość liczną klasę obywateli, którzy w innym, mniej doskonałym systemie

czuliby się jak ryby w wodzie. Cóż im pozostaje? Bezsilna złość lub zorganizowana walka z systemem. Systemu takiego jak nasz nie da się pogorszyć stopniowo. Konieczny jest frontalny, zmasowany atak, pełna destrukcja systemu, doprowadzenie do chaosu, z którego może wyłonić się zupełnie inna forma władzy, oparta na przemocy i braku wszelkich skrupułów wobec społeczeństwa.

— Na planecie Ksi mieliśmy właśnie do czynienia z czystym, laboratoryjnym niemal przypadkiem takiego działania - wtrącił Sloth. – Ale było to możliwe tylko przy pełnej izolacji tej małej społeczności i braku możliwości przeciwdziałania.

— Wbrew pozorom, na Ziemi terroryzm ma również dość dobre warunki działania. - Bernt uśmiechnął się smutno. - W dobrobycie i względnym spokoju społeczeństwo szybko się dezintegruje, rozbraja, rozpada na jednostki, które trudno zmobilizować do wspólnych akcji. Dlatego każda zorganizowana grupa, choćby niewielka, staje się istotną siłą, zdolną do skutecznych działań. To daje szansę terrorystom w naszych, ziemskich warunkach.

— Sądzę, że macie tutaj jakichś... specjalistów od zwalczania terroryzmu?

— Całą armię! - Generał wskazał dłonią w stronę plaży. - To jedyny sposób na zachowanie równowagi. Popatrz! Co najmniej jedna trzecia spośród tych młodych ludzi w kolorowych majtkach to nasi agenci. Tutaj, w ośrodku, jest ich szczególnie dużo, bo oprócz pełniących służbę są także wypoczywający lub szkolący się funkcjonariusze Bezpieczeństwa Lotów. Terroryści lubią szwendać się w okolicach portów kosmicznych, podobnie jak ongiś byli plagą dworców i linii lotniczych. Dlatego mamy, oprócz ogólnoswiatowej służby policyjnej, także specjalne

oddziały antyterrorystyczne na kosmodromach.

Sloth nalał sobie pół szklanki musującego napoju i wrzucił do niego kilka kostek lodu. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na bąbelki gazu strzelające nad powierzchnię płynu. Poczłł nagle nieodpartą chęć wyłączenia się ze wszystkich spraw mających związek z kosmosem, terroryzmem, społecznymi problemami Ziemi i innych planet...

Cóż mnie obchodzi ten cholerny świat, który ze zmiennym szczęściem, trwa tutaj od wieków, bez mojej pomocy? pomyślał z nagłym uczuciem znużenia. To nie są moje kłopoty, ja wyłączyłem się, czy może mnie wyłączono z tego świata już sto kilkadziesiąt lat temu, a jeśli jestem do czegoś potrzebny, to nie tutaj... Jeśli jednak tu zostanę, nie przydam się wprawdzie już na nic, ale za to zdążę jeszcze odrobić wszystkie lata zmarnowane na kosmicznych szlakach, na monotonnych wachtach we wnętrzu statków pędzących przez morza pustki, na powierzchni obcych, martwych globów...

Wielokrotnie zastanawiał się nad motywami swojej młodszej decyzji wybrania zawodu kosmicznego pilota - i zawsze dochodził do tej samej myśli, tkwiącej u podstaw wyboru. To nie obce planety go pociągały, to nie ciekawość innych światów, nie pasja dalekich podróży. Od dwudziestego trzeciego roku życia, gdy otrzymał pierwszy przydział do załogi kosmicznego pojazdu, Sloth nieustannie uciekał przed światem sobie współczesnym, uciekał przed nieuchronnością przemijania razem z nim. Pragnął przeżyć ten świat, oszukać upływ czasu, boleśnie dotykający tego wszystkiego, z czym człowiek wiąże się na stałe: osobistych pamiątek, domów, miast, kobiet... W rezultacie, ze stu siedemdziesięciu ośmiu lat swego istnienia, na Ziemi spędził mniej niż trzydzieści — dzieciństwo, studia i...

krótkie przerwy między kolejnymi podróżami; kilkanaście lat pochłonęły kosmiczne wachty i pobyt na planetach paru układów gwiazdnych; reszta — to były długie przerwy w życiorysie: hibernacje, anabiozy, stany biostatyczne. Właściwie nie miało to sensu, skonstatował, nie po raz pierwszy zresztą. Uciekłem tylko przed ludźmi. Moi rówieśnicy i późniejsi przyjaciele nie istnieją, a świat, powtarzający wciąż te same ograne schematy w coraz to nowych dekoracjach, czeka tylko, bym wreszcie przyłgnał do niego i wtopił się w nieubłagany strumień przemijania. Ale ja się jeszcze nie dam!

— Powiedziałaś: bezsensowny, bezideowy terroryzm. Czy nie tkwi tu błąd, który podważa skuteczność zwalczania tego zjawiska?

Generał przeniósł spojrzenie z horyzontu na twarz Slotha.

— Wiem, co masz na myśli. Gdy mówiłeś o mafii, kierującej rebeliantami z Ksi, także zacząłem się nad tym zastanawiać! Można by rzeczywiście założyć, że poszczególne akty terroru - tu, na Ziemi i gdziekolwiek - nie muszą być dziełem niezależnych sił. Wykonawcy są różni, lecz inspiracja może pochodzić z jednego lub kilku silnych, dobrze zorganizowanych centrów kierowania. Cele wykonawców są mniejsze i bardziej trywialne, lecz w sumie zbieżne z dalekosiężnymi celami inspiratorów. Szeregowy terrorysta ma niewiele czasu, spieszy się, działa intensywnie, by osiągnąć swój partykularny, ograniczony cel w ograniczonym okresie swego życia. Jego mocodawca nie musi działać pochopnie, może zapoczątkowywać długotrwałe procesy stopniowej destrukcji społeczeństwa, może kruszyć system społeczny powoli, małymi krokami, formować samoewoluujące struktury wrogie temu systemowi.

— Musicie uderzyć w ośrodki dyspozycyjne. Bez tego

wszystkie wysiłki będą daremne.

— To wymaga czasu i przygotowań. A przede wszystkim. - zlokalizowania tych ośrodków! Tymczasem jednak trzeba konsekwentnie walczyć z objawami. Planeta Ksi jest jednym z nich.

— Kiedy myślę o tym, co się stało na Ksi, utwierdzam się coraz bardziej w przekonaniu, że starzec z „Alfy” miał rację. Buntownicy byli tylko narzędziem, tępowym zresztą, w cudzych rękach. Pomyśl: jak precyzyjnie musiała być przygotowana operacja przejęcia kontroli nad konwojem! Trzeba było przemycić dziesięciu spiskowców do zespołu osadników, których przecież selekcjonowano bardzo dokładnie. A ponadto - jednego jeszcze wcisnąć do załogi konwoju. Tego nie mogli zorganizować samodzielnie ci sami prymitywni ludzie, którzy potem, po przejściu władzy, zupełnie nie potrafili poradzić sobie ze społeczeństwem inaczej, jak tylko metodami przymusu i represji.

— Jeśli jest tak, jak zakładamy, to na co u licha liczy centrala hipotetycznej mafii? W jaki sposób mogą zagrozić Ziemi społeczeństwa tak marnie się rozwijające jak kolonia na planecie Ksi?

— Być może przeceniono możliwości umysłowe i zdolności organizacyjne rebeliantów. Ale można także przyjąć, że nie liczone na nic innego jak tylko na wszczęcie ludzom nienawiści do Ziemi. Złe warunki bytowe sprzyjają takiej indoktrynacji, należy tylko... umiejętnie wskazywać winnych. Wszystkie niepowodzenia społeczeństwa planety Ksi będą uzasadnione wrogą działalnością Ziemi. Każda nasza interwencja dostarczy tamtejszej władzy nowych argumentów przeciwko nam. A czas nie odgrywa zasadniczej roli, przynajmniej z punktu widzenia tych, którzy kierują tą globalną

dywersją.

— Tak... - General pokiwał głową. - Ich plan może być o wiele precyzyjniejszy, niż nam się wydaje. Trzeba dobrze się zastanowić, zanim podejmiemy jakieś kroki. Być może chcemy ścigać własne urojenia. Ale nie wolno nam zlekceważyć tej sprawy. Potomni by nam nie wybaczyli.

Wstał ociężale, jakby z niechęcią rozstawał się z widokiem jeziora i błękitnego nieba nad wodą. Nie odrywając oczu od krajobrazu powiedział:

— Zostawiam cię tutaj w spokoju na parę dni. W ścianie pokoju jest sejf. Znajdziesz tam broń osobistą z instrukcją użycia. Miejscowa ochrona dostała odpowiednie polecenia, a niezależnie od tego przysłałem tu paru moich agentów w cywilu.

Przypuszczam, że w ciągu trzech czy czterech dni uda ci się sporządzić szczegółowy raport, a ja spróbuję przygotować dla ciebie odpowiednią załogę. W sprawie Ksi nie rozmawiaj z nikim oprócz mnie, i to tylko osobiście. Żadnych telefonów, żadnych posłańców. Gdy będę miał do ciebie sprawę, przylecę osobiście. Jesteś tu raczej bezpieczny, ale uważaj, zwłaszcza na kobiety! Jeśli nasze hipotezy są słuszne, to centrala mafii, wcześniej czy później, będzie chciała dowiedzieć się szczegółów o sprawie Ksi.

Uścisnął dłoń Slotha i zaczął powoli schodzić z tarasu w dół. W połowie schodków zatrzymał się jeszcze i spojrzał na komandora.

— Pamiętaj! Pisz ręcznie, w jednym egzemplarzu! Żadnych maszyn do pisania! Rękopisy chowaj do sejfu! - powiedział dobitnie.

— Dlaczego?

— Są sposoby na odczytanie tekstu na podstawie zarejestrowanego stuku maszyny do pisania. Każda czcionka

wydaje nieco inny dźwięk!

— Żartujesz?

— Bynajmniej. Kryminologia zrobiła postępy.

Sloth wszedł do pokoju i przyciskiem w ścianie zasunął za sobą oszklone drzwi od strony tarasu. Przyjrzał się szybom. Były wyjątkowo grube, lecz pod naciskiem dłoni ugiwały się dość miękko. Z chwilą zamknięcia drzwi włączył się szumiący cichutko klimatyzator. Sloth podszedł do ściany i zdjął z niej oprawną w ciężkie ramy reprodukcję starego obrazu. Spojrzał na skrawek papieru, na którym zanotował szyfr zamka i otworzył sejf Przedmiot, który tam znalazł, w niczym nie przypominał broni. Sloth przejrzał załączoną kartkę z instrukcją i umieścił przedmiot we wnętrzu dłoni.

Konspekty powieści napisanych

1. Tytuł roboczy: „Człowiek z rury Holfa”

Tytuł ostateczny: Cylinder van Troffa

Umowa z dnia 24 marca 1977

Młody naukowiec przedstawia pracę z dziedziny historii cywilizacji ziemskiej. Praca dotyczy tzw. epoki Rozszczepienia. Nazwą tą określa się pewien odcinek dziejów cywilizacji, obejmujący wieki XXII i XXIII. Jest to okres regresu cywilizacyjnego, chaosu i anarchii. Niewiele zachowało się źródeł i dokumentów dotyczących tego okresu. Opracowanie młodego naukowca opiera się na dokumencie zwanym umownie „Notatnikiem Nieśmiertelnego”. Ów Nieśmiertelny jest postacią na poły legendarną. Według niektórych badaczy był członkiem załogi jednego z międzygwiazdnych kosmolotów, który opuścił Ziemię w XXI wieku i powrócił - ze znacznym opóźnieniem w stosunku do planowanego terminu - po stu kilkudziesięciu latach, a więc w samym środku owej niezbyt dobrze zbadanej epoki Rozszczepienia. Dziś, w XXIV wieku, zapiski poczynione przez tego człowieka stanowią bezcenny dokument historyczny. „Notatnik” obejmuje jednakże bardzo długi wycinek czasu i przedstawia fakty rozrzucone po dwóch wiekach historii. Według hipotez niektórych uczonych „Nieśmiertelny” korzystał z hipotetycznego urządzenia zwanego rurą Holfa (urządzenie nie znane po epoce Rozszczepienia, jak wiele innych, które zginęły w chaosie tego okresu. Dzięki rurze Holfa człowiek może trwać poza upływem czasu, a więc tym sposobem Nieśmiertelny mógł przenosić się do coraz późniejszych epok, oczywiście w ramach

pewnej sumy lat czynnego życia).

Młody historyk wysuwa hipotezę, zgodnie z którą Nieśmiertelny istnieje nadal: albo w stanie czynnym, działając wśród ludzi XXIV wieku, albo trwając w rurze Holfa. Tylko - gdzie znajduje się ten aparat? I dla-c/ego „Notatnik” znalazł się w rękach badaczy, zamiast tkwić w kieszeni właściciela?

Młody uczonek jest bliski rozwiązania zagadki Nieśmiertelnego. Przedstawia swemu promotorowi wnikliwe i obszerne opracowanie tekstu „Notatnika” wraz z uwagami i wnioskami popartymi różnymi dowodami np. bytność Nieśmiertelnego w kilku odległych w czasie momentach historii ziemskiej.

Trzeba tu wyjaśnić, że w wieku XXIV Ziemia nie jest już centrum ludzkiej cywilizacji. To planeta leżąca poza głównym nurtem cywilizacji; panują na niej zupełnie znośne warunki dla spokojnych ludzi; jest poza tym obszarem intensywnych badań archeologicznych i historycznych. Z zapisów „Notatnika” wyłania się obraz przemian i procesów, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy. Powieść przedstawia jeden z możliwych, oryginalny w pomysłach, niekatastroficzy model zamknięcia cyklu cywilizacyjnego, i początku kolejnego cyklu rozwoju ludzkości: poprzez oddzielenie się rozsądku od głupoty, twórczej myśli od destrukcyjnej bezmyślności, umiaru od ekstremizmu. Od tego właśnie faktu - a nie, jak można by przypuszczać, od skutków broni nuklearnej — bierze swą nazwę epoka Rozszczepienia, rozszczepienia ludzkości na części, z których jedna niszczy samą siebie, druga zaś stanowi kontynuację tych lepszych cech ludzkości.

Młody naukowiec nie zdołał obronić swej pracy doktorskiej: zniknął w tajemniczych okolicznościach. Prawie równocześnie

znika też jego promotor. Całą historię relacjonuje przyjaciel młodego historyka, który odnalazł brudnopisy pracy (inne materiały, a także sam „Notatnik”, zginęły wraz z właścicielem). Kolejny badacz rozwija teorię swego poprzednika. Postuluje, że Nieśmiertelny przenosi się w coraz późniejsze epoki, aby dotrzeć do czasu, gdy postęp wiedzy pozwoli mu na ulepszenie rury Holfa, by zaczęła działać także wstecz. Żeby zaś zapewnić sobie bezpieczeństwo, usuwa wszelkie materiały, które mogłyby umożliwić wytropienie go wśród współczesnych mu ludzi. Zapewne to jest powodem zniknięcia doktoranta, jego pracy i promotora. Niewykluczone, twierdzi narrator (kolega zaginionego naukowca), że Nieśmiertelnemu uda się powrócić w przeszłość, może w ostatnie lata XX wieku, w czasy swego narodzenia. Jeśli tak ma być, to w, starych archiwach, dokumentach czy choćby literaturze z tego zamierzłego okresu może znajdować się jakiś ślad, jakieś echo tej całej historii, która musiałaby powrócić tam ze swoim bohaterem.

W ostatnim fragmencie powieści narrator informuje, że odnalazł w magazynach Biblioteki Lunarnej, w skrzyni ze starymi książkami zakwalifikowanymi jako „pozycje bez większej wartości, nie stanowiące źródła informacji historycznej”, wśród opowieści S F i kryminałów przeznaczonych w zasadzie na makulaturę, egzemplarz książki z XX wieku. Uderzyła go dziwna zbieżność: tytuł książki brzmi Człowiek z rury Holfa... Narrator pisze: “Wydaje mi się, że to jest to, czego szukam. Jeśli nikt mi nie będzie przeszkadzał, wkrótce tajemnica Nieśmiertelnego będzie wyjaśniona. Aha, akurat! Właśnie ktoś dzwoni do drzwi. Pewnie studenci. Że też człowiek nie może mieć chwili spokoju..... “

Na tym urywa się tekst książki. Poniżej, w poprzek strony albo

na ukos (w wydrukowanym egzemplarzu powieści), widnieje odręczny dopisek (najlepiej w kolorze, np. na czerwono) tej treści:

„Zdaje się, że przybyłem w porę. Dzięki temu nikt w XXIV wieku nie będzie już mógł tego przeczytać. Rura gotowa, wracamy jutro. N.”

2.Tytuł roboczy: „Kwadratura”
Tytuł ostateczny: Wyjście z cienia
Umowa z „Naszą Księgarnią”
z dnia 18 kwietnia 1977 rozwiązana
Umowa z „Czytelnikiem” z dnia 7 stycznia 1978

Poznajemy codzienne życie mieszkańców pewnego miasta na Ziemi, jak się należy domyślać, w niezbyt odległej przyszłości.

W normalny tok zrozumiałych zdarzeń wplata się niekiedy coś niezrozumiałego, zagadkowego - wydarzenia, reakcje ludzi, dziwne, nie wiadomo czego dotyczące rozmowy... Te niejasne fakty zdają się jednak być zupełnie naturalne w oczach bohatera, który prowadzi czytelnika przez ten nowy świat.

W miarę narastania fabuły zaczynamy się orientować, że na Ziemi zaszło coś niezwykłego - na tyle dawno, że zdążył się już wytworzyć pewien ustalony stan, pewne reguły życia w zmienionych warunkach.

Poprzez ukazane obrazy dochodzimy sedna sprawy: Ziemia jest od pewnego czasu pod pewnego rodzaju „okupacją” obcych istot.

Stopniowo rozszyfrowujemy reguły rządzące tą sytuacją, a tak/c poznajemy pewne cechy „przybyszów” i metody ich działania oraz ich cele i zamierzenia.

Sytuacja - wobec przewagi „obcych” - wydaje się być

nieodwracalna. Tymczasem ludzie potrafią jakoś dawać sobie radę, częściowo dostosowując się, częściowo zaś oszukując intruzów.

W rezultacie okazuje się, że pewne specyficznie ludzkie cechy, niedostatecznie rozpoznane przez „obcych” i nie uwzględnione należycie w ich rachubach, dają ludziom szansę uwolnienia się spod ich władzy. W chwili gdy kończymy naszą wizytę w okupowanym świecie, mamy pewność, że obcy muszą ugiąć się przed prawowitymi mieszkańcami Ziemi, którzy w obliczu zagrożenia poniechali tego wszystkiego, co ich dzieliło, stanowiąc o dotychczasowej słabości.

3. Tytuł: Cała prawda o planecie Ksi Umowa z dnia 22 marca 1979

Osnową powieści jest sprawa grupy osadników, którzy mieli osiedlić się na planecie innego układu, lecz z nieznanych przyczyn zerwali kontakt z Ziemią. Z Ziemi wyrusza ekspedycja mająca zadanie wyjaśnić, co się wydarzyło.

Ekspedycja napotyka jeden ze statków osadników, wracający ku Ziemi, z jednym tylko człowiekiem na pokładzie. Człowiek ten, były pilot kosmiczny, jest w stanie zupełnego rozstroju psychicznego i nie można z nim nawiązać kontaktu. Istnieją jednak notatki w dzienniku pokładowym - dotyczące podróży w obie strony. Brak jednakże informacji, co się stało z resztą ludzi.

Z zapisków poczynionych ręką pilota, który wraca, wynika jakaś dramatyczna historia o terrorystach, którzy opanowali społeczność osadników, o bohaterskiej walce i następnie ucieczce grupy ludzi pod wodzą tegoż pilota, o okolicznościach, w jakich zginęli wszyscy oprócz niego. Ostatnie zapisy noszą już cechy

paranoicznych urojeń, co stawia pod znakiem zapytania wiarygodność całego zapisu.

Ekspedycja zastaje na planecie społeczeństwo (trzecie pokolenie od chwili osiedlenia się) w jakichś dziwacznych warunkach społeczno-politycznych: piękne hasła byłych anarchistów, mających zamiar stworzyć sprawiedliwy i szczęśliwy ustrój, wyrodziły się w totalizm, nepotyzm i po prostu feudalne stosunki społeczne. Do tego jeszcze ludzie przesiąknięci są nienawiścią do Ziemi, bo wmówiono im, że ich przodkowie zostali z Ziemi deportowani, czy też po prostu wyszczuci.

Pilot - uciekinier okazuje się być jednym z byłych przywódców buntu, który opuścił planetę, gdy jego ambicje i żądza władzy nie zostały zaspokojone... Uciekł sam, stworzywszy sobie - w miarę upływu czasu i postępów choroby psychicznej - mit o sobie samym jako bohaterze, bojowniku o sprawiedliwość, przywódcy nie istniejącej grupy, której miał rzekomo przewodzić. Z upływem czasu sam uwierzył we własne urojenia i stworzył sobie w powracającym statku własny świat z wyobraźni, który opisał w dzienniku pokładowym...

Ekspedycja próbuje zaprowadzić na planecie rozsądne stosunki społeczne, jednak okazuje się to bardzo trudne: zdegenerowane i zdegradowane ustrojowo społeczeństwo nie jest w stanie wyobrazić sobie innego modelu stosunków niż ten, w którym żyje. Członkowie wyprawy ratunkowej - technicy, lekarze, fizycy, biolodzy - nie są kompetentni w zagadnieniu „resocjalizacji społeczeństwa”. Trzeba zawezwać inną ekipę, złożoną z psychologów, socjologów, ekonomistów.’

4.Tytuł: Limes inferior

Umowa z dnia 24 sierpnia 1979
Termin złożenia pracy: 31 sierpnia

Powieść przedstawia świat uporządkowany i ustabilizowany, w którym zrealizowano - w granicach praktycznych możliwości - wiele spośród odwiecznych dążeń i ideałów społecznych. Pociąga to za sobą szereg efektów ubocznych, których teoretycy nie byli w stanie przewidzieć, lecz efekty te są nieodłącznym składnikiem zrealizowanego systemu i działają w jego ramach, tolerowane przezeń tak, jak w każdym innym systemie z konieczności toleruje się przeróżne wykwyty cywilizacji. Takim produktem ubocznym świata tej powieści jest l i f t e r (zresztą nie tylko), bohater powieści. Ludzie jemu podobni stanowią margines społeczeństwa, tym jednak różny od marginesu w znanym nam współcześnie sensie, że nieuciążliwy dla reszty obywateli. To nie pasożyt, a raczej konsymbiota społeczny. Jak dziś np. waluciarz, potępiany przez prawo, nie budzi zdecydowanie negatywnych uczuć u poszczególnych obywateli, którzy dobrze wiedzą, że w życiowej okoliczności mogą być zmuszeni do korzystania z jego usług - tak lifter w tamtym społeczeństwie też niejednemu, uczciwemu w zasadzie obywatelowi przydać się może...

By zrozumieć, kim jest lifter, trzeba znać zasady funkcjonowania omawianej społeczności. Otóż, w myśl idei likwidacji społecznych różnic, wszyscy obywatele posiadają z założenia jednakowy poziom wykształcenia - powszechne wykształcenie zwane wyższym (owa „wyższość”, jak wszystko we Wszechświecie, jest względna i dostosowana do realnych możliwości realizacji założenia wyjściowego...). Tym samym znika dawne kryterium oceny społecznej przydatności, jakim był ongiś poziom wykształcenia. Z drugiej jednakże strony niezbędne

są w praktyce pewne kryteria różnicujące, choćby dlatego, że w omawianym społeczeństwie nie wszyscy muszą pracować, a istniejące stanowiska pracy wymagają ludzi o najwyższych walorach umysłowych. Kryterium staje się zatem potencjał intelektualny: ludzie są klasyfikowani według możliwości umysłowych, a nie według posiadanej wiedzy. Jest to racjonalne wyjście, bo już w czasach nam współczesnych programy nauczania nie nadążają za potrzebami życia i absolwenci przystępujący do pracy muszą właściwie uczyć się większości rzeczy na nowo, podczas pracy... A więc liczy się potencjalna możliwość przyswajania wiedzy i praktycznych umiejętności, i według tej możliwości drogą testów segreguje się ludzi na siedem klas intelektualnych. Najinteligentniejsi - to „zerowcy”. Szóstak jest najslabszy umysłowo i w zasadzie, podobnie jak niewiele lepszy od niego piątak, nie ma szans podjęcia pracy w tym nowoczesnym, wysoce zautomatyzowanym świecie. Nie znaczy to, by ktokolwiek pozostał bez środków do życia. Każdy dostaje zupełnie niezłe zaopatrzenie, nie jakiś tam nędzny zasiłek. Ten nowoczesny świat, ta technika i nauka wykorzystane racjonalnie pozwalają utrzymać wszystkich na dobrym poziomie życia. Tak więc można, jako szóstak, żyć sobie spokojnie. Co nie każdemu jednak wystarcza i niektórym chce się osiągać - w drodze doskonalenia lub inaczej - wyższe klasy intelektualne. Jest to społecznie korzystne, nawet stymulowane przez społeczeństwo: za wyższą klasę dostaje się dodatkowe premie. A ci z wyższych klas, aby nie czuli się ukarani za swój intelekt (bo oni muszą pracować), dostają jeszcze dodatkowo premie według realnie wykonanej pracy.

Lifter to taki spec, co pomaga (zwykle poprzez sprytne oszustwo) osiągnąć wyższy stopień kwalifikacyjny. Klient płaci,

a lifter umożliwia oszustwo służąc swym wysokim intelektem. Aby być lifterem, trzeba samemu mieć wysoką klasę, lecz nie można jej oficjalnie ujawniać - bo wtedy trzeba by się wziąć do uczciwej pracy, dającej, mimo wszystko, mniej korzyści materialnych i zabierającej więcej czasu... Najlepiej dla liftera, gdy ma czwórkę oficjalnie, a naprawdę - zero. (Szczegółowiej o tym w załączonym szkicu jednego z rozdziałów powieści. Zaznaczam, że tekst nie jest ostateczny literacko i trzeba go traktować jako szkic).

Lifter - bohater powieści - jest najprawdziwszym zerowcem. Swój proceder uprawia z zamiłowaniem, ale też i dla niebagatelnych korzyści materialnych. Zawsze znajdzie się ktoś z pieniędzmi (występującymi w świecie powieści w zmodyfikowanej formie, lecz wszechobecnymi), czyje ambicje sięgają wyżej niż umysłowe możliwości. A o pieniądze nieraz łatwiej niż o rozum, więc lifter prosperuje znakomicie. Oczywiście, jako przestępca wobec prawa, balansuje na krawędzi wpadki. Wprawdzie ludzie traktują lifting z pobłażaniem, choć nie bez zazdrości (te dochody!), lecz generalnie w skali społecznej proceder jest ścigany. Pojedynczy obywatel traktuje liftera jako adwokata - obrońcę pojedynczego członka społeczeństwa przed machiną społeczną. A adwokatowi - w imię dobra klienta - wolno wyrównać szansę klienta wobec maszyny, nawet drogą wybiegów...

Nasz lifter wpada wreszcie. Spodziewa się najgorszego, lecz spotyka go dziwna niespodzianka: zamiast kary zostaje przekwalifikowany na zerowca, zgodnie z poziomem umysłowym, otrzymuje związane z tym przywileje, ale... skierowany zostaje do pracy jako laborant w jakiejś instytucji, gdzie mógłby pracować zwykły czwartak. Co więcej, wobec

współpracowników - trzeciaków, dwójaków i pierwszaków, ma uchodzić nadal za czwartaka! Jest zatem utajonym zerowcem wśród ludzi o faktycznie niższej klasie niż on. Ma za zadanie udawać głupszego niż jest, a równocześnie czuwać nad pracą całego instytutu, kierować nim nieomal. Wprcdce stwierdza, że dyrektor placówki - de nominc erowiec, musiał chyba uzyskać tę klasę w drodze liftingu... O cóż więc tu chodzi?

Nasz były lifter zaczyna poznawać nowe oblicze świata, który, jak sądził, znał tak dobrze. Znał, lecz... z punktu widzenia czwartaka. A teraz widzi, że zerowcy - to jedyni liczący się intelektualnie członkowie tej społeczności. To na ich głowie spoczywa troska o funkcjonowanie tej całej maszyny. To co robią pierwszacy, dwojacy itd. to tylko kamuflaż dla utrzymania pewnych pozorów ich przydatności, a cała klasyfikacja od jedyńki do szóstki ma na celu stymulowanie rozwoju umysłowego jedynie jako sztuka dla sztuki, bo tych mądraków nie tak znowu wielu potrzeba, a poza tym ci na dole i tak nie będą nigdy zerowcami, chyba że przez lifting. Oni sami oczywiście wierzą święcie w celowość i mądrość tego, co robią. Zadaniem naszego bohatera i wielu innych utajonych zerowców jest, aby w to wierzyli. Podpowiada im zatem - metodą głupich uwag i pytań przygłupiego laboranta - problemy naukowe i ich rozwiązania, by utrzymać pracowników instytutu w przeświadczeniu o ich genialności - dla psychicznego zdrowia ogółu.

A tymczasem prawdziwe życie umysłowe, prawdziwa nauka - to domena wyłącznie zerowców. I nie jest wcale tak, jak wydaje się tym z niższych klas, co wzdychają tęsknie: „ach, być zerowcem!” Życie zerowca nie jest takie proste. Zerowiec bowiem zerowcowi nierówny: może być zerowcem

ośmiokątnym, a może też być zaledwie czworokątnym czy zgoła trójkątnym. Zero okrągłe jest tylko nieosiągalnym ideałem, absolutem, abstrakcją, jak granica matematyczna ciągu wielokątów foremnych coraz większej liczbie kątów... To nie takie proste jak w niższych klasach. Tu liczba stopni klasyfikacyjnych jest nieskończona, ile byś nie osiągnął, zawsze ktoś może cię przeskoczyć, jeśli spocznieś na laurach. Istnienie zerowca okrągłego jest problemem należącym do kategorii rozważań filozoficznych...

Nasz były lifter, tak świetnie radzący sobie w społeczeństwie na niby, teraz zmuszony jest do największego wysiłku umysłowego, by utrzymać się i piąć w górę. Ale jest autentycznie zdolny i sprytny. Talentem, sprytem wgryza się w tę nową dla niego sytuację i dochodzi do znaczących pozycji wśród innych zerowców (a doświadczenia liftingu przydają mu się, bo i tutaj nie zawsze gra się fair...). Jest z natury hazardzistą i to stanowi jego motywację. Zaczyna badać własności układu, w którym przyszło mu działać. Czy jest możliwy absolutny zerowiec? Obsesja okrągłego zera prześladowuje go jak wielu innych zerowców. Czy osiągnięcie szczytu zerowości - to właśnie owo sokratejskie „wiem, że nic nie wiem”?

Nasz bohater bliski jest szczytu intelektualnego, lecz wciąż daleki od rozwiązania zagadki bytu... Jest wśród najmądrzejszych, pracuje w tajnej Radzie Zerowców, która praktycznie reżyseruje całą ziemską cywilizację, rozstrzyga o najważniejszych posunięciach i przedsięwzięciach ludzkości.

Pewnego dnia, wychodząc z tajnego Sztabu Rady, zwraca uwagę na starego portiera, który od lat pełni służbę u drzwi wejściowych. Ten poczciwy stary dwojak, śmiesznowy mędrak i „chłopski filozof bawi każdego zerowca, który wda się z nim

w rozmowę, różnymi naiwnymi, niedowarzonymi pomysłami na naprawienie świata. Któż nie ma recept na naprawę świata! Ale ten portier jest zabawny i w tym, co mówi, bywa czasem coś inspirującego do przemyśleń. Wszyscy zerowcy z Rady lubią go i rozmawiają z nim chętnie. Dziś jednak nasz bohater - stary już zerowiec - wychodząc z budynku zauważa, że portierowi spod przekrzywionej służbowej czapki wystaje coś jakby róg czy może czułek albo antenka... Słaby wzrok nie pozwala dostrzec tego dokładnie z daleka, a nim się zbliżył, portier poprawił czapkę i znów wygląda normalnie, uśmiecha się uprzejmie...

Konspekt powyższy szkicuje jedynie główną linię fabuły. O sposobie potraktowania tematu można dowiedzieć się z załączonej próbki tekstu - będzie on utrzymany w konwencji sensacyjnej, a wymienione w konspekcie problemy serio będą zawarte w nienachalnych podtekstach, by czytelnika nie zanudzić wykładem.

Całość wedle mojego zamysłu wydaje mi się być konceptem oryginalnym i nie mającym żadnych „przodków” (jako całość, bo w szczegółach nie sposób ominąć pewnych konwencjonalnych motywów).

5.Tytuł roboczy: „Trzecie dno”
Tytuł ostateczny: Paradyzja
Umowa z „Naszą Księgarnią”
z dnia 24 lipca 1981;
rozwiązana 27 września 1982
Umowa z „Iskrami” z 29 czerwca 1983

Trzecia planeta gwiazdy A-74 nie jest najlepszym miejscem dla osadników z Ziemi. Posiada jednakże tak cenne zasoby naturalne, że jest w stanie wyżywić i zaopatrzyć wielomilionowe

kolonie orbitalne, umieszczone na stacjonarnych orbitach wokół niej. Ze względu na znaczną odległość od Układu Słonecznego więzy łączące planetę z Ziemią są dość luźne, brak istotniejszych powiązań ekonomicznych i ścisłej łączności kulturalnej. Słowem, kolonie orbitalne istnieją sobie suwerennie, rządząc się własnymi prawami - fóżnymi w znacznej mierze od ziemskich z uwagi na odmienne, wielce specyficzne warunki bytowania ich obywateli. Mieszkańcy kolonii orbitalnych niewiele wiedzą o życiu na Ziemi - nie wiadomo nawet, co o nich wiedzą. Podobnie Ziemianie, zajęci swoimi sprawami, rzadko myślą o losie dalekich współbraci. Istnieją jedni- V na Ziemi wścibscy ludzie, którzy - zapewne z braku własnych kłopotów - interesują się życiem odległych przyczółków ludzkości w Kosmosie. Mimo skąpych informacji, docierających niezbyt regularnie z Trzeciej A-74, ci niepoprawni idealiści, nazywający siebie np. „Ligą Ochrony Człowieczeństwa”, żywią uzasadnione przypuszczenia, że na owej planecie naruszone są podstawowe reguły zawarte w fundamentalnych aktach międzyplanetarnych, których przestrzeganie władze kolonii deklarują oficjalnie.

Pierwszy inspektor Ligi, wysłany incognito, żeby zbadać sytuację w zespole kolonii orbitalnych, znika bez śladu. Losy następnego, którego zadaniem jest wyjaśnienie sprawy, są głównym wątkiem opowieści. Bohater przybywa (odpowiednio przygotowany) do układu gwiazdy A-74, oficjalnie zupełnie w innej roli, gdzie zastaje świat zupełnie dziwaczny, skrajnie różniący się nie tylko od tego, który zna z Ziemi, lecz także... od tego, co głosi oficjalna propaganda władz kolonii.

Pointę można w uproszczeniu zawrzeć w stwierdzeniu, iż społeczeństwo kolonii orbitalnych żyje w nieświadomości własnej sytuacji, a ci, którym się wydaje, iż są wolni -

w rzeczywistości są więźniami perfidnie zorganizowanego systemu. Bohater dochodzi stopniowo do rozszyfrowania „dziwności” poznawanego układu i staje wobec przerażającego obrazu społeczeństwa, dla którego trudno wymyślić skuteczny sposób reedukacji i wydobycia się z wynaturzonego układu. Wynika problem moralny na skalę kosmiczną: czy należy uświadomić tym ludziom ich żalosne położenie, by uczynić ich tym bardziej pożałowania godnymi i nieszczęśliwymi, czy też pozwolić im trwać w warunkach postępującego zaniku podstawowych praw do ludzkiego bytowania, w sytuacji zmierzającej ku gorszemu jeszcze życiu, do którego wszakże - z pokolenia na pokolenie - przywykają, uznając je za swoje, własne i jedynie słuszne, za bezalternatywny model przystający do konkretnych warunków, w jakich przyszło im istnieć.

Czy „normalna”, ziemską ludzkość ma obowiązek prostować meandry rozwoju społecznego biegnącego w skrajnie odmiennych warunkach fizycznych i społecznych? Czy ma do tego choćby... prawo? Takie pytania zamierzam wywołać - w sferze moralno-filozoficznej. Niezależnie od tego powieść będzie zawierała wątki fabularne o charakterze sensacyjnym i klasycznej science fiction, w miarę możliwości w ujęciach odmiennych od ogranych schematów gatunku.

Konspekty powieści nie napisanych

1. Tytuł roboczy: „Drugie spojrzenie na planetę Ksi”

Umowa z Krajową Agencją Wydawniczą
z dnia 28 października 1980

Objętość: około 10 arkuszy autorskich
(220 stron znormalizowanych)

Termin dostarczenia pracy: 31 sierpnia 1981

Powieść będzie kontynuacją losów wyprawy zwiadowczej, która miała za zadanie rozpoznanie sytuacji na planecie, gdzie dotarła niegdyś ekspedycja osadnicza z Ziemi (Cała prawda o planecie Ksi) i następnie przestała kontaktować się z Układem Słonecznym.

Część spośród uczestników zwiadu pozostaje na planecie, by podjąć próby odwrócenia biegu historii społeczeństwa opanowanego przez rebeliantów, którzy pod szczytnymi hasłami idealizacji społeczeństwa stworzyli dość pospolity rodzaj dyktatury.

Jednakże siła władców planety Ksi tkwi w tym, że wychowali społeczeństwo = a właściwie jego część, tj. potomków osadników przybyłych z Ziemi - w duchu nienawiści do ludzkości ziemskiej, która jakoby wyrządziła okrutne krzywdy osadnikom.

Układ społeczny oparty na dyktaturze, podtrzymywany strachem przed inwazją okrutnych Ziemian, trwa już pół wieku i komandor Sloth, dowódca zwiadu, nie wierzy w możliwość naprawienia czegokolwiek własnymi siłami wyprawy - z wyjątkiem, oczywiście, zastąpienia dyktatury - terrorem przybyszów, którzy - dla mieszkańców Ksi - są wrogami zgodnie

z ich ideologicznymi założeniami. Tym niemniej komandor wyraża zgodę na pozostawienie części załogi, chętnej podjąć próbę naprawy wynaturzonych stosunków. Sam, wraz z resztą załogi, powraca na Ziemię, by zdać sprawę z sytuacji i uczestniczyć w przygotowaniach do szeroko zakrojonej akcji naukowo opracowanej resocjalizacji wypaczonego społeczeństwa Ksi.

Treścią powieści są właśnie próby dokonania zmian w mentalności osadników, próby rozszyfrowania zasad i własności tego społeczeństwa, które - jak się okazuje na drugi rzut oka, nie są tak proste, jak się wydawało początkowo. Społeczeństwo jest mocno zróżnicowane pod względem oceny sytuacji, a nawet oceny stosunku Ziemi do Ksi. Przybysze wchodzi w te układy, jako „tubylcy” oczywiście, i odkrywają wiele zjawisk komplikujących ich rolę w tej społeczności.

Znajdują wreszcie sojuszników - ale i wrogów. Są zdradzani i wspomagani, prześladowani i chronieni przez tubylców, którzy tak przywykli do narzuconej im gry, że nie potrafią nieraz zdecydować, które oblicze należy ujawnić wobec innych : to oficjalne, lojalne wobec dyktatorów czy też swoje własne...

Komandor Sloth, którego niespokojny duch nie pozwala mu pozostać poza sferą zdarzeń, w które raz się wplątał, powraca na Ksi z nową, odpowiednio przygotowaną ekipą - i zastaje zupełnie inny układ społeczny, nie tak niesprawiedliwy jak poprzedni, bo inspirowany przez ludzi o uczciwych zamiarach, lecz tym niemniej... dziwny, bo nie można wszystkiego naraz zmienić w społeczeństwie, a zatem „naprawiacze” zmuszeni byli zaadaptować niektóre zastane realia, stworzyć pewne nowe fikcje i legendy.

Komandor Sloth staje wobec nowego problemu: pozostawić

wszystko jak jest - czy starać się ukształtować na bardziej ziemską modłę to biedne społeczeństwo podlegające nieustannym eksperymentom...

Oczywiście, nim staje wobec tego wyboru, niejako „odkrywa” na nowo nie znane sobie mechanizmy nowego układu, i to jest treścią drugiej połowy książki.

2.Tytuł roboczy: „Enklawa”

Umowa z Wydawnictwem Poznańskim

z dnia 22 września 1983

Objętość: 12 ark. aut.

Termin dostarczenia maszynopisu: 30 maja 1985

Powieść ma być pierwszym tomem cyklu powieściowego powiązanego osobami głównych bohaterów. Są nimi przedstawiciele, a raczej inspektorzy Federacji Planet, która zrzesza większość istniejących od stuleci, rozproszonych po Galaktyce ośrodków ludzkiej cywilizacji. Wiele z tych społeczności od dawna jest izolowanych od macierzystego Układu Słonecznego lub utrzymuje z nim tylko luźny i sporadyczny kontakt. Federacja, której centrum stanowi stara Ziemia, usiłuje utrzymać i zacieśnić powiązania pomiędzy planetami, na których ongiś, w epoce intensywnej ekspansji w Kosmos, osiedli ludzie. Ponowne obudzenie poczucia solidarności gatunkowej pomiędzy ludźmi należącymi do różnych, nieraz dalece różniących się systemów społeczno-ekonomicznych i światopoglądowych, nie jest łatwe. Ludzie z różnych planet posiadają nieraz dość odmienne poglądy i dążenia, rozbieżne interesy, swoiste obyczaje. Federacja usiłuje uratować w nich wszystkich te pierwiastki, które stanowią o ich człowieczeństwie. Warunkiem przynależności do Federacji oraz

korzystania z jej pomocy ekonomicznej i wsparcia moralnego jest zobowiązanie do przestrzegania pewnych postanowień statutowych. Członkowie Federacji im zawsze wywiązują się z tych zobowiązań i stąd potrzeba okresowej, w miarę dyskretnie przeprowadzonej inspekcji warunków lokalnych na planetach. Także w wypadku, gdy jakaś planeta zgłasza chęć przystąpienia do Federacji, inspektorzy muszą upewnić się co do szczerości i wiarygodności kandydatów.

Federacji przyświecają jednak i inne cele oprócz kulturalno-ekonomicznego. Ale tylko nieliczni członkowie najwyższych władz Federacji znają najważniejszy powód, dla którego próbuje się skonsolidować ludzkość rozproszoną po sporym obszarze Galaktyki. Otóż niedawne obserwacje wykazały istnienie innego centrum cywilizacyjnego, odległego wprawdzie, lecz niewątpliwie zdolnego zagrozić ludziom rozproszonym po planetach i uwikłanym w swoje partykularne interesy i lokalne międzyplanetarne konflikty i animozje. Obcy, co do których brak na razie dokładnych danych, są najwyraźniej znacznie lepiej zjednoczeni niż ludzie. Nic nie wiadomo o ich zamiarach, lecz najprawdopodobniej wiedzą o istnieniu ludzi. Trudno przewidzieć, czy i w jaki sposób mogliby zagrozić ludziom; być może spróbują otwartej agresji wobec słabszych, peryferyjnych ogniw ludzkości albo może zaczną działać subtelniej, wykorzystując i wygrywając wewnętrzne rozczłonkowanie i rozgrywki między „ludzkimi” planetami.

Istnienie Obcych jest z różnych strategicznych względów utajnione, przynajmniej w chwili, gdy rozpoczyna się akcja powieści.

Ekipa inspekcyjna - posługując się najnowszym prototypem unikalnego (i także utajonego) kosmolotu nadprzestrzennego

(zdolnego do przenoszenia się prawie natychmiast w odległe rejony Galaktyki) - jest w stanie zaskoczyć kontrolowanych, zanim ich służby wywiadowcze na Ziemi zdołają donieść (w normalnym, radiowym trybie) o zamierzonej kontroli. W ten sposób uzyskany obraz sytuacji jest w miarę prawdziwy, bo nie ma czasu na preparowanie rzeczywistości, by oszukać inspektorów.

W niniejszej powieści ekipa inspekcyjna wyrusza do odległego układu zawierającego dwie planety, które zgłosiły chęć przystąpienia do Federacji. Układ leży na peryferiach obszaru zaludnionego i może być terenem działania forpoczt wywiadowczych Obcych - a więc ekipa ma także poufne zadania zbadania sytuacji pod tym względem. Jej oficjalnym celem jest ocena warunków na planetach oraz próby mediacji między tymi planetami, bo każda z nich zastrzega, iż jej udział w Federacji uwarunkowany jest nieprzyjęciem... tej drugiej. Świadczy to o jakichś głębokich rozdźwiękach między bliskimi sąsiadami - które to animozje mogą być wykorzystane przez Obcych w celu uchwycenia przyczółka w obszarze działania humanoidów.

Inspektorzy badają stosunki na obu planetach, stwierdzając na pierwszy rzut oka sytuację zupełnie znośną. Dopiero po bliższym zbadaniu sprawy okazuje się, że obie - każda na swój sposób - oparte są na „niezbyt” uczciwym traktowaniu społeczeństwa: jedna utrzymuje je w posłuszeństwie drogą dobrze zamaskowanego terroru (broń masowego rażenia wymierzona permanentnie w skupiska ludzkie, gotowa zniszczyć, na zasadzie zbiorowej odpowiedzialności, całe miasta w odwecie za indywidualne lub grupowe protesty wobec władzy); druga - stwarza swym obywatelom iluzję praworządności i odpowiedzialności władców za ich czyny: co

pewien czas karze się i zamyka w obozie pracy nieuczciwych urzędników wysokiego szczebla, ludzie są usatysfakcjonowani i choć warunki bytowe są dość surowe, z ufnością obdarzają kredytem zaufania nowych urzędników, których przecież można będzie rozliczyć z ewentualnych nadużyć, co też następuje niebawem. Tylko że - jak stwierdzają przybyli inspektorzy - domniemany „obóz pracy”, pilnie strzeżony i niedostępny z zewnątrz, okazuje się być enklawą dobrobytu i „prawdziwego świata”, gdzie emerytowani złodzieje publicznego dobra spędzają czas na spożywaniu prywatnych owoców swej publicznej działalności, utrzymywani, jako „więźniowie”, przez ciężko pracującą resztę społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że na swych stanowiskach starają się jak najszybciej zasłużyć sobie na taką „karę”...

Inspektorzy stwierdzają, że żadna z tych dwu planet nie dorosła do przyjęcia do Federacji. Jednak ze względu na podejrzenie, iż cała ta sytuacja jest inspirowana i stymulowana przez Obcych w ramach ich strategicznych celów, inspektorzy uważają, iż należy roztoczyć kontrolę nad tym układem gwiazdnym. Z uwagi na bezpieczeństwo całego „ludzkiego” obszaru Galaktyki agenci Federacji posuwają się do stosowania metod i środków sprzecznych wprawdzie z zasadami, którym hołduje sama Federacja, jednak... niezbędnych z pragmatycznych względów. Podejmując swe działania nie mogą usprawiedliwiać się prawdziwymi motywacjami, narażają się więc na niechęć i krytykę nieświadomych sytuacji ludzi. Inspirując przemiany społeczne na kontrolowanych planetach, starają się pokrzyżować domniemane plany Obcych.

3.Tytuł roboczy: „Macki”
Umowa z „Alfą” z dnia 25 lutego 1984.

Objętość: 12 ark. aut.
Termin dostarczenia maszynopisu:
30 września 1985

W normalność świata z jego codziennymi problemami, plagami społecznymi i międzyludzkimi konfliktami wkracza dodatkowy czynnik pochodzenia zewnętrznego. Nie wspominają o tym masmedia, lecz znaczna część społeczeństwa Ziemi zdaje sobie sprawę z faktu, iż nasza planeta penetrowana jest przez agentów innej cywilizacji. Lepiej poinformowani wiedzą nawet, że Ziemią interesuje się nie jedna, lecz dwie obce cywilizacje. Jakie są ich cele - można się jedynie domyślać. Mówi się na przykład, że toczy się gra o opanowanie Systemu Słonecznego, który leży mniej więcej pośrodku drogi między dwoma odległymi ośrodkami cywilizacyjnymi.

Nic jednak nie jest pewne poza tym, że ludzkość została już w poważnym stopniu zinfiltrowana przez agentury dwóch rywalizujących ze sobą sił, cywilizacyjnie zaawansowanych na tyle, że nasza cywilizacja nie liczy się w tej rozgrywce. Należy się spodziewać, że nie będziemy w stanie obronić naszej suwerenności, a może nawet - uratować istnienia, gdy którakolwiek z obcych sił (lub co gorsza, obie na raz) zechce zawładnąć naszym układem planetarnym - na przykład jako bazą pośrednią dla obrony przed drugą lub jako przyczółkiem dla planowanego ataku.

Spekulacje dotyczące istoty i celów obu obcych sił nie są głównym tematem powieści. Kreśli ona raczej obraz sytuacji w ludzkim społeczeństwie wobec niejawniej, lecz wyczuwalnej infiltracji przez Obcych

Trzeba tu wyjaśnić, że jedni i drudzy Obcy posługują się w swych wywiadowczo-dywersyjnych celach wyłącznie

agentami-ludźmi zwerbowanymi do współpracy i opłacanymi korzyściami, jakie są w ramach naszej wiedzy i techniki - innym ludziom niedostępne (środki odmładzające i przedłużające życie, przywracające męskość, stymulatory przyjemności i niezwykłych wrażeń, bezśladowe bronie oraz inne niezwykle urządzenia techniczne etc.).

Obcy - prawdopodobnie różniący się znacznie od ludzi - muszą posługiwać się agentami-ludźmi, a wśród nich zawsze znajdą się chętni do współpracy z kimkolwiek w zamian za doraźne korzyści, bez względu na perspektywiczne zgubne tego skutki dla całej ludzkości. Powieść przedstawia, na tle społeczeństwa, postawy i motywacje różnych osób działających na rzecz Obcych lub przeciw Obcym obu maści.

Jedni są zdania, że należy wesprzeć Obcych, którzy są moralnie „lepsi”, by to oni właśnie mieli szansę zapanować nad nami w ostatecznej rozgrywce. Inni mówią, że należy popierać silniejszych Obcych, bo zwycięży, jak zwykle, nie lepszy, lecz silniejszy - i zawczasu należy sobie zyskać przychyłność przyszłego zwycięzcy. Jeszcze inni wreszcie twierdzą, że w ogóle nie należy kierować się takimi kryteriami, lecz brać od tych, co lepiej płacą, bo dni naszego istnienia są policzone: nie przetrwamy konfliktu dwóch potęg walczących nad naszymi głowami. Trzeba zatem korzystać, ile się da i dopóki można, bo wkrótce i tak nas nie będzie.

Tylko nieliczna grupa naiwnych idealistów jest zdania, że trzeba przeciwdziałać jednym i drugim Obcym, utrudniać ich akcje, niszczyć ich agentów - których należy wykluczyć, jako zdrajców, spod ludzkich praw i traktować jak przedstawicieli obcej, wrogiej siły. Tylko ci nieliczni prowadzą podjazdową walkę z Obcymi. Reszta - w większości bierna lub nieświadoma

sytuacji, jeśli nawet nie popiera wrogów, to na ogół sądzi, że wszystkie próby oporu są bezcelowe. Nawet służby kontrwywiadowcze są bezsilne wobec technicznych środków, w jakie wyposażeni są agenci Obcych. Do tego kontrwywiady ziemskie też nie są wolne od agentów Obcych.

Powieść koncentruje się na zagadnieniu postaw i motywacji indywidualnych, przedstawiając jednostki o różnych poglądach i różnych praktycznych postawach wobec problemu hipotetycznego zagrożenia ludzkości. Całość ujęta jest w formę powieści z elementami sensacyjnymi, z wielowątkową akcją pokazaną na tle realiów świata w niezbyt odległej przyszłości.

4.Tytuł roboczy: „Kuszenie licha”

Umowa z „Naszą Księgarnią”

z dnia 15 kwietnia 1983.

Objętość: 10 ark. aut.

Termin dostarczenia maszynopisu:

30 września 1985

Kilkunastoletni chłopiec mieszkający w podmiejskim osiedlu znajduje nieznaną żywą „zwierzątko” - najwyraźniej ranne i chore, potrzebujące opieki i pomocy. Rodzice chłopca nie tolerują jednak żadnych zwierząt w domu, zwłaszcza dzikich i niewiadomego pochodzenia. Chłopiec musi więc zachować rzecz w tajemnicy. Po ukryciu stworzenia, które garnie się do niego i zachowuje bardzo ufnie, chłopiec próbuje mu pomóc. Są trudności ze znalezieniem odpowiednich środków i zapewnieniem pożywienia (stwór ma wybredne gusty), nie udaje się też ustalić, do jakiego gatunku należy podopieczny bohatera, on jednak nie zraża się trudnościami.

Tymczasem, tego samego dnia, środki przekazu podają do

wiadomości, że w ciągu ostatniej doby wykryto w atmosferze nie wyjaśnione dotąd zjawiska, które mogłyby świadczyć o awarii jakiegoś pojazdu latającego. Wkrótce nowe informacje: wykryto szczątki statku czy sondy kosmicznej, najprawdopodobniej pozaziemskiego pochodzenia.

Chłopiec nie kojarzy początkowo tych faktów ze swym znaleziskiem, lecz wkrótce pojawiają się w RTV nowe, tym razem groźne i niepokojące informacje: niewykluczone, że załoga sondy - jacyś obcy przybysze - mogli uratować się i znaleźć na Ziemi. Osiedle bohatera znajduje się w podejrzanej strefie, która jest intensywnie przeszukiwana. Ostrzega się przed możliwością kontaktu z obcymi przybyszami o nieznanym zamiarach, ludzie panikują, zamykają się w domach, narasta atmosfera strachu i niechęci do Obcych, podsycana niepokojącymi komunikatami i plotkami o rzekomych niezwykłych zdarzeniach przypisywanych przybyszom.

Bohater początkowo zamierza ujawnić obecność „stwora”, w obawie, iż prowadzone poszukiwania i tak go ujawnią. Teraz dopiero zdaje sobie sprawę, że jego „zwierzę” może być kosmitą! Jest to tym bardziej prawdopodobne, że dziwny gość przejawia niezwykle cechy sprzeczne z jego „zwierzęcością”. Ale obraz groźnych przybyszów, malowany przez telewizję i prasę, pozostaje w jaskrawej sprzeczności z tym, co chłopiec naocznie widzi, poznając coraz lepiej przybysza i zaprzyjaźniając się z nim, a wreszcie nawiązując z nim nawet kontakt intelektualny.

Wkrótce chłopiec już wie, że wydanie pozaziemskiego przyjaciela byłoby zdradą - lecz równocześnie stoi wobec naporu wątpliwości, czy nie działa tym samym na niekorzyść Ziemi i ludzi. Nie mogąc się nikogo poradzić, by nie ujawniać tajemnicy, sam dźwiga ciężar tych wątpliwości. Jedyłą

przesłanką, na której opiera przeświadczenie o słuszności własnego postępowania, wbrew hysterii całego otoczenia i nagonki w środkach przekazu, jest ufność w lojalność rozumnej istoty, którą poratował w krytycznej sytuacji i którą się opiekuje mimo powszechnej do niej wrogości. Elementem, na którym opiera się w swych przekonaniach, jest fakt, iż zna właściwości i cechy inkryminowanego obiektu w stopniu niepomiernie wyższym niż ci, którzy bez znajomości rzeczy ferują opinie na podstawie własnych domysłów czy wręcz nieuzasadnionych osobistych fobii. To podważa zaufanie do oficjalnie głoszonych informacji, pełnych nieścisłości lub po prostu zmyślonych.

Chłopiec jest konsekwentny w swym postępowaniu. Nie potrafi okazać się nielojalny wobec istoty, która niczego złego mu nie zrobiła; jej inność i pochodzenie nie są dla niego dostatecznymi racjami, by uznać ją za wroga, i stara się uchronić ją przed nieuzasadnioną ludzką nienawiścią, której skutki łatwo przewidzieć.

Przybysz rozumie sytuację. Jest - jak się wydaje - po prostu istotą, którą spotkało nieszczęście. Niezależnie od pierwotnych zamiarów, których i tak nie sposób zgłębić, w obecnej sytuacji jest nieszkodliwy, a stosunek otoczenia jest dla niego miarą oceny ludzkości.

Chłopiec zdaje sobie sprawę, że nie można tej sytuacji przeciągać w nieskończoność. Jedynym wyjściem jest umożliwić kosmicznemu rozbitkowi nawiązanie kontaktu ze „swoimi”, wysłanie jakiegoś sygnału S.O.S. w kosmos - przyzwanie ekspedycji ratunkowej. Współ z przybyszem bohater znajduje na to sposób.

Wrzawa wokół przybyszów z kosmosu cichnie, ludzi znów pochłaniają ziemskie, codzienne sprawy. Tylko bohater

opowieści pozostaje ze swym kosmicznym gościem, czekając na skutek podjętej akcji ratunkowej, wciąż nie do końca pewien słuszności swego postępowania, z wątpliwościami na dnie sumienia - czy nie popełnił błędu, lecz także z przekonaniem, iż nie nadużył okazanego mu zaufania i pozostał lojalny wobec przybysza, wbrew naciskom powszechnej opinii urabianej za pomocą nie sprawdzonych lub zmyślonych faktów.

5.Tytuł roboczy: „Residuum”

Umowa z „Iskrami” z dnia 11 października 1983.

Objętość: 12 ark. aut.

Termin dostarczenia maszynopisu: 31 marca 1985

Od dłuższego czasu Wyspa odcięta jest od reszty świata. W pierwszych dniach Globalnego Konfliktu odleciały stąd wszystkie samoloty, odpłynęły większe jednostki morskie, zdolne dotrzeć do wybrzeży odległego kontynentu. Nie powróciły nigdy więcej. Zamilkły satelity komunikacyjne, rozgłośnie radiowe i telewizja przestały nadawać programy. Mieszkańcy Wyspy mogą tylko domyślać się straszliwej prawdy: ludzkość przestała istnieć, tylko oni, na dalekiej zapomnianej Wyspie z dala od ośrodków cywilizacji dziwnym trafem ocaleli.

Śmiałkowie, którzy próbowali opuścić Wyspę w małych łodziach, nigdy nie dotarli do Kontynentu - albo zginęli bez wieści, albo wracali, gdy opuszczała ich odwaga.

Życie Wyspy - zdanej na własne zasoby i zaradność mieszkańców - ukształtowało się w coś w rodzaju szczęśliwej Utopii. Wstrząs psychiczny wywołany świadomością zagłady świata na długo wygasił skłonności do konfliktów między ludźmi. Człowiek stał się cenny dla człowieka, każdy jest każdemu potrzebny. Wyspa żyje jeszcze dawnymi obyczajami, ale

stopniowo ulepszają się stosunki społeczne, kwitnie dobrobyt, wszelkie działania skierowane są na zaspokojenie ludzkich potrzeb. Oczywiście nie wszystko można wyprodukować na Wyspie - ale wkrótce okazuje się, jak wiele rzeczy „dawnego świata” było zbędną fanaberią, potrzebą sztucznie wywołaną u konsumentów...

Młody mieszkaniec Wyspy, A., dostrzega jednak pewne symptomy zachwiania ładu na Wyspie. „Coś” antagonizuje ludzi, pojawiają się, nie występujące dotychczas, niepożądane zjawiska społeczne, zaczątki czegoś niedobrego.

A. stwierdza, że źródłem zła są pewne osoby pojawiające się i znikające wśród tłumu innych mieszkańców. Próbuje rozgryźć tajemnicę przypisując rodzące się zło „siłom nieczystym” - akcji „Szatana”, który nie może ścierpieć, że nie powiodły się jego plany unicestwienia całej ludzkości, do czego przez wieki historii cywilizacji zmierzał.

A. staje się obiektem kpin, jego „manicheizm” jest przez znajomych traktowany jak aberracja umysłowa, lecz on sam znajduje coraz więcej dowodów działań „diabelskich” w przyzwoitym, unormowanym życiu Wyspy. Jeśli nie ma świata poza Wyspą - któż, jeśli nie Szatan, sieje zło godzące w jej mieszkańców?

Jednak świat istnieje, ludzkość przeżyła konflikt - lecz jedna ze Zwalczających się Stron całkowicie zdominowała drugą i zaprowadziła na Ziemi Jednolity Ład.

B. jest jednym z tych, których wysłano na Wyspę w celu wykonania specjalnego zadania. Przerzucony tam, jest zaszokowany obrazem zastanego świata, diametralnie różnym od tego, który zna. Ale wkrótce poczucie obowiązku każe mu przystąpić do wykonywania zadań.

C. jest młodym uczonym delegowanym do czuwania nad przebiegiem eksperymentu „Wyspa”. Wykrywa działania B. zmierzające do za kłócenia przebiegu eksperymentu, sfalszowania jego wyników.

Eksperyment „Wyspa”, zapoczątkowany z chwilą opanowania świata przez rzeczników Jednolitego Ładu, ma wykazać, że istnienie społeczeństwa samorządnego, demokratycznego i wolnego od zbędnych ograniczeń jest mrzonką i utopią, wymysłem rzeczników Starego Porządku, dziś już pokonanych.

„Wyspę” celowo izolowano od świata, stwarzając wśród jej mieszkańców przekonanie o samotności na planecie. Eksperyment „Wyspa”, prowadzony w tych niezakłóconych warunkach ma potwierdzić słuszność metod zarządzania stosowanych wobec całej reszty świata. Wyspa jest ostatnią enklawą, rezerwatem Starego Porządku w ocenie Jednolitego Ładu reszty świata.

Jednak eksperyment trwa już zbyt długo - przynajmniej tak sądzą teoretycy, którzy założyli z góry wynik doświadczenia. Eksperymentatorzy uczciwie dochowują warunków doświadczenia - wyniki zdają się jednakże świadczyć, iż utopia Wyspy przejawia cechy trwałości.

Teoretycy są niezadowoleni i gniewają się w duchu na eksperymentatorów, niektórzy nawet proponują wywrzeć na nich nacisk, by wyniki zaczęły potwierdzać teorię o niemożności istnienia utopii. Korzystniej jednak będzie, jeśli negatywny wynik doświadczenia zgłoszą sami eksperymentatorzy. Dlatego - w tajemnicy przed nimi - do świata doświadczalnego poligonu „Wyspy” przenikają agenci do zadań specjalnych, którzy mają „pokierować” biegiem rzeczy w pożądanym kierunku.

A., mieszkaniec Wyspy, zbyt wścibski, znika w tajemniczych

okolicznościach.

B., zdemaskowany przez C., robi wszystko, by nie wracać do Zewnętrznego Świata - tu podoba mu się bardziej, o wiele bardziej; jednym słowem - zdemoralizował się. Będzie odtąd gorliwie wydawał agentów działających na Wyspie, współpracując z C.

C. zdaje sobie sprawę, że nie wygra z teoretykami w uczciwej, otwartej konfrontacji. Aby uratować eksperyment i uzyskać rzetelne wyniki, prawdziwą odpowiedź na pytanie o realność utopii, C. musi neutralizować działania agentów i raportować o sytuacji Wyspy w taki sposób jakby ich... nie było.

Generał jest zniecierpliwiony, gromi szefa tajnych służb za nieudolność jego ludzi. Raporty z rezerwatu są wciąż pozytywne - a więc negatywne dla władzy, która musi wykazać słuszność swych oligarchicznych metod rządzenia.

Usunięty z Wyspy A. ogląda świat, którego nieistnienie zakładał uprzednio. Wydaje mu się, że jak Dante - zwiedza Piekło. Tylko to ratuje jego hipotezę o działaniu szatańskich Sił na Wyspie - a do tej hipotezy przywykł już obsesyjnie.

Generał, niezadowolony z rozwoju sytuacji, wydaje rozkaz oddziałom desantowym: podpisał decyzję o likwidacji eksperymentu. Ostatni wrzód na zdrowym ciele Powszechnego Ładu musi być do cna wypalony i zniknąć bez śladu.

Ludzi z Wyspy trzeba izolować i wykorzystać do pracy w specjalnych ośrodkach odosobnienia, by nie zatruli umysłów społeczeństwa zbędną paplaniną.

Uczonych-eksperymentatorów trzeba potraktować podobnie. Nie spełnili oczekiwań: nie mają widać dostatecznych kwalifikacji, skoro nie zdołali potwierdzić eksperymentalnie ponad wszelką wątpliwość prawdziwej teorii.

Zresztą prawdziwa teoria nie wymaga doświadczalnych potwierdzeń.

JANUSZ I MY

Wspomnienie Macieja Parowskiego

1.

Na pewno nie zdołam powiedzieć wszystkiego co ważne; zaprzyjaźniliśmy się dość późno. Na początku była to luźna znajomość; jego brat, Wiesław, studiował ze mną na Politechnice Warszawskiej i wspominał też czasem o bracie-fizyku, który pisze. Nie humanista, a pisze, dawało mi to, pamiętam, jakąś nadzieję. W 1973 roku odbieraliśmy razem - Janusz nagrodę, ja wyróżnienie - w konkursie na opowiadanie „Młodego Technika” i „Naszej Księgarni”. Sam zaledwie trzydziestopięcioletni, był Janusz wówczas bardzo opiekuńczy, wręcz ojcowski dla młodszych laureatów. To chyba wtedy w „Naszej Księgarni” poznał Żwikiewicza, Prostaka, Streicha, Czechowskiego... Z paroma z nich zaprzyjaźnił się; ja pozostawałem wówczas z boku, w latach siedemdziesiątych najwyżej parę razy wymieniliśmy ukłony na mieście i w warszawskich kawiarniach. Właściwie dopiero wiosną 1980, po lekturze „Cylindra van Troffa”, powiedziałem sobie: „uwaga!!!”, lecz wkrótce zważyło się nam wszystkim na głowy wiele spraw znacznie ważniejszych od fantastyki. Do nawiązania kontaktów nie doszło.

Wiosną 1982, kiedy w księgarniach pojawiło się kilka książek nowej polskiej SF, gdy zaczęła dominować socjologiczna fantastyka naukowa i stało się oczywiste, że w latach siedemdziesiątych było nas więcej i myśleliśmy podobnie - spotkaliśmy się. Szukałem Janusza w związku

z przygotowaniem do rozruchu „Fantastyki”, wieści dotarły do niego i Janusz zadzwonił pierwszy. Bardzo szybko, pamiętam, okazało się, jak bliskie są nasze poglądy i gusta. Janusz dał mi do przeczytania szczątki „Limes inferior” i jeszcze w trakcie lektury zrobiło mi się żal i wstyd, że Oramus, Żwikiewicz, Jęczmyk, Nidecka, Wnuk-Lipiński, Głowacki odkryli tę wspólnotę wcześniej i byli z nim bliżej. Myślę, że zwłaszcza Nidecka), może przez chwilę Oramus pozostawali jako autorzy pod jego wpływem. Przypomniałem sobie, że jesienią 1981 Oramus zrobił dla ITD piękny i jak to się teraz mówi, ostry wywiad z Januszem, w którym Zajdlowski stosunek do rzeczywistości i do science fiction został odważnie ujawniony. Wówczas kibicowałem temu z boku, dzieląc sąd Leszka Bugajskiego sformułowany w warszawskiej „Kulturze”, że SF wchodząca w rolę literatury politycznej, obyczajowej traci rację bytu. Czasy literatury „zamiast”, myślałem, skończyły się, nareszcie będziemy mówić wprost. Janusz, którego najlepsze książki „zamiast” – „Limes inferior”, „Wyjście z cienia”, „Cała prawda o planecie Ksi”, „Paradyzja” - wędrowały przez drukarnie do czytelników, bardzo się sierzcił na tę opinię w liście do warszawskiej „Kultury”. I okazało się, że to on miał rację. W 1982 roku zniknęło z naszego rynku parę pism, między innymi właśnie tygodnik „Kultura”, a przybyło parę innych. Wśród nich „Fantastyka”.

Tak więc po tym pierwszym, koleżeńskim telefonie zawitałem do Janusza na Suwalską. Okazało się, że mieszkamy bardzo blisko siebie i że wprost nieprzyzwoitością będzie nie zajrzeć do niego raz na parę dni czy tygodni. Janusz przyjmował gości w małym podłużnym pokoju, wśród stosów książek na regałach i przyzm czasopism spiętrzonych na podłodze - herbatą, a czasem małymi kieliszkami rumu lub czeskiej beherovki. Siedział przy

dosuniętym do ściany biurku drobny i szczupły, z twarzą skrytą pod bujnym zarostem, palił i gestykulował, wygłaszając namiętne sądy o sytuacji w kraju i ruchu fantastycznym, o niektórych pisarzach niesłusznie wyniesionych na piedestały przez krytykę i los. Relacjonował najnowsze lektury i własne pomysły. Odślaniał związek fantastycznych fabuł z mechanizmami rzeczywistości, którą obaj mieliśmy za oknem. Bardzo jednoznaczny, bezpośredni nieraz związek. Słyszałem, że robił to także na spotkaniach autorskich, które lubił i na które, póki mógł, jeździł z przyjemnością. Natomiast wiem, że nie zabrał na żadne z tych spotkań dwu plastelinowych matryc medalu „im. George’a Orwella”, który zamierzał prywatnie przyznawać najciekawszym przedstawicielom młodej polskiej fantastyki socjologicznej. Leżały te matryce na stosie „Tygodników Powszechnych” i „Przeglądów Katolickich” tuż przy biurku; Janusz cyzelował je własnoręcznie. Na jednej gołąbek próbował wydostać się z kuli ziemskiej przedstawionej w formie klatki. Na drugiej dominowały wielkie inicjały IGO i motyw pękającego łańcucha.

Przed sobą na kilku półkach ustawionych nad biurkiem miał Janusz obok słowników wiele plakietek i statuetek, które dostał od innych. Przybywało ich w czasie naszej krótkiej, trzyletniej znajomości. Nagroda „Młodego Technika”, dwie Sepulki od Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, Nagroda Fandomu Polskiego - małe i duże, ładne i pokraczne - a wśród nich bardzo piękna statuette Nagrody Ministra Kultury i Sztuki z 1980 roku za powieść „Cylinder von Troffa”. Dumny z nagród społecznych, bywało, że o tej ostatniej nagrodzie wyrażał się Janusz z przekąsem, ale jej nigdy nie schował. Nie uważał się za szkodnika. Sądził, że jego pisarstwo jest konstruktywne, że

wypowiadając się za pomocą SF w obronie jednostek przeciw próbującym je unicestwić systemom - nie burzy, lecz buduje. Uważał, mówiąc krótko, że należała mu się ta ministerialna nagroda. Należała się i innym, to również pogląd Janusza, a ponieważ Minister zbyt rzadko spoglądał zyczliwie na polską SF, wymyślił Janusz własną nagrodę.

Może to najlepiej charakteryzuje Janusza. Oddać, co otrzymał, nie być dłużnikiem, podzielić się. Z czytelnikami - talentem, twórczością, wiedzą, swoim czasem. Z kolegami po piórze - także doświadczeniem, bywało, że znaczącą kwotą, kontaktami. Był Janusz przekonany i aktywnym członkiem ZAiKS-u; miał dobre zdanie o tej organizacji pomagającej pisarzom znosić nierytmiczności współpracy z wydawcami i drukarniami. Namówił Oramusa, namówił mnie, dał swoją rekomendację. Żadnej innej organizacji pisarskiej nam nie polecał: w czasie, w którym się spotykaliśmy, żadna inna nie spełniała jego oczekiwań i wymagań.

O roli organizacji pisarskich w życiu autorów, o stawkach za literaturę, nawet o podatkach dyskutowaliśmy w długie wieczory. Miał się Janusz za wielkiego specjalistę w tej dziedzinie - finanse, kruczki prawne, głupstewka systemów podatkowych, sprzeczności w systemie, niekonsekwencje - to był jego konik. Wiem, że dawał się tą wiedzą we znaki paniom i panom w rachubach, kwesturach, działach finansowych. Także w swoim ukochanym ZAiKS-ie. Obiecał podzielić się tą wiedzą z paroma osobami, ale już nie zdążył. Czytelnicy mogą rozpoznać strawersowane okruchy tej pasji w dużych partiach najlepszej chyba jego powieści, „Limes inferior”. Traktuje ona o perypetiach „elektronicznego cinkciarza” w otchłaniach piekła na ziemi zwanego Argolandem. Janusz nie lekceważył cinkciarzy, sądzą,

że ich szanował. Dlatego gdy przy krytycznej okazji nazwano „Limes inferior” powieścią „o pracy”, widać było, że nie sprawia mu ta opinia przykrości.

O czym Janusz opowiadał jeszcze? Na pewno nie o pracy zawodowej, tam miał jakieś złe doświadczenia, o których rozwodzić się nie lubił. Czasami mówił o wypracowaniach córki i o programie szkolnym... Najczęściej o polskiej science fiction, Janusz systematycznie czytał nową prozę, czytał krytyków. Czasem miał nam za złe, że zbyt pospiesznie lansujemy nowe wielkości. Był w tym bliski Lemowi, od prozy oczekiwał racjonalizmu, trzeźwości, poprawnego działania literackich światów. Nie lubił mgieł sennych, narkotycznych czy alkoholowych majaków. Ale sprzyjał nowej prozie, niektórych jej autorów lubił bardziej niż ją samą. Pewnie dlatego wciągnęła go gra o kształt organizacyjny polskiej fantastyki naukowej. Jako wybrany przez ruch autentyczny lider wszystkich polskich fantastów, zaangażował się w próby zarejestrowania polskiej sekcji World Science Fiction. Częściowo w tej sprawie pojechał wiosną 1985 roku na konwent do Włoch, gdzie niespodzianie powalił go silny nawrót choroby, która go już nie opuściła do końca.

2.

Janusz był namiętym palaczem. Palił od szesnastego roku życia, pamiętam, jeszcze na początku 1984 roku, zaczepiony przeze mnie, wygłosił zdecydowaną pochwałę tytoniu, ale już w maju musiał iść na operację. Lekarze zrobili swoje, powiedzieli mu później, że nowotwór w lewym płucu częściowo usunęli, zalecili naświetlania, a żonie dodali po cichu, że przed Januszem pół roku życia. Nikt chyba oprócz Jadwigi o tym nie wiedział,

a Janusz może się i domyślał, ale nie robił problemów. Po sześciu miesiącach rekonwalescencji i naświetlaniach kobaltem zaczął chodzić do pracy, wstawał rano, wracał po południu, trochę czytał, zażywał leki, odpoczywał. Gości przyjmował najczęściej już nie w małym pokoiku, lecz w dużym, gościnnym, leżąc na kanapie. Odstawił papierosy, czasem tylko w nocy śniło mu się, że pali i wtedy, jak mówił, budził się przerażony i zlany potem. Lecz dalej notował pomysły i opowiadał o nich, przedstawił wydawcom kilka nowych, ciekawych konspektów. Już w 1985 napisaliśmy wspólnie esej o polskiej SF dla fińskiego fanzinu. Janusz wziął dzielnie większą część tej pracy na siebie. Ale siły go opuszczały, zaczęły się bóle od przerzutów. Do ostatnich dni mówiło się, że to bolą końcówki nerwów podrażnionych naświetlaniami. Mówiło się też, czego Janusz dokona, kiedy bóle ustąpią.

W tym ostatnim okresie przeżywał duży i zasłużony sukces pisarski. Żartobliwie mawiał o sobie, że jest pierwszy po Lemie, a my powtarzaliśmy to niezależnie od niego. Zresztą raczej on powtarzał to po nas. Jeśli Lem zdawał się być górą odległą, skalistą i wyniosłą, to Janusz był osobą znacznie bliższą, kimś w rodzaju przyjacielskiego guru. Góra i guru. Prawie do końca, także po operacji, kiedy tylko było to jeszcze możliwe, Janusz spotykał się z czytelnikami. Pamiętam bardzo dobre spotkanie Janusza zimą 1983/1984 z pełną salą studenckiego Remontu/Kwantu i triumfalny pobyt w Staszowie jesienią 1984. W tym ostatnim okresie dostał parę nagród klubowych, jego książki zdobywały pierwsze miejsca w różnych plebiscytach, dostał nawet nagrodę „Fantastyki” - za „Wyjście z cienia”, a później także pośmiertną, za cały dorobek twórczy. Ale radość człowieka, który zdążył powiedzieć dużo z tego, co miał do

powiedzenia, został wysłuchany, zrozumiany, zaakceptowany - była Januszowi dana już wcześniej. Jego sposób demaskowania przeróżnych społecznych Lewiatanów podobał się, wzbudzał zaufanie, dawał intelektualną satysfakcję. Czytelnicy na spotkaniach sugerowali, żeby z najcelniejszych, ostatnich powieści Janusza egzaminować na maturze. Uśmiechnął się tylko, kiedy mu to powtórzono. Był już w szpitalu, bóle atakowały go falami. To wtedy, na trzy tygodnie przed śmiercią, ze szpitalnego fotela udzielił przez telefon wywiadu Jerzemu Łuczakowi z katowickiej TV. Była okazja, Śląski Klub Fantastyki przyznał Januszowi doroczną Śląkfę. Janusz mówił wolno, precyzyjnie, z wysiłkiem. Z powodu telefonicznych zakłóceń musiał wielokrotnie odpowiadać na te same pytania. Nie powtarzał się dosłownie, potem analizował swoją wypowiedź. Widać było, że jest bardzo zmęczony, ale tym rodzajem zmęczenia, które raczej przedłuża, niż skraca życie.

Do ostatnich dni był otwartym na życie i książki pisarzem, cierpliwym człowiekiem. Zdobył w ciągu krótkiego życia wielu przyjaciół. Za sprawą fantastycznego boomu poznał w ostatnim okresie kilkanaście nowych osób - widać było, że staje się Janusz liderem wszystkich polskich pisarzy fantastyczno-naukowych. Przy jego łóżku spotkali się Boruń z Wolskim, Nidecka z Weinfeldem, Jęczmyk z Rodkiem, Szymański z Nowowiejskim... Na pogrzebie oprócz rodziny, wydawców i pisarzy—fantastów żegnały go liczne delegacje fanów z całej Polski. Nie był za życia kompanem bezkrytycznym, miał swoje antypatie, ale generalnie szukał ludzi, lubił ich, byli mu potrzebni. I on był im także potrzebny. Na uznanie zasłużył nie tylko przemyślanym, uczciwym pisarstwem wypełniającym lukę literatury politycznej w polskim piśmiennictwie, ale także życzliwą wszystkim

postawą. Powiedział ktoś złośliwie, że Janusz miał po śmierci więcej przyjaciół niż za życia... To nie musi być prawda. Po prostu wielu czytelnikom i pisarzom okazał Janusz sympatię; nie ma powodu, ażeby mieli o tym teraz zapomnieć. To chyba normalne - pisarz namiętnie broniący ludzkiej wolności, odważnie demaskujący mechanizmy, które próbują ludziom odbierać wolność - winien łatwo zdobywać przyjaciół. I oczywiście wrogów, to także prawda.

Czy domyślał się, że śmierć jest blisko, czy się jej bał? Żona, Jadwiga, mówi, że po śmierci znalazła wszystkie papiery uporządkowane, sprawy finansowe wyprowadzone na czysto, był nawet list pożegnalny, był testament, był przejmujący wiersz pisany z wyraźną świadomością nadchodzącej śmierci. Więc wiedział czy nie, miał nadzieję, czy ją utracił? Gdyby przeżył, czekało na niego pisanie, pomysły, konspekty, czekał ruch, w którym czuł się dobrze - byłoby zajęcia na lata. W tym drugim wypadku pozostawała wiara, nigdy jej nie ukrywał, że śmierć nie kończy wszystkiego, lecz jest nowym początkiem. Był więc dobrze przygotowany na obie możliwości. Może dlatego nie okazał strachu.

Skończył swoją pisarską walkę przed czasem, w czterdziestym siódmym roku życia. Walczył pięknie i do końca wysoko prowadził na punkty. Opublikował dwanaście książek; pięć z nich ukazało się w ciągu ostatnich trzech lat życia. O czym tu mówić - o przeczuciu czy o dobrym finiszu, dobrej końcówce?

3.

Mimo choroby aktywny, zapalony, chłonny - takim pozostał w pamięci przyjaciół. I jeszcze dowcipny, rzadziej gniewny, zawsze przekorny. Jego pisanie było aktem przekory, odwetem

człowieka poniewieranego przez rzeczywistość na tejże rzeczywistości. „Będąc od trzydziestu paru lat obiektem społecznych eksperymentów, mogę się jako pisarz SF na rzeczywistości odegrać”, powiedział mi w wywiadzie z 1983 roku.

Miał też oczywiście upersonifikowane antypatie, na tych po prostu się złościł. Syntetyczny portret swoich antagonistów zostawił nam w postaci Jedenastki, kieszonkowego Wallenroda w „Całej prawdzie o planecie Ksi”. Zostawił wizerunek i problem - co zrobić, by ocalić dla humanistycznego świata tę przeklętą i nieszczęsną planetę. Janusz nie cierpiał ludzi podobnych do bohatera tej powieści - zakłamanych, cynicznych, wysługujących się ciemnym siłom, żeby tylko poprawić swój los, swoją pozycję. Nie znosił ich, ale obiektywnie i plastycznie ukazał ciężar wydarzeń, które mogą doprowadzić nieodpornych do skarlenia. Musiał wiele podobnych i kreatur, i sytuacji widzieć w krótkim życiu.

Był nam, był mi bliski nie tylko z powodu swej opcji duchowej i literackiej. Mówiło się o nim przecież, że zapoczątkował nurt polskiej socjologicznej SF. Zresztą to niezupełnie ściśle, wystarczy policzyć książki, Janusz sam jeden był nurtem. Ale łączyło nas coś jeszcze, to samo co z Oramusem, Żwikiewiczem, Nidecką, Zimniakiem - wykształcenie ściśle, produkcyjna bądź instytutowa praktyka. To był kolejny konik Janusza opierający się na przekonaniu, że inżynier, chemik, fizyk mogą drogą samouctwa przyswoić sobie arkania psychologii, socjologii, historii, mogą ze zrozumieniem zagłębić się w filozofii. Pozwala im na to ścisły umysł i skomplikowane życie zawodowe. Natomiast dla większości humanistów wiedza ścisła jest niedostępna. Ergo tradycyjny humanista to człowiek niepełny.

Powtarzał to Janusz w prywatnych rozmowach i oficjalnych wywiadach. Zapalał się. Budowane świadomie poczucie wyższości było odpowiedzią na próby wpędzenia go w kompleksy niepełnego humanisty. Było rewanżem za niektóre zarzuty dotyczące jego pisarstwa.

Warto gwoli jasności podzielić sobie te zarzuty na dwie grupy. Z pierwszymi, mówiącymi, że był zbyt ostry, zbyt dosadny, zbyt plakatowo jednostronny - nie ma co dyskutować. Znamy nadto wielu autorów znacznie bardziej od Janusza stronnicych. Janusz ujawniał mechanizmy nieuczciwych gier społecznych; rozumiał, że było to nie w smak tym, których postawy kompromitował. Argumenty zarzucające mu literacki schematyzm osłaniały tu motywy nic z literaturą nie mające wspólnego. Jako pisarz-moralista, pisarz-demaskator był Janusz groźny. Wywoływało to reakcję.

Lecz faktem jest, że jego pisarstwo nie było bez wad. Stwierdzali to także przyjaciele. Janusz spieszył się. Nie pieścił, nie cyzelował literackich efektów. Za szybko czasem zmierzał do sedna. Ale widział to sedno wyraźnie, widzieli je także jego czytelnicy, i pewnie dlatego nie przykładał wagi do językowej perfekcji, do formy. Napędem jego pisarstwa, zwłaszcza w ostatnim okresie, były emocje polityczne; obrona jednostek przed głupotą, uzurpacją, podłością dużych systemów; wielkim atutem - umiejętność budowania przekonujących modeli społecznych, które działały jak żywe, a zarazem literackich alegorii. Reszta, także słowa, także konstrukcja - stawały się dla Janusza środkiem. Nie popełniał dużych błędów, miał naturalny talent narracyjny, poczucie humoru, nie brakowało mu pomysłów, ale zostawił w swym dziele ślady pośpiechu. Zresztą wciśnięty przez całe dojrzałe życie między dwie profesje, fizyka

i pisarza, z trudem wydzielał czas na jedno i drugie. Pisał szybko, „na silnym impulsie”, rzucając na papier to co najważniejsze. Zawijasy formalne mogły stać się tylko przeszkodą. Dlatego próby dyskusji nad doskonaleniem warsztatu zbywał gniewnie: „Nie lubię lania wody”. Nie cenił samoistnych, nie służących konkretnym celom eksperymentów literackich.

A przecież ocierał się o eksperyment literacki wielokrotnie. Czyż nie było eksperymentem łamiące realistyczną konwencję, uciekające w cudowność i dające nam wszystkim nadzieję - zakończenie powieści „Limes inferior”? Podobnie z rozsadzającą stereotypy próbą opowiedzenia losów Chrystusa w kategoriach cybernetycznych, co miało miejsce w opowiadaniu „Relacja z pierwszej ręki”. Albo weźmy igraszki poetyckie w wykonanej na pierwszy rzut oka bardzo matematycznie, bardzo zegarkowe „Paradyzji”. Dał tu Janusz przewrotny i funkcjonalny popis językowej zręczności, nie zsiadając wcale z wiernego konika politycznej SF.

Eksperyment literacki pojawiał się na jego literackiej drodze. Tylko że to Janusz miał się nim posługiwać, nie odwrotnie. Wspomniał kiedyś o pomysle powieści mającej wielu narratorów; uśmiechnąłem się, że nareszcie, że jego skusiło to także. Trick sam w sobie wyglądał na wzięty z nouveau roman - operowanie subiektywnym narratorem, zwielokrotniony punkt widzenia itp. itd... - ale Janusz ostudził mnie, zamierzył to bardziej racjonalnie. Wielość narratorów miała być wynikiem przełączenia komunikatora do świadomości kilkunastu szpiegów-szperaczy penetrujących utajnioną konstrukcję społeczną. Jak widać był Janusz i zamierzał pozostać niepoprawny. Podobnie oryginalna jest przecież, schowana za chytrym chwytem narracyjnym, koncepcja bohatera w „Chrzcie

bojowym”, jednym z ostatnich jego opowiadań, zamieszczonym zresztą w niniejszym tomiku. W wypadku Zajdla było to i pozostałoby nadal regułą - tylko wtedy chciał i mógł modyfikować swój warsztat, gdy było to bezwzględnie potrzebne, gdy czemuś konkretnemu służyło. Postawa skądinąd bardzo inżynierska.

4.

Słów kilka na zakończenie o tomie, który czytelnik trzyma w dłoniach. Pierwotny cel, jaki przyświecał wydawcy konstruującemu zbiorek, był skromny. Chodziło o przedstawienie opowiadań Janusza Zajdla rozproszonych w prasie i nigdy dotąd nie scalonych w wydaniu książkowym. Krótko mówiąc - remanent. Tak to wyglądało na początku.

Żona pisarza, Jadwiga, zaproponowała, by do zestawu dołączyć konspekty książek, których Janusz Zajdel nie zdążył napisać; wersje prasowe dwu opowiadań, które w książkach ukazały się w innych wariantach oraz wypowiedź Janusza o sobie. Wydawca rozszerzył ten pomysł dodając konspekty pięciu istniejących powieści. Dzięki temu uzyskujemy wgląd, w filozofię i warsztat pisarza, a także wsłuchujemy się w język, jakim porozumiewał się z wydawcami i częściowo ich zwodził. Droga od pomysłu do realizacji, przekształcenia, jakim Zajdel poddawał swój projekt w trakcie pracy nad książką, stają się dzięki tym uzupełnieniom częściowo widoczne. Ten zbiór remanentów nabierał wartości i rangi. W dodatku okazało się, że dysponujemy fragmentami „Drugiego spojrzenia na planetę Ksi”. Najstarsze z zamieszczonych tu opowiadań pochodzi z roku 1960 i jest najprawdopodobniej rzeczywistym, choć dotąd nie publikowanym literackim debiutem Zajdla. Najmłodsze,

napisane specjalnie dla Frederika Pohla (do międzynarodowej antologii „Tales from the Planet Earth”), „Wyjątkowo trudny teren”, z końca 1984. Otrzymujemy więc tomik wychylony z przyszłości i przeszłości, zanurzony w wielu czasach, operujący kilkoma rodzajami autorskiej wypowiedzi. A tym samym portretujący być może ewolucję pisarską jednego z filarów polskiej fantastyki naukowej. Zresztą czy tylko jednego?

Przypomnieniem prapoczątków starej, ale jarej polskiej SF z lat sześćdziesiątych są tu opowiadania użytkowe (ekologiczne, behapowskie) pisane na zamówienie i ukazujące się kilkanaście lat temu na łamach Przyjaciela przy Pracy. Te literackie palcówki, zapewne niezbędne Zajdłowi w jego literackim rozwoju, mają swój klimat i smak. Za ich pomocą sprawdzał Janusz swoje pióro i siłę swych wizji - akcje późniejszych utworów dzieją się w wymyślonych i umeblowanych wówczas światach. Oczywiście jest to retro, mało kto dziś tak pisze, ale na przykład opowiadanie „Pigułka bezpieczeństwa”, a zwłaszcza „Inspekcja” oprócz standardowego przesłania niosą już ładunek drapieżnej przewrotności, w którym rozpoznajemy przyszłego Zajdla.

„Kolejność umierania”, „Źle o nieobecnych”, „Druga strona lustra”, „Towarzysz podróży” - opowiadania z „Astronautyki” i „Młodego Technika” - to już klasyczna fantastyka naukowa, dobry okres polskiej science fiction. Bawili się w to i Kuczyński, i Boruń, i Zegalski - to znaczy - w rasową S F, zdyscyplinowaną, „weryfikowalną”, pomysłową. Budującą światy, nie wizje, patrzącą na przyszłość jak na coś realnego, co można wziąć w ręce, obejrzeć, wyprognozować. Zręcznie operuje tu Janusz tajemnicą, grozą, akcją parakryminalną, daje przejmujący zapis ludzkich zachowań w sytuacjach krańcowych, zamyka

opowiadania mocnymi puentami. Można czasem zatęsknić za tym typem literatury czytając współczesną polską SF budującą światy surrealistyczne, metaforyczne, z założenia nierzeczywiste. Pomyśleć, że właściwie do połowy lat siedemdziesiątych znaleźliśmy głównie takiego Zajdla jak w opowiadaniach „Kolejność umierania” czy „Jad mantezji” lub „Feniks” i to wystarczyło, by go polubić. To i może to jeszcze, że wcześniej niż inni pisarze tamtego okresu złamał stereotyp fantastyki naukowej opowiadającej o dobrym człowieku walczącym z przeciwnościami losu i podstępami natury. To najpierw u Zajdla, jak zauważa Antoni Smuszkiewicz w *Zaczarowanej grze*, to w jego ówczesnych opowiadaniach najwcześniej znajdziemy prawdziwe ludzkie namiętności, złe skłonności i czarne charaktery. A więc nie tylko grozę zewnętrzną, lecz także wewnętrzną, międzyludzką.

Blisko już stąd do „Adaptacji”, „Pełni bytu”, „Utopii”, „Chrzta bojowego”, „Wyższych racji” publikowanych w ITD, Politechniku, bądź nie publikowanych nigdzie. Te opowiadania pokazują zło ludzkiej natury pomnożone, podniesione do rangi zasady fundującej kosmiczny system czy społeczny mechanizm. Tu Zajdel był w swoim żywiole, trafił na temat życia, podchodził doń, opisywał go po wielokroć z różnych punktów widzenia i w różnych formach literackich. Ukazywał słabych i silnych, ofiary i oprawców - w opowiadaniach, powieściach, konspektach, wywiadach. Sprawdzał pomysły na powieść w krótszych formach. Czyżby to robił bezwiednie? „Wyższe racje” wyglądają na przymiarzkę do „Limes inferior”, a może to odprysk od już wykonanej dużej roboty? „Adaptacja” mogłaby być wstępem, albo posłowiem, do „Paradyzji”. „Śmieszna sprawa” wygląda na intelektualną rozbiegówkę do „Jadu mantezji”. „Utopia”, „Wyższe

racje” stanowią obszerny komentarz do sytuacji i stanu ducha pisarza fantastyczno-naukowego w naszym kraju. Przeczytajmy te dwa ostatnie opowiadania uważnie - tak autor fantastyczno-naukowy pisze i tak jest odbierany. I przez zwolenników, i przez przeciwników. Nie może pisać inaczej niż aluzyjnie i nie może być inaczej czytany. Jest to i kwadratura koła, i jednocześnie w miarę skuteczny sposób na wyrażenie tego, co inaczej wyrazić bardzo trudno. Janusz, co widać także w zebranych tu próbach, był mistrzem w wygrywaniu tej kwadratury na swoją i naszą korzyść. I jednocześnie gdzieś między tym wszystkim znajdujemy błyszczącą jak diamentem realistyczną scenkę rodzajową — opowiadanie „Satelita” z 1965 roku. To nie wykorzystany, nie podjęty później przez nikogo pomysł na zupełnie inny kształt socjologicznej SF. Bliskiej współczesnego życia, ukazującej powszechny, codzienny krach wielkich ideałów.

I taki był, taki jest Janusz Zajdel. Takim go ukazuje ta książka złożona z dokonań i zamierzeń, skromnych prób i szczerych wyznań. Znajdziemy w niej Janusza Zajdla z wielu czasów, w wielu stanach ducha, w różnym wieku, w różnych formach, Zajdla w trakcie stawania się. Zajdla, który z Boruniem, Fiałkowskim, Wiśniewskim-Snergiem robił klasyczną SF, który później stanął przed Oramusem, Wnukiem-Lipińskim, Wolskim na czele fali polskiej socjologicznej fantastyki naukowej; który w ostatnim okresie ostrożnie wzbogacał swój warsztat eksperymentem literackim aż kipiącym w rękach czwartej generacji — autorów z pokolenia Ziemkiewicza, Piekary, Kochańskiego... Boję się to powiedzieć, ale być może daje ta mała książeczka najbardziej całościowy, najbardziej myślowo kompletny wizerunek Janusza Zajdla spośród wszystkich

wyborów jego prozy, jakie ukazały się do tej pory.

Warszawa, czerwiec 1986